

Nieodparty i nieznośny

REXANNE BECNEL

Przekład

Maria Wójcikiewicz

Dla wspaniałych mężczyzn: Phila, Harveya, Bobby 'ego, Oscara, Gienna, Rene i Mo

Prolog

Boston, kwiecień 1827

On żyje!

Marshall Byrde wpatrywał się w list, który trzymał w dłoni. Kruchy kwadrat pergaminu pożółkł od czasu, kiedy został wysłany do jego matki. Miejscowość i data, Londyn 1798, oraz podpis, Cameron Byrde, były wyraźne.

A krótka wiadomość nie pozostawiała wątpliwości - całe życie Marshalla było naznaczone kłamstwem.

Ożeniłem się, przeczytał na głos Marshall i usłyszał te słowajak gdyby ojciec, którego nigdy nie poznał, sam je wypowiedział. W cichym salonie matki odczytywał okrutne wyznanie, które przed dwudziestoma dziewięcioma laty Cameron Byrde przesłał Maureen MacDougai Byrde. *7ym razem jestem związany prawdziwym małżeństwem, więc nie dołączę do ciebie w Ameryce.*

Reszty nie mógł odczytać; zbyt mocno drżała mu ręka. Ten człowiek żyje. Jego ojciec, którego nazwisko zawsze nosił z dumą, nie zmarł na statku do Ameryki, jak utrzymywała matka.

Marshall zgniótł list w dłoni. Cameron Byrde żył i miał się dobrze. Rok po narodzinach swojego pierworodnego syna zamieszkał wygodnie z nową wybranką w Londynie, podczas gdy jego prawdziwa żona z dzieckiem z trudem radzili sobie w obcym kraju, na drugim krańcu świata.

Zerwał się na równe nogi i znów usiadł, bo od tego, co przeczytał, aż zakręciło mu się w głowie. Jak przez tyle lat matka mogła mówić o tym człowieku z taką miłością? Czcią? Jak mogła nadal go kochać? Mężczyznę, który ją porzucił?

Czy ojciec kiedykolwiek kochał matkę?

Wyglądził zmiętą kartkę i wpatrywał się w wyblakłe litery, pochylone w iewo pismo, takjakjego własne. Czy Byrde to ich prawdziwe nazwisko?

Krew zaszumiała mu w uszach i poczuł, jak pulsowanie tępego bólu głowy, który przez cały dzień leczył, znów narasta. Wczoraj pochował swą ukochaną matkę. Przyjechał z Waszyngtonu zbyt późno, by się z nią pożegnać, więc ostatniej nocy cicho i rozpaczliwie się upił; oprócz niej nie miał żadnej rodziny.

Dziś dojrzał do tego, by przejrzeć jej osobiste rzeczy. Wszystko to należało teraz do niego, czy chciał tego, czy nie.

Uniósł głowę i spojrzał na schludny salon z wytapetowanymi ścianami i starannie ustawionymi meblami.

Ten dom zbudował dla matki zaledwie cztery lata temu, z zysków ze swego ostatniego meczu bokserkiego. Zasługiwała na ten dom i wszystko, co najlepsze. Lecz gdy chciał, by przeniosła się do okazalszej siedziby, gdzie obecnie mieściło się jego przedsiębiorstwo budowlane, odmówiła.

"Moim domem jest Boston", powiedziała. Pozostała tutaj, żyjąc jego odwiedzinami.

Ogarnęło go poczucie winy. Cztery dni temu matka oczekiwała jego wizyty, ale on odkładał wyjazd, bo miał kłopoty z nowym budynkiem, który wznosił dla towarzystwa handlowego. Gdy wreszcie przybył do Bostonu, zobaczył zawiązaną na kołatce u drzwi czarną wstęgę i przychepione pod nią zawiadomienie o pogrzebie.

Jego ukochana matka zmarła we śnie.

"Odeszła do twojego ojca - ze łzami w oczach powiedziała mu jej przyjaciółka, pani Sternot. - Wreszcie razem, niech Bóg ma w opiece ich dusze".

Tylko że Cameron Byrde nie zmarł, przynajmniej nie wtedy, kiedy matka powiedziała, że zmarł.

Wciąż zdenerwowany i roztrzęsiony, Marshall zmusił się do przeszukania małego haftowanego puzderka na listy i inne kobiece drobiazgi. Czy ten mały przedmiot krył przed nim jeszcze inne sekrety życia matki?

Znalazł kilka gazetowych wycinków o dokonaniach jej syna: o pierwszych meczach bokserkich, przecinaniu wstęg i innych wydarzeniach związanych z jego przedsiębiorstwem budowlanym. Znalazł również swoją podobiznę, narysowaną, gdy był małym chłopcem. Rysunek podarował matce jeden z jej pracodawców. Znalazł jeszcze dwa inne listy od ojca - i żadnego aktu małżeństwa.

Teraz widział dobrze, co wydarzyło się przed wieloma laty. Niewinna młoda kobieta zakochana w łajdaku. Gdy okazało się, że jest w błogosławionym stanie, Cameron Byrde zgodził się ją poślubić. Lecz łobuz, zapewne szybko, pożałował swej propozycji i wysłał jądo Ameryki z obietnicą, że niebawem do niej dołączy.

Tyle że nigdy tam nie dotarł. Sto funtów w amerykańskim banku i Cameron Byrde pozbył się odpowiedzialności za nią i za ich dziecko.

Maureen została sama, ciężarna i bez rodziny lub przyjaciół, którzy mogliby jej pomóc.

Marshall drżącą ręką przeganiał włosy. Nic dziwnego, że kłamała, iż jest wdową. Musiała kłamać jemu i wszystkim dookoła. Lepiej być biedną, lecz szanowaną wdową, niż nosić piętno kobiety niemoralnej. Pracowała całe życie, by wychować i wykształcić swojego ukochanego syna. Sprzątała, gotowała, pilnowała dzieci innych ludzi.

Nigdy nie wyszła powtórnie za męża.

Wpatrywał się tępym wzrokiem w listy. Matka nie wyszła powtórnie za męża, choć Marshall podejrzewał, że przynajmniej dwukrotnie proszono ją o rękę. Czy odmówiła dlatego, że wciąż czuła się żona Camerona Byrde'a?

Ta myśl doprowadziła Marshalla do wściekłości. Tak, matka go okłamywała, choć powinna dzielić tajemnice ze swym jedynym synem. Niech to diabli, przecież ten człowiek zniszczył jej życie! Skradł jej młodość i skazał na dożywotnią samotność.

Marshall zerwał się z krzesła, trzęsąc się z gniewu i ochoty, by uderzyć kogoś w twarz - kogokolwiek!

Ten samolubny łajdak zniszczył życie najłagodniejszej, najbardziej uroczej kobiety, jaka kiedykolwiek chodziła po tej ziemi. I przez niemal trzydzieści lat uchodziło to draniowi na sucho.

Lecz dłużej już nie będzie, poprzysiągł w duchu Marshall.

Teraz, gdy już nie było matki, nie wiedział, co ze sobą począć. Zagubiony, nie miał pojęcia, jak urządzi

sobie życie bez niej. Lecz w głowie pojawił się już plan. Dwadzieścia dziewięć lat temu jego ojciec żył i teraz Marshall miał nadzieję, że nadal żyje. Ponieważ miał z tym człowiekiem rachunki do wyrównania.

Zanim on skończy z Cameronem Byrde'em, tchórzliwy drań będzie żałował, że nie zmarł przed wieloma laty.

1

Mayfair, Londyn, maj 1827

Sara Palmer chciała umrzeć i uniknąć nastającego dnia. Pragnęła ukryć się przed niewątpliwie zbliżającą się awanturą, którą urządzi jej własna rodzina.

Ale ucieczka nie wchodziła w grę.

Jej matka nigdy by na to nie pozwoliła. Ani jej rozwścieczony brat, James. To on zatrzymał powóz lorda Penleya i wyciągnął ją z niego. Później wyzwiał lorda na pojedynek. Na śmierć i życie, dodał.

Na śmierć i życie, w imię honoru najmłodszej siostry.

Sara mocno zacisnęła powieki, by przypomnieć sobie okropną scenę z ostatniej nocy. Po jej twarzy spłynęły dwie gorące łzy. James jeszcze raz uratował ją od następstw nieprzemyślanego zachowania, lecz nigdy przedtem nie posunął się tak daleko, by narazić dla niej życie.

Dzięki Bogu, ich ojczym, Justin St. Clare, hrabia Acton, był na miejscu i powstrzymał Jamesa przed spełnieniem groźby. Sara miała wielki dług wobec męża matki.

A więc tak odpłacasz im obu, jak dziecko chowając głowę pod prześcieradłami?

Ostrożnie i niepewnie Sara wyjrzała spod atlasowej narzuty, po czym zsunęła ją z siebie i usiadła z wysiłkiem. Jest dorosła i musi ponieść konsekwencje swojego czynu.

Rzadko wstawiała wcześniej, toteż miejska rezydencja brata wydała jej się o tej porze nieco obca, gdy schodziła frontowymi schodami. Nie wezwała pokojówki, by pomogła jej się ubrać i teraz, gdy dotarła do holu, była z tego zadowolona. Dwie pokojówki, na które się natknęła, otwarcie gapiły się na nią, choć gdy Sara spojrzała na nie ze zmarszczonymi brwiami, szybko spuściły głowy.

Czy wszyscy wiedzieli, co zrobiła zeszłej nocy? Czy wiedzieli również, jak bliska była całkowitej zguby?

Przed pokojem śniadaniowym Sara stanęła, ponieważ uderzyła ją straszliwa myśl. Może oni sądzą, iż istotnie jest zgubiona?

Wzburzona przycisnęła palce do skroni. Czy nie uwierzyłaby w to, gdyby usłyszała taką samą opowieść o każdej innej młodej kobiecie z towarzystwa? Czy w wirze przyjęć, rautów i śniadań nie opowiadała, skryta za wachlarzem, takiej plotki wszystkim przyjaciółkom? Matka często powtarzała, że podejrzenie o niemoralność skazywało młodą kobietę równie nieodwołalnie, jak sam czyn. Teraz Sara to rozumiała.

Gdy wchodziła do pokoju śniadaniowego, dźwigała podwójny ciężar winy. Już wystarczająco ciążyło jej bezmyślne zachowanie, a jeszcze wstydziła się każdej niepoehlebnej plotki, jaką kiedykolwiek podzieliła się ze swoimi niemądrymi przyjaciółkami.

Srogi wyraz twarzy Jamesa nie uspokoił jej sumienia. Ani też mina jej zwykle pocziwego ojczyma. Jednak najgorsza była obecność matki o tak wczesnej porze przy stole. Augusta Linden Byrde Palmer St. Clare nigdy nie wstawiała tak wcześniej.

James na krótko zatrzymał na siostrze spojrzenie, po czym szybko je odwrócił.

- Usiądź, Saro. Proponuję, żebyś zjadła solidne śniadanie, bo masz przed sobą długi dzień.

Augusta odchrząknęła, przyciągając uwagę syna.

-Ja się tym zajmę, Jamesie. Ty i Justin zrobiliście, codo was należało, zeszłej nocy. Teraz moja kolej.

Serce podeszło Sarze do gardła. Matka ruchem ręki nakazała jej podejść do kredensu i wyłożonym na nim biskoptom, szynce i lekko ściętym jajkom. Sara wzięła talerz i posłusznie napełniła go jedzeniem, które teraz wcale nie wydawało się smaczne. Cokolwiek ją czekało, zasłużyła na to. Przyjmie każdą karę z pokorą.

Wszyscy troje rozsiedli się po jednej stronie długiego stołu, więc gdy Sara usiadła po drugiej, czuła się jak w sądzie, gdzie za chwilę rozpocznie się odczytanie aktu oskarżenia. Jej matka, najwyraźniej główny sędzia, wsparła podbródek na złączonych dłoniach.

- Rozumiem, że mamy dwie możliwości do wyboru.
- My? - Sara wzięła to za dobry znak.
- Możesz albo za specjalnym zezwoleniem poślubić lorda Penleya... -Poślubić?!!
- Czy łaskawie pozwolisz mi skończyć? Sara przełknęła ślinę i pochyliła głowę.
- Tak, matko.
- Albo poślubić tego mężczyznę, albo natychmiast wyjechać z długą, wizytą do twojej siostry, do Szkocji.

Sara wbiła wzrok w swój talerz, w ciemnoczerwoną plamę dżemu malinowego. Istotnie, smutno było odkryć, że mężczyzna, którego ledwie wczoraj chciała poślubić, dziś stał się dla niej odpychający. Przy pierwszej przeciwności losu rozpuścił się jak lód przystawiony do płomienia i odsłonił tchórzliwą naturę.

Zarzuty Jamesa wobec niego były prawdziwe. Lord Penley był łowcą posagów - tak jak połowa męskiego towarzystwa. Prawie wszyscy mieli nadzieję na poprawę swego położenia poprzez korzystne małżeństwo. Lecz lord Penley przez hazard doprowadził swą rodzinę do ruiny. Jakby tego było mało, wymuszał pieniądze od zamężnej kobiety, z którą łączył go potajemny romans.

Właśnie to zraziło Sarę do niego najbardziej. Na myśl o swej własnej głupocie, Sara zadrżała ze wstrętu. Dlaczego nie potrafiła dostrzec niczego poza jego przystojną twarzą i czarującymi manierami? Przecież ona wcale go nie interesowała. Chodziło mu o jej okazały posag, który otrzymałby po ślubie. To dlatego tak gorąco namawiał ją, by z nim uciekła. A ona, ach, jaka głupia, uważała to wszystko za romantyczną przygodę.

Dziękowała Bogu, że jej brat w porę wybawił ją z tej sytuacji.

Sara westchnęła i podniosła wzrok.

- Wolalabym wyjechać do Olivii, do Szkocji.

Augusta uśmiechnęła się, lecz twarz Jamesa stawała się coraz bardziej gniewna.

- Jak szybko twoje zdanie o tym tchórzliwym sukinsynie...
- Jamesie! - Augusta zeszywniała. -Nie życzę sobie takiego języka w mojej obecności!
- Wybacz, matko, ale czy ci się to podoba, czy nie, Penley jest tchórzliwym... - Zacisnął szczęki z wściekłości. - Penley jest tchórzem - poprawił się, z trudem przełykając przekleństwo.
- Przyznaję to - wtrąciła Sara.
- Tak. Teraz to przyznajesz! - wykrzyknął James. - Ale czy chciałaś słuchać, gdy próbowałem ostrzec cię przed nim? Nie. Oczywiście, że nie.

Sara spuściła głowę i pozwoliła bratu się wykrzyzczeć. Wszystko, co James mówił, było prawdą.

- A teraz jesteś zgubiona. Jeśli wieść o tej nieudanej ucieczce się rozejdzie, żaden godny szacunku mężczyzna nie będzie chciał się ubiegać o ciebie.
- Ona nie jest zgubiona - zaprotestowała Augusta. - Nie tak zupełnie. Może jest skompromitowana, lecz sądzę, że możemy ocalić jej reputację. No, Jamesie, dość tego. Sara wie, że źle postąpiła.

Dzierżąc stołowy nóż jak broń, James zaatakował szynkę na swym talerzu.

- Tak. Ona wie, że postąpiła niewłaściwie. Ale wiedziała też, że postępuje niewłaściwie, gdy w zeszłym miesiącu wymknęła się, by pójść do Vauxhall z panią Ingleside i resztą tej hulaszczkiej zgrai. Mówiłem jej, by tego nie robiła. Wiedziała, że postępuje niewłaściwie, gdy przed tygo dniem wzięła udział w balu maskowym z tym wysportowanym towarzyszem z Mayfair. I wiedziała, że postępuje niewłaściwie, gdy wyszła na ten nieszcześnie mecz bokserski w Cheapside. Za każdym razem wiedziała, że postępuje niewłaściwie - a to są eskapady, o których wie my! Sara zawsze ulegała chwilowej zachciance, zamiast chwilę zastanowić się nad następstwami swoich uczynków.

Wiedziała, że James ma rację, lecz miała już dość jego tyrady.

- Podejrzewam, że ty nigdy nie popełniłaś błędu - warknęła.
- Zdarzało mi się popełniać błędy, nie zaprzeczę. Ale przynajmniej czegoś mnie one nauczyły - odparł James. Zwrócił się do matki: - Bóg wie, co ona robi w Szkocji. Powinnaś ją zmusić do poślubienia pierwszego mężczyzny, który się jej oświadczy - dodał pod nosem.

Augusta uśmiechnęła się tylko i poklepała go po ramieniu.

- Bądź pewien, Jamesie, że gdybym zmuszała swoje dzieci do małżeństwa, byłbyś od dziesięciu lat ożeniony i miał tyleż samo pociech. Nie martw się, Olivia dobrze się zatroszczy o Sarę. Pomiędzy Byrde Manor i Woodford Court znajdzie swojej młodszej siostrze tyle zajęć, by nie zdążyła wpaść w kłopoty. Poza tym zapominasz, jaki groźny potrafi być Neville, gdy wymagają tego okoliczności. Oboje z pewnością utrzymają Sarę w ryzach. - Po czym zwróciła na córkę krystalicznie błękitne spojrzenie, które jązawsze mroziło. - Wiesz, że przebrałaś miarę, prawda?

Sara skinęła głową. Teraz to rozumiała. Wszyscy jej przyjaciele zawsze podburzali ją przeciwko Jamesowi. Nakłaniali ją do coraz większych głupstw, a ona niefrasobliwie przystawała na to, nie dostrzegając żadnego niebezpieczeństwa. Zawsze irytowały ją ograniczenia, narzucane przez układne towarzystwo, więc za każdym sezonem w mieście sprawdzała, jak daleko może się posunąć. Do tej pory jednak nie zastanawiała się nad konsekwencjami takiego postępowania. Nawet gdy pani Ingleside opowiadała o niełasce, w jaką popadła biedna panna Tinsdale, Sara nie przyjęła tego jako ostrzeżenia ani nie zauważyła złośliwości, która kryła się w zachowaniu tej kobiety. Zbyt była pochłonięta towarzystwem nowej, zabawnej przyjaciółki.

Oni wszyscy byli tacy jak lord Penley: samolubni, pazerni, podli. Wstyd jej było przyznać się, że była taka sama.

Dlaczego nie widziała tego wczoraj?

Teraz, w pełni sezonu, musi opuścić Londyn. Żadnych przyjęć, balów czy wieczorów w teatrze. I wszystkich tych pięknych sukien, które zamówiła, i nie zdążyła włożyć... Westchnęła.

Przynajmniej będzie ze swą przyrodnią siostrą Olivia, z jej mężem Neville'em i ich dziećmi.

Pochyliła się do przodu.

- Widzisz przed sobą odmienioną kobietę, matko. - Zignorowała niegrzeczne prychnięcie Jamesa. - Będę jak anioł - przysięgała. - Olivia i Neville nie będą się mieli na co skarżyć. Przysięgam.

Tylko dwa dni podróży statkiem, ale gdy Sara zeszła z pokładu "Skrzydeł mowy" w tętniącym życiem porcie Berwick-upon-Tweed, czuła, że zostawiła Anglię daleko za sobą. Powietrze było rześkie, słone i chłodne, więc włożyła nowy szkarłatny płaszcz z szeroką pelerynką i sobolowymi mankietami i kołnierzem. Mogła zostać zesłana w głąb Szkocji za karę, lecz nie było powodu, by nosić włosienicę i posypywać głowę popiołem.

- Kapitan posłał po powóz - powiedziała pokojówka Sary, gdy stanęły przy relingu. Nie była to Betsy, jej ukochana służąca. James zdecydował, że Sara potrzebuje do towarzystwa w podróży kogoś starszego i bardziej doświadczonego.

Skrywając niechęć, Sara zerknęła na strażniczkę o surowej twarzy.

- Tak, wiem. Mój drogi brat przygotował wszystko i dobrze zapłacił kapitanowi, by wykonał jego polecenia. I tobie także, jak widzę. - Protekcyjnie spojrzała na Agnes, choć wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Nic nie mogła na to poradzić - dwa dni w niewesołym towarzystwie

Agnes Miller pozbawiły ją cierpliwości. Bogu dzięki, że ta kobieta nie zostanie w Woodford Court, lecz zamierza udać się do Carlisle, by odwiedzić chorą matkę.

Agnes zmarszczyła tylko brwi i całkowicie ignorowała zły humor Sary. Chwilę później dwaj mężczyźni znieśli po trapie ich bagaż i złożyli liczne torby w solidnym, lecz wysłużonym powozie. Och, przecież nie będzie nikogo, kto by ją zobaczył lub robił uwagi, co do sposobu podróżowania, pomyślała Sara, gdy kapitan bezpiecznie ulokował jąw pojeździe.

Wiele głów odwracało się za Sarą, gdy zeszła ze statku na nabrzeże, lecz żadna nie była godna uwagi. Marynarze, robotnicy portowi, woźnice. W pobliżu był jeden czy dwóch dżentelmenów, ubranych jak należy w surduty i wysokie czapki bobrowe, lecz żadnej innej damy w zasięgu jej wzroku. Dla wszystkich wokół Sara równie dobrze mogłaby nosić flanelę, barchan i chodaki.

Po czym przyznała przed sobą, że takie rozumowanie jest małostkowe i zawstydzona opadła na mocno wytarte poduszki. Zaczynała się niebezpiecznie upodabniać do Caroline Barrett, powszechnie uważanej za najgłupszą gęś w Londynie. Caroline potrafiła mówić wyłącznie o swoich strojach i wielbicielach.

A Sara zachowywała się tak samo głupio!

Wychyliła się i wyjrzała przez okno powozu.

- Dziękuję, kapitanie Shenker! - zawołała wesoło. - Bardzo się pan troszczył o moją wygodę i doceniam pańską uprzejmość.

Kapitan, zaskoczony nagłą zmianą jej nastroju, ukrył zdziwienie za szerokim uśmiechem.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panienko. Doprawdy przyjemność. - Uchylił przed nią czapki. - Mam nadzieję, że podróż do Kelso będzie przyjemna i wygodna.

Marshall Byrde słuchał tej rozmowy zza obładowanej karety. Tylko że teraz był Marshalllem MacDougalem - użył ponownie panieńskiego nazwiska matki, jak kiedyś, na turniejach bokserskich.

Przechylił głowę w bok. Jego ciekawość wzbudził melodyjny głos tej kobiety i fakt, że kapitan wspomniał o Kelso. On także tam zmierzał, ponieważ matka czasami wspominała o tym miejscu.

Po bezowocnych poszukiwaniach ojca w Londynie, doszedł do wniosku, że jeśli matka pochodziła z Kelso, ojciec także mógł tam mieszkać. Może kobieta w powozie wiedziała coś, co będzie dla niego ważne? Coś, co przyspieszyłoby zniechęcająco powolne poszukiwanie tego drania, Byrde'a?

Marshall spędził miesiąc na morzu, dziesięć dni w Londynie i jeszcze kilka dni w drodze do Szkocji. Dowiedział się tylko, że choć listy ojca zostały wysłane z Londynu, człowiek ten nie urodził się tam, nie

ożenił i nie został pochowany. Ani, jak utrzymywali detektywi, których Marsh zatrudnił, nie mieszkał tam teraz.

Matka, tak powściągliwa w opowieściach o swoim życiu w rodzinnym kraju, niewiele powiedziała mu o ojcu. Marshall wiedział tylko, że Maureen MacDougal kochała Camerona Byrde'a i że on nie odwzajemniał jej miłości.

Marshall zdecydował się więc rozpocząć poszukiwania w rodzinie ze strony matki. Tylko że tym razem zamierzał być mądrzejszy. Chciał przeniknąć do towarzystwa i obnosić się ze swym bogactwem. Dlatego przybył do Berwick - by kupić elegancki powóz z okazałym zaprzęgiem koni, a także ognistego wierzchowca. Chciał się dostać do socjery Kelso, podczas gdy jego nowy przyboczny miał zaprzyjaźnić się ze służbą. Marsh był pewien, że odpowiedź na jego pytanie kryje się na Nizinie Środkowoszkockiej.

A teraz nadarzała się sposobność, by czegoś się dowiedzieć.

Tyle tylko, że stangret strzelił z bicia i ciężko wyładowany pojazd ruszył z doku do miasta. Zawiedziony Marsh zmiął w ustach przekleństwo.

- Jak długo jeszcze? - ponaglił Duffa, swego nowego służącego. - Muśimy ruszać w drogę.

Chudy chłopak spojrział z wyrzutem.

- Muszę wymienić te zerwane lejce; zajmie to około kwadransa, wielmożny panie.

Marsh skrzywił się, ale zaraz dostrzegł mężczyznę, patrzącego za oddalającym się powozem i oczy mu się zwięzły. Może nie wszystko stracone.

- Wybacz pan - powiedział, i podszedł do mężczyzny, który stał na szeroko rozstawionych nogach jak marynarz i nosił czapkę kapitana. - Czyżbym usłyszał, że ktoś wspomina Kelso?

Mężczyzna obrzucił go spojrzeniem.

- Jest pan Amerykaninem, prawda?

Marsh odpowiedział szerokim przyjaznym uśmiechem.

- Przyznaję się do winy. Zapali pan? - Wyciągnął ozdobną szkatułkę starannie zwiniętych krótkich cygar.

Gdy kapitan uniósł z uznaniem krzaczaste brwi, Marsh tłumaczył:

- Jestem tutaj w interesach. Pierwszy raz w Szkocji, i jadę do Kelso. Dlatego zapytałem.

Kapitan wziął jedno cygaro i powąchał je.

- Tytoń wirginijski czy kubański?

2 - Nieodparty i nieznośny

17

Marsh uśmiechnął się lekko.

- To specjalna mieszanka, zrobiona na zamówienie.

Po piętnastominutowej rozmowie zdobył trzy wiadomości. Choć Mac-Dougaiowie są szkockimi góralami, spotyka się ich także na nizinie; drogą do Kelso lepiej nie jechać po zmroku; a młoda kobieta w powozie

to Angielka, ale zbyt piękna i za bardzo rozpieszczona, by wyszło jej to na dobre.

-Nadzwyczaj ujmująca panna. Ale kosztowna.

Marsh myślał o tym, gdy popędzał parę gniasoszy do ciągłego biegu. Od śmierci matki nie miał kobiety, a teraz przyłapał się na myśli o kobiecym ciele. Mało prawdopodobne, by wyniosła angielska panna dała mu takie wytchnienie, jakiego potrzebował.

Chmknął na konie. Wolał sam nimi powozić, niż powierzyć je Duffb-wi. Lecz myślami wciąż był przy kobiecie, która jechała do Kelso. Co młoda Angielka robi w Szkocji, podróżując tylko z pokojówką?

Nie bardzo go to obchodziło. Wiedział tylko, że tęskni za tym, by jakaś młoda kobieta uśmiechnęła się do niego. Przypomniałoby mu to jego dawne życie w Bostonie i Waszyngtonie, zanim zmarła jego matka.

Lekko zaciął konia batem. Niebawem dotrze do Kelso i zostanie tam, aż uzyska informacje. Będzie podążał śladem ojca, aż spotka go i się zemści.

2

Sara podniosła kołnierz swego płaszczka. Była zmarznięta, mimo iż Agnes dokładała do ognia w kominku w prywatnym pokoju jadalnym, który wynajęły. Zatrzymały się na południowy posiłek w nieciekawym miejscu. Lecz mięso duszone z jarzynami pachniało nęcąco, a jej burczało w brzuchu.

— Skąpi Szkoci - mruknęła Agnes, gdy w koszu na drewno nie znalazła nic, oprócz podpałki.

Sara uśmiechnęła się, od rana jej humor znacznie się poprawił.

- Musisz uważać na to, co mówisz, Agnes. Moja siostra jest w połowie Szkotką, ze strony ojca, a mój szwagier, lord Hawke, jest rodowitym Szkotem, tak jak niektórzy z rodziny twojej matki, z tego, co słyszałam.

Sarze sprawiało przyjemność dręczenie tej posępnej kobiety. Jej dobry nastrój brał się po części z niecierpliwego wyczekiwania na spotkanie

18

z Olivia i Neville'em. Życie z nimi z pewnością nie będzie tak pasjonujące jak w Londynie podczas sezonu, a w Kelso nie było ciekawych mężczyzn, z którymi można było flirtować.

Lecz były inne przyjemności. Neville utrzymywał najlepsze stajnie i mogła z nich korzystać. To oznaczało, że będzie miała dostęp do najszlachetniejszych koni i będzie mogła galopować bez ograniczeń. Ponadto wolno jej będzie jeździć po męsku, bez ciągłego narzekania matki. Spędzi też trochę czasu z młodzieńką Catherine i małym Filipem.

Sara zjadła solidne drugie śniadanie, ignorując mrukliwe narzekania Agnes. Prześpi całe popołudnie, a kiedy się obudzi, będą już na miejscu.

Jednak gdy wróciły do karety, zobaczyły stojącego obok zaprzęgu woźnicę, który rozmawiał z dobrze ubranym dżentelmenem. Sara знаła swą rolę młodej kobiety z dobrej rodziny. Nigdy nie zauważać dżentelmena, któremu nie została stosownie przedstawiona — a woźniców trudno było uważać za osoby odpowiednie do takich prezentacji.

Wiedziała to wszystko, a jednak, zbliżając się do karety, zwolniła i patrzyła na nieznanego dłużej, niż powinna. Było w nim coś intrygującego; nie tylko mocna budowa, wysoki wzrost, szerokie ramiona i niemodnie długie włosy. Było to coś innego, czego nie potrafiła określić.

On na pewno nie był angielskim dżentelmenem, do jakich przywykła.

Ale przecież nie była już w Anglii.

Błądziła po nim wzrokiem, podziwiając muskularne nogi pod bryczesami i mocny profil, ocieniony przez bobrowy cylinder. Dziwny dreszcz przebiegł jej przez plecy i zagnieździł się w sąsiedztwie żołądka. Jeśli to był reprezentant szkockich dżentelmenów, to może jej pobyt tutaj nie będzie tak nudny, jak sądziła.

Nieznajomy podniósł wzrok i podchwycił jej spojrzenie. Przez długą, zawieszoną w czasie chwilę, Sara nie mogła oderwać od niego oczu. Jego źrenice stały się czarne jak dżety, czarne, a mimo to błyszczące w słońcu.

Agnes musiała zauważyć ich zatopione w sobie spojrzenia, gdyż niezbyt subtelnym szturchnięciem Sary w bok przerwała tę przydługą scenę. W istocie oderwanie od niego oczu przyniosło Sarze ulgę, ale miała za złe pokojówce, że się wtrąciła.

- Za dużo sobie pozwalasz - syknęła, sztywno zwracając się ku drzwiom powozu. Lecz Agnes tylko założyła ręce i bez skruchy spojrzała na swoją podopieczną.

Zdusiwszy przekleństwo, którego nie powstydziliby się jej brat, Sara sięgnęła do drzwi, by je otworzyć. Lecz inna ręka znalazła się tam szybciej.

- Czy wolno pomóc, panienko?

19

Sara odwróciła się szybko, zdziwiona niskim, męskim głosem. Rzuciła na Agnes spojrzenie mówiące "no i proszę" i znów skupiła uwagę na mężczyźnie, trzymającym drzwi karety jedną ręką, podczas gdy druga była wyciągnięta w jej stronę.

Doprawdy, co za zuchwałość. W kapeluszu na głowie, bez rękawiczek. Każdy londyński dżentelmen zachowałby się lepiej. Ale też londyńscy dżentelmeni dowiedli, że są oszustami i łajdakami. Sara uśmiechnęła się lekko i przez długą chwilę taksowała go wzrokiem. Dłonie w rękawiczkach stosownie spłotła przy talii.

-Nie sądzę, byśmy zostali sobie przedstawieni, panie.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej, po czym zdjął kapelusz i skłonił się lekko.

•Jestem Marshall MacDougal, do usług pani, panno... panno... Kąciki jej ust jeszcze odrobinę uniosły się w uśmiechu.

•Pan nie jest Brytyjczykiem, nieprawdaż, panie MacDougal?

•Jestem Amerykaninem - przyznał. - Czy to akcent mnie zdradza? Sara skromnie ściągnęła usta.

-Nie. Pańskie maniery. -Przybrała zgorzony wyraz twarzy, lecz wiedziała, że na tym mężczyźnie nie zrobi to wrażenia. - U nas dżentelmen sam nie przedstawia się damie.

- Ooo? - Znów włożył kapelusz na głowę. - Zatem jak kobiety i mąż czyżni zawierają znajomość?

Sara czuła potępiające spojrzenie Agnes i spłoszony wzrok woźnicy. Lecz to ją tylko rozzuchwaliło.

- Poznają się odpowiednimi drogami, oczywiście. Przez rodzinę, przyjaciół. Mężczyzna pokręcił głową.

- Wielka szkoda. Obawiam się, że będę osamotniony, ponieważ jestem tutaj pierwszy raz, po krótkiej wyprawie do Londynu. Niestety, nie mam w Szkocji ani rodziny, ani przyjaciół, którzy mogliby mnie przedstawiać w towarzystwie.

Jeszcze chwilę przywierali do siebie spojrzzeniami i Sara wyraźnie czuła napięcie między nimi. Było straszne i rozkoszne, a ona wiedziała jedno: to nie był mężczyzna, któremu kiedykolwiek brakowałoby towarzystwa, szczególnie damskiego. Było coś w jego oczach, jakaś iskra, której nie rozpałiło wyłącznie wiosenne słońce. Za każdym razem, gdy spoglądał na nią, czuła przebiegający po skórze dreszcz.

Nie, to nie był tylko dreszcz. Czuła lekkie drganie serca, gdy Harlan Brannwell patrzył na nią. To samo, gdy Ralph Lierett ujmował jej rękę. 1 lord Penley, ten łajdak.

20

Jednakże to, co czuła teraz, było całkiem inne od owych drgań serca. To było gorące, z drżeniem przebiegło przez jej ciało, sprawiało, że serce biło szybko, a żołądek się zaciskał.

Na szczęście, w samą porę podniosła głowę.

W przeszłości to impulsywne poddawanie się uczuciom, ten lekkomyślny pociąg do wszystkiego, czego powinna unikać, wpędzało ją w kłopoty. Teraz wyczuwała instynktownie, że ten mężczyzna to ktoś, kogo stanowczo powinna unikać.'

Sara przybrała więc wyraz powagi i przegnała z głosu wszelki zalotny ton.

- Sądzę, że sobie pan poradzi, panie MacDougai. Żegnam. -1 bez dalszych gestów uprzejmości weszła do wytwornej karety.

Agnes poszła jej śladem, zatraskując za nimi drzwi. W jednej chwili ruszyły z podwórza zajazdu. Gdy karetka toczyła się po zakurzonej drodze, Sara gratulowała sobie, że zachowała się właśnie tak, jak powinna: grzecznie, lecz nie przyjaźnie. Z pewnością go nie zachęcała, przynajmniej pod koniec ich rozmowy.

Lecz gdy zdjęła kapelusz i rękawiczki i umieściła za plecami małą poduszkę, pozwoliła sobie na luksus wyobrażania sobie, kim jest ten Amerykanin i dlaczego przebył całą drogę przez ocean do Szkocji. Jego nazwisko brzmiało Marshall MacDougai, bardzo szkockie nazwisko jak na Amerykanina. Miał ciemnobrązowe włosy, które w słońcu połyskiwały czerwienią; czarne oczy, które połyskiwały niebiesko.

Znów poczuła to zdradzieckie drżenie w brzuchu i westchnęła z irytacją na swoją przewrotność. Jeśli gładki i czarujący lord Penley był dla niej nieodpowiedni, to prostolinijny Amerykanin, taki jak pan MacDougai, byłby nieszczęściem.

Przekonała się już na własnej skórze, że nie zna się na mężczyznach. Teraz musi trzymać ich na dystans.

Lecz będzie to trudne, przyznała, zamykając oczy. Będzie to bardzo trudne.

Marshall podążył kilometr za toczącą się kareta. Incydent z ładną młodą kobietą w zajeździe pocztowym był pouczający. Jeżeli po mniej niż dwustu latach bostońskie towarzystwo spętane było misternymi regułami, to angielskie społeczeństwo tym bardziej. Marshall wkupił się do bostońskiej elity. Ostatecznie, w Ameryce pieniądź był pierwszym arbitrem

21

przynależności do klasy. Lecz brytyjskie społeczeństwo było bardziej złożone, o czym szybko pouczył go Duff.

- Leży pan jak długi, co? -powiedział gadatliwy chłopak, gdy Angielka odjechała powozem, pozostawiając Marshalla na pokrytym kurzem dziedzińcu.

Marsh spiorunował go wzrokiem, lecz Duff, niewzruszony, ciągnął:

•Problem w tym, wielmożny panie, że tu nie Ameryka. Tu są kobiety i damy. Musi się pan zdecydować, którymi jest pan zainteresowany.

•A co ze służącymi? Czy oni też są tutaj inni i odzywają się, kiedy nikt ich nie pyta o zdanie?

Nie przejmując się gniewem swego nowego pracodawcy, Duff spojrział na niego spod przymrużonych powiek.

•Wygląda pan na takiego, co to poradzi sobie w bójce, inaczej nie przyjąłbym pana.

•Ty przyjąłeś mnie?

•Zgadza się. Coś pan szykuje, nawet jeśli nie jest pan gotów mi powiedzieć, co. Ale ja jestem z tych, co lubią przygody. Nie uważam pana za gościa, co to potrzebuje kogoś do składania ubrań i dźwigania toreb. Myślę sobie, że miał pan inne powody, żeby mnie najać. Na razie najlepiej będzie, jak pan zrozumie, że my, Szkoci, mamy swoje przyzwyczajenia. Jeśli pan chce, żeby dobrze tu panu szło, to lepiej, żeby pan je poznał. A ja panu w tym pomogę.

Choć Marshowi bardzo się nie podobały przenikliwe uwagi służącego, to jednak miał szacunek dla tych, którzy tak jak on, potrafili przeżyć dzięki sprytowi. Wypatrując teraz przed sobą powozu, rozważał słowa Duffa. Może przydałaby mu się jakaś pomoc. W końcu tamten woźnica nie był szczególnie rozmowny, a piękność w czerwonej pelerynie potraktowała go z królewską wyniosłością.

Czy to brak ogłady Maureen MacDougal sprawił, że ojciec przestał się nią interesować? Czy ona weszła w sferę zakazaną? Cameron Byrde mu-

22

Marsh potarł wierzchem dłoni kark. Niech to diabli, to ona była opanowaną młodą panną. Wyglądała apetycznie, jak soczysta czerwona wiśnia, którą chciał zjeść. Te błękitne, błyszczące oczy. Na początku nie miała nic przeciwko ich flirtowi. Lecz potem musiał zrobić coś, po czym ona poznała, iż brak mu towarzyskiej ogłady. Wtedy jej zainteresowanie zniknęło.

siał być człowiekiem dość zamożnym, jeśli spłacił ją stoma funtami. Lecz Maureen MacDougal, mimo swych dobrych manier i spokojnej urody, była prostą dziewczyną z pospolitej rodziny. Przez całe życie pracowała jako służąca w domach innych ludzi. Prawdopodobnie tak poznała nieczułego Camerona Byrde'a.

Marsh zmrużył oczy, wpatrując się w luksusową karetę daleko przed sobą. Jeśli jego ojciec pochodził z okolic Kelso, to ta ładna mała snobka w tym olbrzymim powozie z pewnością zna. W końcu swoi ciągną do swoich i zamykają drzwi przed nosem wszystkim, którzy nie należą do ich sfery. Marsh nauczył się obracać w tych kręgach w Bostonie i Waszyngtonie. Miał dość pieniędzy i towarzyskich talentów, by się znaleźć w tej grupie. Lecz tutaj był mniej pewny siebie. Choć posiadał teraz obowiązkowe rekwizyty - służącego, powóz, stroje, konie i wiele pieniędzy-rozumiał już, że to jeszcze za mało. Może DutYerskine ma rację, może mógłby mu pomóc, jeśli chodzi o zasady towarzyskich kontaktów. Potem dałby już sobie radę. Dokonał tego w Bostonie, może dokonać i tutaj.

Był zdecydowany w tej kwestii także kilka godzin później, gdy przemierzali wąski kamienny most i wjeżdżali do Kelso. Była to miejscowość sprawiająca wrażenie bogatej, skupiona wokół miejskiego placu. Marsh rozglądał się wokół siebie, patrząc na stłoczone domki, pomalowane wystawy sklepowe i pracowitych mieszkańców. Czy jego matka chodziła kiedyś po tych brukowanych ulicach?

Dłonie zaczęły mu się pocić. Czyjego ojciec nadal po nich chodzi?

Zatrzymał się pod szyldem gospody Pod Kogutem i Łukiem i przekazał zmęczonego konia stajennemu.

•Pokój dla mnie i dla mojego człowieka - powiedział do oberżysty w fartuchu, który ochoczo wybiegł, żeby się przedstawić.

•Tak, panie. A jak długo się pan zatrzyma?

Wystarczająco długo, by zniszczyć mojego ojca i każdego, kto przyczynił się do cierpień mojej matki.

Lecz biedakowi z błyszczącą łysiną odpowiedział tylko:

•Tydzień. Może dłużej.

•Bardzo dobrze, panie. Bardzo dobrze. - Oberżysta poprowadził go do rejestru.

•Jakie nazwisko mam tutaj wpisać, panie?

•Marsh.... Marshall MacDougal.

- MacDougal. - Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę. - MacDougal.

Marsh przymrużył oczy. Czy ten człowiek znał to nazwisko? Czy znał

tę rodzinę?

23

- Pisze się to z "ou" czy z "uo"?

Marsh skrył pod obojętnym wyrazem twarzy rozczarowanie.

- Z "ou" i tylko jednym "1". - Wziął klucz, który wręczył mu oberżysta. - Proszę mi powiedzieć, panie Halbreeht, czy są w tej okolicy jakieś godne obejrzenia miejsca albo jakieś szczególne zebrania towarzyskie, które powinienem uwzględnić?

Oberżysta obrzucił go szybkim spojrzeniem, po czy zerknął na Duffa, który wyładowywał rzeczy z powozu. Widocznie zadowolony, że jego gość jest dżentelmenem i trzymającego, powiedział:

•Mamy własną salę, gdzie co piątek odbywają się tańce. Jeszcze nie ma sezonu polowań, ale doskonale wędkuje się w Tweed. Oczywiście, jeśli chce pan zapaść się za most, będzie się pan musiał zwrócić do zarządców w wielkich domach. Przeważnie swobodnie rozporządzają prawem łowienia ryb wzdłuż ich brzegu. W Woodford Court są wyczuleni, tylko jeśli chodzi o odcinek przy ich domu.

•A w innych posiadłościach?

•Blisko stąd jest tylko jedna, Około półtora kilometra w górę rzeki. Byrde Manor. Chociaż mniej wspaniała niż Woodford....

Byrde Manor! Słowa te odbijały się echem w głowie Marsha, zagłuszając resztę uwag oberżysty. Istnieje więc posiadłość nazywana Byrde Manor. Czy aż tak łatwo znalazł siedzibę rodziny swego ojca? Choć z podniekscytowania serce waliło Marshowi jak młot, zmusił się do zachowania spokoju.

- Więc sugeruje pan, żebym zwrócił się do tego domu o pozwolenie łowienia ryb w ich części rzeki?

Oberżysta wzruszył ramionami.

- Właściwie nie jest to konieczne. Jestem jednak pewien, że to docenią.

Nie. Marsh nie sądził, by to docenili, gdy jego prawdziwa tożsamość

zostanie ujawniona. Tymczasem będzie zabiegał o aprobatę i akceptację rodziny Byrde'ow.

Podziękował oberżystę i skierował się do schodów, poklepując kieszeń płaszcza podróżnego, kryjącą trzy Hsty, które Cameron Byrde wysłał do Maureen MacDougal. Czas w Londynie był stracony, lecz w Kelso już po dziesięciu minutach być może znalazł kryjówkę ojca, a przynajmniej był już na jej tropie.

Lecz czy ten człowiek przebywa w Byrde Manor?

U podnóży schodów Marsh zawahał się. Oberżysta z pewnością będzie wiedział. Lecz czy mądrze byłoby tak wcześnie odsłaniać karty? W takim mieście plotki o obcych na pewno szybko się rozchodzą.

24

Na szczęście, kiedy Marsh się obejrzał, oberżysta inaczej odczytał jego zachowanie.

- Jeśli nie ma pan własnego sprzętu do wędkowania, to ja mam wszystko, co potrzeba, panie MacDougal. Trafił pan we właściwe miejsce. - Uśmiechnął się usłużnie. - Proszę mi tylko dać znać, jeśli będę mógł być w czymś pomocny.

Marsh skinął głową. Nie może być taki niecierpliwy. Poza tym niebawem pozna prawdę. Bardzo możliwe, że jutro o tej porze będzie stał twarzą w twarz z ojcem. Do tego czasu musi wiedzieć, co powie temu człowiekowi i jak się zachowa.

W jego piersi obudził się gniew tak silny i dławiący jak wtedy, kiedy poznał prawdę o rodzicach. Zbliżało się starcie i Marsh musi być na nie gotowy.

A potem niech Bóg pomoże Cameronowi Byrde'owi, gdyż jego niechciany syn zamierzał się z nim rozprawić.

Sara nie wiedziała, czy rozplakać się z rozczarowania, czy krzyknąć z radości.

- Wszyscy pojechali do Glasgow - powiedziała jej pani Tillotson, och mistrzyni w Woodtord Court. - Wyjechali zaledwie wczoraj rano. Pani Olivia napisała matce o ich nagłej podróży. Miałam ten list nadać pocztą, kiedy następnym razem będę w mieście.

Sara przygryzła wargę.

•Wszyscy wyjechali, nawet dzieci?

•Tak, panienko. Pan musi dopilnować interesów. To znaczy na targach końskich w Glasgow. A pani siostra zdecydowała, iż miło będzie wyprawić się na północ, szczególnie teraz, kiedy się ociepla.

Sara skrzywiła się, wcale nie odczuwała ocieplenia. Lecz północny chłód był najmniejszym z jej zmartwień. Olivia i Neville wyjechali, pozostawiając ją samą w Woodford. Gdy tylko matka otrzyma list od Olivii, natychmiast wezwie Sarę do powrotu do domu. A James pewnie będzie nalegał, by wyprawiono jędo konwentu lub wjakieś inne, równie nieprzyjemne miejsce.

Przyjmując, oczywiście, że matka otrzyma list Olivii.

Sara skrzywiła się w duchu na własną przebiegłość. Jednak myśl ta, gdy raz się pojawiła, nie chciała już odejść. Jeśli matka nie zostałaby powiadomiona o miejscu pobytu Olivii, przyjęłaby, że Sara jest bezpieczna

25

w jej towarzystwie. 1 rzeczywiście już była bezpieczna pod dachem siostry. To, że Olivia i Neville nie przebywali tutaj chwilowo, nie umniejszało ich wpływu na jej bezpieczeństwo. Poza tym Agnes jak ponury cień deptała jej po piętach.

Choć z początku Sara nie chciała przyjechać do Szkocji, alternatywa była o wiele gorsza. Jednakże teraz, skoro już tutaj była, chciała zostać. Poza tym nieobecność Olivii stwarzała jej doskonałą okazję, by dowiedzieć, że jest rozsądna, praktyczna i że nauczyła się panować nad swą impulsywną naturą.

Musiała tylko przejąć list Olivii.

-Nic pani nie jest, panienko? - zapytała pani Tillotson, sprowadzając Sarę do rzeczywistości.

Sara zamrugała, po czym z premedytacją obdarzyła dobroduszną kobietkę swym najpromienniejszym, najszczęśliwym uśmiechem.

•Och, nic. Nic, Cóż, jestem zawiedziona, oczywiście. Tak bardzo chciałam zobaczyć ich wszystkich. Kiedy wrócą?

•Cóż, zamierzają pozostać w Glasgow dobry miesiąc, nawet dłużej. Pewnie chciałyby pani dołączyć do nich?

Przez chwilę Sarę niezmiernie kusilo, by właśnie to zrobić. Miasto -jakikolwiek miasto - z pewnością było bardziej interesujące niż spokojna wieś. Lecz gdyby przybyła do Glasgow, Olivia chciałyby wiedzieć, dlaczego odesłanojąz Londynu, po czym zaczęłybyjej rozkazywać, jakby Sara nadal miała dwanaście lat.

Poza tym, zdecydowała właśnie teraz, podniety miejskiego życia nie były jej potrzebne.

•Nie, nie - odpowiedziała małej kobiecie. - Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli pojedę dalej, do Byrde Manor.

•O, tak. Na pewno chciałyby panienka spędzić jakiś czas z Bertie, chcę powiedzieć, z panią Hamilton.

Sara uśmiechnęła się, tym razem szczerze. Kilka lat temu ukochana wieloletnia ochmistrzyni i towarzyska jej matki wyszła powtórnie za mąż i wróciła do rodzinnej Szkocji. Mieszkała teraz ze swym zrędlwym mężem w Byrde Manor, posiadłości Olivii.

Podczas gdy ojciec Sary pozostawił jej liczne inwestycje, przynoszące dochód nieruchomości oraz olbrzymią kwartalną kwotę na bieżące wydatki, ojciec Olivii zostawił swemu jedynemu dziecku tylko tę skromną posiadłość, z pastwiskami dla owiec, farmą i wygodnym, lecz wiejskim domem. Mimo to Sara Zawsze lubiła przyjeżdżać do majątku Olivii. Zatrzymanie się u Hamiltonów będzie jak wizyta u dziadków.

26

- Tak - powiedziała Sara. - Chyba miałabym na to ochotę. I jeśli pani chce - dodała - nadam pocztą list siostry do matki razem z moim własnym. Chcę ją powiadomić, że bezpiecznie dojechałam.

Pani Tillotson pokiwała głową.

•Bardzo dobrze, panienko. Ale proszę pozwolić, że przyniosę pani filiżankę herbaty, zanim odjedzie pani do Byrde Manor. Oj, ależ Bertie się ucieszy.

•Zatem wszystko ustalone - głośno powiedziała Sara, gdy pani Tillotson poszła po herbatę i list. Pocieszała się, że jeśli nawet oszukała ochmistrzynię, to nie był to wielki grzech. Napisze do matki i powiadomi ją o swym przyjeździe. Lecz matka nie musi wiedzieć o nieobecności Oli-vii. A siostra nie musi już teraz dowiadywać się o nieprzyjemnych okolicznościach skłaniających Sarę do opuszczenia Londynu.

Przynajmniej przez następny miesiąc będzie mogła cieszyć się beztroskim życiem.

3

W

Byrde Manor Sara wcześniej położyła się do łóżka. Spała jak kamień i wstała, gdy tylko słońce pojawiło się nad wschodnim horyzontem. Agnes już nie spała, tak samo jak pani Hamilton. Było jasne, że starzejąca się ochmistrzyni i sztywna londyńska pokojówka nie będą żyły w zgodzie.

•Moja Sara to dobra dziewczyna. - Głos pani Hamilton dobiegał Sarę z pokoju jadalnego, gdy schodziła

po schodach. Sara uśmiechnęła się. Pani Hamilton zawsze będzie jej broniła. - A nawet jeśli ma porywczą naturę, to co z tego? Jej matka była taka sama, a pokaż mi damę tak miłą i kochającą Augusta St. Clare.

•Hm - dobiegła odpowiedź i uśmiech Sary zgasł. Właśnie wyobraziła sobie zaciętą minę Agnes. - Lady Augusta istotnie jest miłą damą- odparła pokojówka. - Miłą i dość mądrą, żeby wiedzieć, że panna Sara na każdym kroku szuka kłopotów.

Sara wybrała tę właśnie chwilę, by pogodnie wejść do pokoju. Pani Hamilton już szykowałą się do wygłoszenia tyrady, jednak Agnes wydawała się nieporuszona. Nawet nie miała na tyle przyzwoitości, by żałować, że jej niepoehlebne uwagi zostały usłyszane.

27

Sara postanowiła zignorować tę sytuację. No, może nie całkiem zignorować. Były sposoby, by poradzić sobie z niemiłymi służącymi, nawet z takimi, które otrzymały od rozgniewanego brata specjalne upoważnienie, by wzięły krnąbrną siostrę ostro w garść.

- Agnes - zaczęła. - Zauważyłam, że mój kostium podróżny ma zaplamiony obrąbek, a jeden z guzików się obluzował. Czy byłabyś taka dobra i zadbała o to, zanim nas opuścisz? Wyjeżdżasz jutrzejszym dyliżansem, mam rację? - Uśmiechnęła się. - A kiedy już z tym skończysz, możesz przejrzeć resztę mojej garderoby z kufra i wyprasować wszystkie załamki. I szczególnie zatroszczyć się o mój szkarłatny płaszcz.

Agnes ściągnęła usta, lecz usłużnie skinęła głową. Otrzymała polecenie, by mieć Sarę na oku, lecz to nie oznaczało, że mogła uchylać się od innych obowiązków.

Gdy Agnes wymaszerowała z pokoju, pani Hamilton sapnęła z irytacji.

•Co za głupia kobieta. Dlaczego twoja matka wysłała ją z tobą?

•Proszę się nie martwić, ona tutaj nie zostanie. Matka pozwoliła jej spędzić miesiąc z rodziną Carlisle. Prawdopodobnie dlatego, żeby samej nie mieć z nią do czynienia - dodała Sara ze śmiechem. - Agnes od dawna należy do służby mojego ojczyma, więc nie można jej wyrzucić.

Pani Hamilton nalała Sarze filiżankę herbaty i wskazała jej stół.

•On ma zbyt miękkie serce, to pewne. Ale chodźże. Usiądź, zjedz i opowiedz mi wszystkie nowiny.

•Tylko jeśli pani także usiądzie - powiedziała Sara.

Pograżone były w ploteczkach — choć nie było mowy o zagmatwanej sytuacji Sary - gdy inna służąca zbliżyła się do pani Hamilton.

•Jakiś dżentelmen stoi przy drzwiach. Przyszedł prosić o pozwolenie łowienia ryb w rzece.

•Dżentelmen? - zapytała pani Hamilton.

•Tak, proszę pani. Przystojny dżentelmen. Pan Marshall MacDougal. Takie podał nazwisko.

Sara zeszywniała.

Marshall MacDougal o szerokich ramionach i bezczelnym spojrzeniu. W pełnym zadowolenia uśmiechu uniosła kąciki ust.

Czy ten zuchwalec ją śledził?

Na szczęście uwaga pani Hamilton skupiona była na pokojówce.

-Jaki on jest?

Pokojówka pozwoliła sobie na frywolny uśmiech, po czym, zerknąwszy na Sarę, powściągnęła go.

- Na oko wysportowany. Dobrze wychowany, świetnie ubrany i ma konia, który spodobałby się panu Hamiltonowi.

28

- Dobrze - powiedziała ochmistrzyni. - Pozwól mu łowić na naszym odcinku rzeki. Jestem pewna, że pan Hamilton nie miałby nic przeciwko temu. A więc - ciągnęła, znów zwracając się do Sary - wolisz zostać tutaj ze starymi, zamiast pojechać do siostry do Glasgow. Dobry Boże, dziecko! Musisz mieć gorączkę. Nigdy nie widziałam, żebyś wolała wieść od miasta, przynajmniej odkąd weszłaś w świat.

Powściągając ciekawość co do pana MacDougala, Sara wzięła filiżankę i obracając nią, wprawiła herbatę w powolne wirowanie.

•Od czasu do czasu każdemu potrzebna jest zmiana otoczenia. Przysięgam, wszystkie te przyjęcia, rauty i bale... Te chichoczące nerwowo dziewczęta i upozowane matki. Ciągłe ci sami mężczyźni, prowadzący takie same niezobowiązujące rozmowy.

•Sądząc z listów twojej matki, nigdy bym tego nie pomyślała, ale zaczynasz mówić jak twoja siostra. A wiesz, co jej się przydarzyło?

Pani Hamilton przekrzywiła głowę.

- Kiedy przestała szukać mężczyzny, znalazła go. I mogłabym dodać, że niezwykle dobrego.

Sara roześmiała się.

•Gdybym znalazła mężczyznę choć w połowie tak wspaniałego jak Neville, natychmiast bym go złapała.

•Cóż. Jesteś teraz w Szkocji, a my jesteśmy krajem krzepkich mężczyzn. Nie tak wyrafinowanych, żeby byli nudni, zauważ! Ale nie tak szorstkich, żeby byli prostacy.

•Takich jak pan Donnie?- Sara roześmiała się, gdy pani Hamilton zaczerwieniła się lekko. - Może powinnam, tak jak pani, poczekać z za-mążpójściem, aż mi posiwieją włosy?

•Co też ty, dziewczyno! Nie waż się popełnić tego samego błędu, co ja. Mogłam wyjść za mąż za Donniego, kiedy miałam dwadzieścia trzy lata. Ale byłam zbyt dumna i zbyt uparta. Całe szczęście, że Bóg dał mi drugą szansę. A skoro mowa o moim mężu, to będzie chciał się napić herbaty i zobaczyć cię. Może pójdziesz ze mną do stajni i powiesz mu dzień dobry?

•Tak, chemie. Może osiodła dla mnie konia, bo mam ochotę na przejażdżkę. Czy on nadal trzyma tę ładną kasztankę?

Niecałą godzinę później Sara siedziała na koniu i kłusowała do nadrzecznej drogi. Zauważyła, że kamienne ogrodzenia były w dobrym stanie, a jabłonie zielone i zdrowe.

Choć Olivia mieszkała z Neville'em w Woodford Court, za rzeką Tweed, to utrzymywała Byrde Manor, ponieważ dwór był jej domem rodzinnym

29

i wszystkim, co odziedziczyła po ojcu, Cameronie Byrdzie. Posiadłość głównie służyła gościom podczas sezonu polowań na kuropatwy, gdyż był to zwykły dwór, znacznie mniejszy od Woodford Court. Sara miała związane z nim miłe wspomnienia ze swego dzieciństwa. Zaś pola i lasy wokół niego były szczególnie malownicze.

Prowadząc klacz przez drogę i przez kępę drzew nad rzeką, wciągała głęboko rześkie ranne powietrze.

Była bardzo zadowolona, że jest tutaj. Cały świat pachniał dziś bujną zielenią. Olchy, brzozy i sykomory, pełne świergotu ptaków, kołysały się w porze kwitnienia.

Sara zatrzymała się na długiej, pochylej łące, odetchnęła głęboko i rozejrzała się wokół siebie. Było tutaj pięknie i dziko - inaczej niż w Londynie. Dlaczego, na miłość boską tak bardzo wzbraniała się przed tą podróżą? W tej chwili nie chciały być w żadnym innym miejscu na ziemi.

Jej spokojną medytację przerwał krzyk i dudnienie kopyt. Klacz podrzuciła łeb, a Sara odwróciła się szybko. Drogą galopował koń. Młody człowiek, pochylony nad szyjzawierzęcią, popędzał je szpicrutą. Za nim dwaj młodzieńcy gnali na swych wierzchowcach, wykrzykując przekleństwa i zmuszając ciężko pracujące konie do szybszego biegu.

Po chwili zniknęli, pozostawiając tylko kurz i echo krzyków. Ci chłopcy wkrótce wyrosną na krzepkich Szkotów, z których taka dumna była pani Hamilton.

Sara zazdrościła chłopcom całkowitej swobody, mimo to myślała o nich z lekką naganą. Miała nadzieję, że po takim szalonym biegu przyprowadzą konie. Pragnęła tak samo pogalopować, lecz jej myśli błądziły gdzie indziej.

Kim jest ten Marshall MacDougal, ten Amerykanin, który wygląda jak dżentelmen, lecz ma w sobie coś przerażającego? I dlaczego znalazł się tutaj, w Kelso - łowiąc ryby w rzece Tweed, właściwie tuż pod jej drzwiami?

Naszło ją nagle podejrzenie. Czy to możliwe, że jest przyjacielem jej brata, wynajętym po to, by za nią jeździł i szpiegował? Może nawet po to, by poddać ją próbie, i o wszystkim donieść później Jamesowi?

Sara skrzywiła się i przygryzła wargę. Jakkolwiek w postępowaniu z nią James przechodził samego siebie, z pewnością nie zniżyłby się do tego. Poza tym jej brat chyba nie zna żadnych Amerykanów, a pan MacDougal przyznał, że bardzo krótko przebywał w Londynie. Między tymi dwoma mężczyznami nie mogło być żadnego związku. Ale jeśli?

Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Popędziła klacz ścieżką która prowadziła na brzeg rzeki. Stanie twarzą w twarz z tym Marshalllem MacDougalem i ustali, kim jest naprawdę! Doskonale znała się na mężczyznach.

30

Cóż. Może na lordzie Penleyu się nie poznała...

Lecz teraz była mądrzejsza - choć tamten incydent miał miejsce pięć dni temu. Mimo wszystko była przekonana, że ten Amerykanin jej nie zwiedzie.

Stojąc na pokrytym mchem brzegu, Marsh zarzucił żyłkę w spokojny nurt rzeki. Mucha wpadła do małego rozlewiska odgradzonego przewróconą kłodą i świeżo wyrosłą kępą trzciny. Od razu zaczął wodzić muchą po powierzchni. Lecz myśli miał zajęte czym innym niż grubą rybą.

Dowiedział się mało, gdy pod pozorem wędkowania zaszedł do Byrde Manor. Pozostawił Duffa w Kelso, z poleceniem, by krążył po mieście - przede wszystkim po miejscowych pubach - i rozeznał się w życiu okolicy.

Kto był kim, kto miał władzę? Kto był zadowolony, kto miał żal? Marsh dobrze wiedział, że służba plotkuje między sobą i chciał znać wszelkie plotki o Byrde Manor.

Nagle coś zacięło żyłkę. Zaskoczony Marsh nie zareagował wystarczająco szybko. Gdy szarpnął wędką, by wbić haczyk, było za późno. Haczyk pofrunął wysoko, ale bez ryby. Co gorsza, tuż za nim rozległ się wesoły śmiech.

- W ten sposób nigdy pan nie złowi żadnego z tych chytrych stworzeń.
Zdumiony, Marsh obrócił się gwałtownie i na skraju drzew zobaczył

młodą kobietę, spoglądającą na niego z wysokości osiodłanego konia. Kobieta kryła się w cieniu i trudno było rozróżnić jej rysy, lecz wszędzie rozpoznalby ten pewny siebie głos. Choć tego ranka nosiła prosty zielony strój do jazdy konnej i nigdzie nie widać było szkarłatu czy soboli, była dziewczyną powozu.

Do diabła z rybami! Wolałby upolować zieloną nimfę leśną.

Z wystudiowaną nonszalancją zaczął wciągać linkę.

- Czy nikt pani nie ostrzegał, że nie należy zaskakiwać wędkarza? Gdyby nie pani, z łatwością złowiłbym tę rybę.

Ona znów się zaśmiała, na co liczył, i podjechała bliżej, na co także miał nadzieję.

- Może pan mnie winić, jeśli to panu pomoże. Nie mam nic przeciwko temu.

Słońce zaplątało się w jej ciemne włosy, zapalając kasztanowe błyski w długim warkoczu, który spływał spod jej słomkowego kapelusza. Mimo dobrze skrojonego, zielonego stroju do konnej jazdy, ozdobionego dwoma rzędami złotych guzików, ta swobodna fryzura nadawała jej zupełnie inny wygląd. Nie przypominała już londyńskiej damy ani tych dzierlatek z towarzystwa do jakich był przyzwyczajony w Bostonie. Wyglądała jak zwykła kobieta - amerykańska kobieta - szczególnie że siedziała na koniu po męsku.

31

Marshall umocował wędkę, nie spuszczać wzroku z kobiety.

- A więc, panno Beznazwiska. Przemawia pani do mnie teraz, gdy nie ma tutaj nikogo, kto zauważyłby pani towarzyski nietakt.

Nie odpowiedziała na jego zaczepkę, lecz kazała swej niecierplivej klaczy zatoczyć zgrabny krąg. Dobrze jeździ konno, zauważył, lekko dotyka konia kolanami, swobodnie trzyma wodze.

Zachęcony, ciągnął:

- Czy wyjawi mi pani swoje nazwisko, czy też nadal muszę myśleć o pani jak o Czerwonym Podróżującym Kapturku?

Na te słowa jej rozmyślnie wyniosła mina rozpląnęła się w kpiącym uśmiechu.

- Czerwony Podróżujący Kapturek. Podoba mi się. Ale proszę mi po wiedzieć, czy jest pan złym wilkiem, którego muszę się bać?

O, tak, pomyślał. Lepiej się mnie bój, bo jesteś smakowitym kąskiem i chciałbym bardzo cię zjeść.

- O, nie - powiedział. - Nie ma się pani czego obawiać z mojej strony. Jestem tutaj głównie po to, by łowić ryby i cieszyć się wakacjami, i może ubić jakiś mały interes.

Sara studiowała go z udaną surowością.

- A dokładniej?
Marshall uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że mógłbym lepiej odpowiedzieć na pani pytanie, gdybym wiedział, z kim rozmawiam.

Sara nie wiedziała, co myśleć. Amerykanin był na swój surowy sposób przystojny i bardzo zuchwały.

Czy był szpiegiem jej brata, czy po prostu nieznanym? Dobrze byłoby się tego dowiedzieć.

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, panie MacDougal, a może ja

odpowiem wtedy na pańskie.

Przez chwilę patrzył na nią spojrzeniem bardzo złego wilka. Po czym skinął potakująco głową.

- Buduję budynki i mosty. Choć powinienem powiedzieć, że buduje je przedsiębiorstwo, które posiadam.

Interesujące.

-Rozumiem. Czy jest pan tutaj po to, żeby coś zbudować?

Bardzo po męsku wzruszył ramionami.

- Jak powiedziałem, przede wszystkim jestem tutaj na wakacjach. Jednakże nie mam nic przeciwko obejrzeniu pięknych przykładów szkockiej architektury. Może chciałaby pani służyć mi za przewodniczkę?

32

Wciąż się uśmiechając, Sara przechyliła głowę.

•Raczej nie.

•Nie? - Zmienił pozycję. Nawet porusza się jak drapieżnik, zauważyła Sara. Z pewnością siebie i większą gracją niż mogła oczekiwać po takim dużym mężczyźnie. Milczenie między nimi zaczęło się stawać krępujące, kiedy on dodał: - Odpowiedziałem na pani pytania. Teraz pani kolej odpowiedzieć na moje.

Ściągnęła mocno wodze, na co klacz odpowiedziała nerwowym grzebaniem kopyta o ziemię. Sara sapnęła nerwowo.

- Nazywam się Sara Palmer, choć nawet tyle nie powinnam była panu wyjawiać. Ufam, że jeżeli kiedykolwiek zostaniemy sobie stosownie przedstawię, będzie pan na tyle wychowany, by udawać, że nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy.

Marshall potrząsnął głową, a wiatr zwiął mu na czoło pasmo dość długich, kasztanowych włosów.

•Jakież skomplikowane gry prowadzą kobiety z towarzystwa.

•Kobiety z towarzystwa? - Sara rzuciła mu wyniosłe spojrzenie. - Zapewniam pana że to bardziej mężczyźni niż kobiety z towarzystwa poddają tyłu regułom zachowanie swych córek i żon. Gdybyśmy to my decydowały, obcinałybyśmy włosy, jeździły konno okrakiem i paliły cygara. Publicznie -dodała, po czym zdziwiła się własnymi słowami. Skąd jej się to wzięło?

Mężczyzna się roześmiał i niski odgłos jego śmiechu zawibrował gdzieś głęboko w Sarze.

- Gdybym miał cygaro, przypaliłbym je teraz pani. A okrakiem już pani jeździ - dodał. Po czym jego szeroki uśmiech zgasł, a oczy pociemniały i zaczęły swobodnie wędrować po niej. - Ale w jednym muszę się zgodzić z Anglikami. Niech pani pozostawi swoje długie włosy, Sara Palmer i niech mi pani pozostawi nadzieję, że pewnego dnia wolno mi je będzie zobaczyć rozplecione i rozsypane na ramionach.

Sara głęboko wciągnęła powietrze, wstrząśnięta jego oburzającymi słowami. On ją umyślnie prowokował i starał się zaniepokoić. Lecz to, że o tym wiedziała, wcale nie złagodziło wstrząsu, a łaskotanie w brzuchu narastało.

Jednakże nie musiała mu tego mówić.

•Spokojnie, panie MacDougal. Obawiam się, że będzie pan bardzo rozczarowany wizytą w naszym wyspiarskim królestwie, jeśli będzie pan w taki sposób rozmawiał z damami. Gdyby mój brat usłyszał, jak

się pan do mnie zwraca, z pewnością wyzwiałby pana.

- O, doprawdy?
- Bez wątpienia. Moim bratem jest James Linden, wicehrabia Farley.
- Linden? - przerwał jej Marshall. - Ale pani nazwisko brzmi Palmer.

3 - Nieodparty i nieznośny

33

T

Spojrzała na niego z góry.

- Tak. Do pańskiej wiadomości, James jest moim bratem przyrodnim. Mieliśmy różnych ojców.
- Rozumiem. To znaczy, że pani ojciec...
- Mój ojciec od wielu lat nie żyje -ucięła Sara.— Tak jak ojciec mojego brata. Ale proszę nie mieć wątpliwości, nasz ojczym z pewnością poparłby Jamesa.

- Przykro mi. Nie zamierzałem poruszać drażliwego tematu.
Sara zadarła podbródek.

•Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem, najlepszym z ojców, ale nie zamierzam rozmawiać o tym z panem. Udaję się na przejażdżkę, a pan nadal ma rzekę pełną 17b do dręczenia. Żegnam, panie MacDougal.

•Proszę zaczekać. Proszę jeszcze nie odjeżdżać. - Podeszedł bliżej, z wyciągniętą do niej ręką. - Chciałbym znów panią zobaczyć, panno Saro Palmer. Czy wolno mi panią odwiedzić? Gdzie pani mieszka?

•To z pewnością nie jest możliwe - odpowiedziała natychmiast. Lecz była świadoma niestosownego przypływu zadowolenia z jego propozycji. Choć ten nieokrzesany Amerykanin nie powinien robić na niej wrażenia, Sara nie mogła zaprzeczyć, że ją intrygował. - Proszę pamiętać -powiedziała, zawracając przed odjazdem konia. -Jeśli kiedykolwiek nas sobie przedstawia, ma pan udawać, że mnie pan nie zna.

•Obawiam się, że nie będę mógł tego zrobić.

•Co? - Ściągnęła wodze, po czym spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami. - Ale pan się zgodził.

•Tego pani nie obiecałem. Ale dam pani odpowiedź teraz. Kiedy następnym razem się spotkamy, będę wobec pani tak uprzejmy, jak w ciągu ostatnich kilku minut.

-Nie wolno panu!

Serce Sary zabiło mocno w panice, gdy mężczyzna wolnym krokiem zaczął zbliżać się do niej. Siedziała wysoko na koniu, podczas gdy on podnosił na nią wzrok ze swego miejsca na brzegu rzeki. A jednak to ona czuła się zaniepokojona tym, że on się zbliża, to ona czuła się jak ofiara.

Bez wątpienia, fascynował ją. Czy działał tak na wszystkie kobiety? Nawet klacz wyciągnęła szyję, by trącić nosem jego wyciągniętą rękę.

Zanim Sara zareagowała, on chwycił mocno za wędzidło zwierzęcia. Serce Sary zaczęło bić szybciej. Była sama z mężczyzną, któremu nie mogła ufać.

Szarpnęła wodze i chwyciła bat, gotowa się bronić. Lecz klacz była płochliwa i stanęła dęba. Jednak gdy MacDougal puścił wędzidło, klacz raptownie opadła na cztery nogi.

To wystarczyło, by Sara straciła równowagę. Choć sięgnęła do małego łęku, poczuła, że zaczyna się zsuwać.

-Niech to diabli! - zakląła, napinając mięśnie przed ciężkim upadkiem.

Lecz zamiast spaść na twarde podłoże, wpadła w silne ramiona.

-Mam cię...

-Niech mnie pan puści!

W walce oboje upadli na ziemię.

Przez chwilę Sara leżała w najbardziej krępującej pozycji, jaką mogła sobie wyobrazić, rozciągnięta na mężczyźnie. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że jej spódnice pofrunęły wysoko, zakrywając mu głowę. Wydostała się spod piany halek i znalazła się na jego kolanach, z jego ramieniem uwięzionym pod własnymi nogami.

On odezwał się pierwszy.

•Jest pani ranna?

•Nie, ty.. .ty barbarzyńco!

•Barbarzyńco? Właśnie uratowałem twoje ładne małe siedzenie przed przykrym upadkiem, a mimo to mnie obrażasz?

•Gdybyś nie chwycił wędzidła mojego konia... Och! Pozwól mi się podnieść! - wykrzyknęła, próbując stanąć na nogach.

•Gdybyś nie była taką niegrzeczną damulką...

•Damulką! - Sara nie mogła uwierzyć, że on to powiedział. Rozwścieczona spiorunowała go spojrzeniem.
- Jak śmiesz tak do mnie mówić?

Marsh zareagował, nie zważając na następstwa. Ona już była wściekła, więc co miał do stracenia? Poza tym jej kapryśne usta wygięły się, jakby miała zamiar dać mu ostrą reprimendę. Znał tylko jeden sposób uciszenia wściekłej kobiety, więc go zastosował. Zamknął jej usta twardym, napastliwym pocałunkiem.

Pocałunek dał pożądany skutek, ponieważ żadne już słowa nie próbowały się wydostać spod jej ust. Zarazem osiągnął inny, niechciany efekt.

Przez chwilę przyciskał usta do jej ust. Żądza obudziła się w nim jak głodna bestia, żądając czegoś więcej niż tylko jednego niewinnego pocałunku. Marsh pogłębił pocałunek, świadom kobiecego ciężaru na swych kolanach, jej lekkiego kwiatowego zapachu, owiewającego mu głowę i jej rozkosznych ust, które pod naciskiem jego warg stawały się miękkie.

Chciał jeszcze.

Lecz gdy otworzył te ponętne wargi i wniknął głęboko w zakątki tych słodkich, ciepłych ust, ona zeszytniała i Marsh wiedział, że chwila minęła. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, zsunął ją ze swych kolan, zerwał się na równe nogi, po czym pociągnął ją brutalnie za ramię i postawił.

35

- Na przyszłość proponuję, byś znalazła łagodniejszego wierzchowca, skoro nad tym wyraźnie nie panujesz. — Do końca nie był pewien, czy miał na myśli siebie, czy klacz.

Przeszedł kilka kroków wzdłuż brzegu, chwycił wodze kasztanki i zaczął sprawdzać, czy zwierzę nie jest ranne. Lecz był niezmiernie czuły na każdy ruch, jaki robiła Sara Palmer. Na to, jak strzepywała pomietą

spódnicę i ukradkiem rozcierała obolałe miejsce. Kiedy pochwyciła jego zuchwałe spojrzenie, objęła się rękoma w talii i zmarszczyła brwi.

Przynajmniej jej ani zwierzęciu nie stała się krzywda. Natomiast on czuł prawdziwy ból niestosownego podniecenia.

-Wydaje się, że koniowi nic się nie stało i możesz odjechać —mruknął i podprowadził zwierzę do Sary.

Cofnęła się o krok.

- Nie powinieneś chwytać za wędzidło. - Kiedy nie odpowiedział, lecz tylko wpatrywał się w jej szeroko otwarte błękitne oczy, ona zacisnęła zęby i wysunęła podbródek. -1 nie powinieneś całować mnie w ten sposób.

-Nie? A w jaki sposób pozwoliłabyś się całować?

- W żaden. - Błysnęła oczami i wyrwała wodze z jego ręki.

- Czy mogę ci pomóc?

Prychnęła niegrzecznie.

-Sądzę, że już dość mi pomogłeś.

Marsh stał więc i patrzył, jak z zamachem wsiada na konia, szeleszcząc pobrudzonymi spódnicami i halkami. Podziwiał błysniecie kostki obciążonej pończochą i sztywność jej pleców, gdy sadowiła się w siodle. Była rozwścieczona i zawstydzona, i miał nadzieję, że odrobinę zaintrygowana.

Marsh uśmiechnął się, gdy Sara posłała mu jadowite spojrzenie. Zawróciła konia i odjechała. Albo ją zdobył, albo stracił. Niebawem się tego dowie.

4 c

i-J ara przesuwiała po kasztance parą zniszczonych szczotek z energią, która, niestety, wcale nie rozpraszała jej narastającego niepokoju.

Co ona sobie myślała, całując tego mężczyznę?

Nie pomogło wmawianie sobie, że to on zaczął. On chwycił wędzidło jej konia i sprawił, że zdumione zwierzę stanęło dęba, a ona spadła.

Wszystko to była prawda. Mimo to było jeszcze coś i to wprowadziło ją w taki stan. On ją pocałował, ale ona oddała pocałunek.

36

Zacisnęła usta i szczotkowała boki klaczy, jakby nie robiła tego od dawna. Niecałe dwa dni w Szkocji, a już znalazła się w kłopotach. I, jak zwykle, w towarzystwie mężczyzny.

I cóż to za mężczyzna, wmieszała się zdradziecka myśl. Dobrze zbudowany, niebezpieczny. Fascynujący, mimo swego aroganckiego zachowania. Nigdy przedtem pocałunek tak na nianie podzielał. Nigdy.

A przecież to samo myślała o kradzionych pocałunkach lorda Penleya. Były one szybkie, lecz towarzyszyły im wylewne przysięgi miłości i wiecznego oddania. Jakaż była głupia. Teraz wiedziała, że pocałunki lorda Penleya były niczym w porównaniu z gwałtowną namiętnością, jaką rozpętał w niej Marshall MacDougal.

Czy może ta gwałtowna namiętność brała się z niej samej?

Z ręką zawieszoną w powietrzu Sara zatrzymała się i przygryzła wargę. Wydawało się, że gdy miała do czynienia z mężczyznami, postępowała odwrotnie, niż powinna dama z jej sfery. Z każdym pocałunkiem i pieszczotą szybciej się poddawała.

Jęknęła cicho. Czy jest tak, jak mówił jej brat, że nie ma umiaru i jest lekkomyślna? Przez to wpadała w

tarapaty.

W tej chwili było tak samo. Zmarszczyła brwi i ponownie zajęła się oporządzaniem spokojnego konia, rozczesując grzywę i długi ogon. Pracując, zastanawiała się, w jaki sposób zmienić swoje zachowanie i stać się taka, jak jej siostra Liwie.

Zawsze mogła zatrzymać przy sobie Agnes. To rozwiązałyby jej problemy. Nie, rano Agnes wyjedzie i oby za szybko nie wróciła.

Wreszcie Sara zdecydowała, że to, czego jej trzeba, to ranne wstawanie i wczesne kładzenie się do łóżka, dużo świeżego powietrza i zajęć zarówno dla rąk, jak i umysłu. Coś, co wypełniałoby jej czas. Z pewnością było wiele rzeczy, które mogłaby robić w Byrde Manor, by wypełnić sobie dni i pomóc pani Hamilton. Za miesiąc Olivia z mężem i dziećmi wrócą z Glasgow. Jeśli się przyłoży, do tego czasu może dowieść, że potrafi być użyteczna, ma silny charakter i rodzina może być z niej dumna.

A gdyby znów napotkała tego Amerykanina, Marshalla MacDougala?

Wierzchem dłoni Sara odgarnęła z czoła zabłąkany lok. Musi go unikać. Już się przekonała, że po tym, co właśnie między nimi zaszło, nie może ufać ani jemu, ani sobie.

Bogu dzięki, on przebywa w Szkocji tylko chwilowo. Powiedział, że ma wakacje. To oznaczało, że kiedyś stąd wyjedzie.

Marshall MacDougal niebawem opuści Kelso, ale ona musi trzymać się z daleka od kolejnych, niewłaściwych mężczyzn. Problem w tym, że tylko tacy ją pociągają.

37

Twarz jej sposepniała. Może po prostu powinna unikać wszystkich mężczyzn, przynajmniej przez jakiś czas. Trzymać się wyłącznie towarzystwa kobiet.

Westchnęła, przybita tą ponurą myślą. Lecz przysięgła, że będzie trwać przy swoim zamierzeniu.

Pół godziny później Sara siedziała w kuchni, umieszczając podnózek pod stopami pani Hamilton.

- Proszę. Nie musi się pani ruszać z miejsca. Niech pani tylko siedzi jak królowa i rozporządza nami do woli.

Pani Hamilton przesłała jej przenikliwe spojrzenie.

- Patrzcie, jaka uczynna. Aleja cię znam, Saro Palmer. Ty nigdy nie byłaś z tych, co kręcą się po kuchni, z robótką w kieszeni.

Powłócząc nogami, przez otwarte drzwi wszedł pan Hamilton. -Nie kręci się po kuchni, bo woli kręcić się po stajni. Mądra dziewczyna. Sara, której ulżyła ta uwaga, uśmiechnęła się.

•Ostatnio rzadko bywałam i tu, i tam. - Przynęła krzesło o sznurkowym siedzeniu, usiadła przy szerokim porysowanym stole i uśmiechnęła się czule do pary starszych ludzi. - Cudownie jest być tutaj z wami. Mogę udawać, że znów mam dwanaście lat i żadnych zmartwień i trosk.

•Jedyne, o co musisz się martwić, dziewczyno, to zamażpójście -oświadczył pan Hamilton. - Powinnaś wyjść za mąż. - Spojrzał na żonę. -Powinna wyjść za mąż.

•Och, cicho bądź, stary - odparła pani Hamilton. - Nie każdy staje przed ołtarzem w wieku dwudziestu lat. Ty nie stanąłeś.

-Ale powinienem. Powinienem był wtedy ożenić się z tobą, nawet jeśli byłaś sekutnicą. - Po czym, mrugnawszy do Sary, wyszedł z kuchni.

-Lepiej zmykaj, staruchu! -wykrzyknęła za nim pani Hamilton.-A ja nie byłam sekutnicą. - Spojrzała na Sarę. -No, może czasami. Ale tylko dlatego, że on był takim nieznośnym młodym byczkiem.

Sara bawiła się kawałkiem nitki, która odpruła się od mankietu jej rękawa.

- Czy sądzi pani, że gdybyście się wtedy, dawno temu pobrali, to... to czy tak samo byłoby między wami?

Pani Hamilton nalała sobie śmietanki do herbaty.

- Nie, nie sędzę. Jest pora na wszystko, dziecko. Nic nie da rozważyć, jak zmienić przeszłość, bo nigdy nie będziesz miała takiej możliwości. Pozwól odejść przeszłości. Staraj się dokonywać dobrych wyborów tutaj i teraz i czekaj na to, co przyszłość przyniesie. Ja ci to mówię.

Sara skrzywiła się.

•To trudne, prawda? Dokonywanie dobiych wyborów tutaj i teraz.

•Przypuszczam, że dlatego jesteś w Byrde Manor. Twoja matka wysłała cię do nas, żebyś coś przeczekala, prawda?

38

Sara zrobiła minę.

•Widzę, że się pani nie zmieniała. Wszystko pani rozgryzie.

•Kto ma to robić, jeśli nie ja? Było cię pełno od pierwszego dnia, pierwszego oddechu, Saro Palmer. Byłaś niesfornym niemowlęciem, żywym dzieckiem, a teraz jesteś krnąbrną młodą kobietą. Nietrudno się domyślić, że ostatnie, czego byś chciała, to opuścić Londyn w pełni sezonu. A że zwykle udaje ci się owinąć matkę i brata wokół palca, domyślam się, że tym razem trochę przeholowałaś!

Sara obracała na spodeczku pustą filiżankę. Czy tak łatwo ją przejrzeć? Spojrzała nachmurzona na filiżankę.

-Zakochałam się w nieodpowiednim mężczyźnie... Tylko że wtedy wydawał się odpowiedni. Ale nie był i gdyby James mnie nie powstrzymał, w tej chwili byłabym już zamężna i nieszczęśliwa.

•Rozumiem. A czy podziękowałaś Jamesowi za to, że się wmieszał? Sara obdarzyła starą, mądrą kobietę cierpkim uśmiechem.

•W końcu tak.

•Hm. A czy to doświadczenie czegoś cię nauczyło?

Sądząc po dzisiejszym dniu, nie bardzo, pomyślała. Do pani Hamilton zaś powiedziała:

- Och, przypuszczam, że tak. Głównie, że mam okropny gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

Pani Hamilton zachichotała.

-Jesteś taka jak twoja matka. Zupełnie jak ona.

•O, Panie. Mam nadzieję, że to nie oznacza, iż mam mieć czterech mężów, tak jak ona.

•Nie waż mi się krytykować mojej słodkiej Augusty. Kochała każdego ze swych mężów, a teraz też jest szczęśliwa. Przynajmniej tak pisze w listach. - Stara służąca z poważną twarzą pochyliła się do przodu. -Powiedz mi prawdę, dziewczyno. Czy ona jest szczęśliwa?

-Nie musi się pani martwić w tej kwestii, bo matka i Justin są bardzo szczęśliwi. Z tego, jak wciąż romansują, można wnosić, że są nowożeńcami. Tylko ja jęmartwię. Tylkoja —westchnęłaż przesadną rezygnacją.

•Ależ, dziewczyno, na pewno nie sprawiasz aż tyle kłopotu.

•Ja też tak myślę. Ale, cóż, zdaje się, że popełniłam kilka błędów. Tylko już ich nie powtórzę. Mam zamiar otworzyć nową kartę, pani Hamilton. Ale proszę mi powiedzieć - dodała, mając nadzieję zmienić temat - co nowego w tych stronach?

Ku uldze Sary, stara kobieta rozparła się w krześle.

- Och, nie tak wiele. Jest tutaj całkiem spokojnie. Choć zdarzyło się coś denerwującego. Bratanek lorda Hawke'a, ten nieokiełznany Adrian, doprowadził do tego, że wyrzucono go z Eton. Wczoraj wrócił do domu.

39

Ma szczęście, że stryj wyjechał do Glasgow, ale kiedy wróci, z pewnością będzie awantura. - Cmoknęła i potrząsnęła siwą głową. - To wstyd, bo po ostatniej awanturze, jaką wywołał, lord Hawke i Liwie bardzo się starali, by go z powrotem umieścić w szkole. Adrian. Sara od lat nie widziała bratanka Neville'a.

•Ile on ma teraz lat?

•Czternaście. Piętnaście. Okropny wiek dla chłopców, gdyby mnie ktoś pytał. Oczywiście, czego można oczekiwać, kiedy chłopiec nie ma ojca, a jego matka każe mu myśleć, że stoi wyżej niż inne wiejskie chłopaki? Nawet jeżeli Adrian jest z nieprawego łoża, lord Hawke postępuje jak należy wobec jedynego dziecka swego zmarłego brata. A Liwie jest dla niego równie dobra, jak dla swojej dwójki. Lecz tak długo, jak Estelle będzie podkopywać wszelkie ich wysiłki, by ucywilizować tego chłopca... Cóż, szykuje się kolejna awantura.

Sara z trudem przypominała sobie Estelle Kendvick.

•Co pani ma na myśli mówiąc, że ona podkopyuje ich wysiłki?

•Ach, zachęca go, by myślał, że jest lepszy od innych chłopaków w tych stronach, a jednocześnie śmieje się, kiedy on źle się zachowuje. Adrian jest dobrym chłopcem. Aie ta Estelle... Obawiam się, że zrobi z niego takiego samego samoluba, jak ona sama. -Pani Hamilton znów pokręciła potępiająco głową. - Narzekasz na swoją matkę, Saro, ale powinnaś dziękować Bogu, że nie masz takiej matki jak Adrian.

Sara zamyśliła się.

-Niedawno widziałam jakichś chłopców w wieku Adriana, pędzących konno po drodze.

- Hm. 1 prawdopodobnie Adriana na czele tej watahy.

- Sądzę, że powinnam go odszukać i zaprosić do nas.

Pani Hamilton westchnęła.

- Sądzę, że powinnaś. - Po czym poweselała. - Może będziesz miała dobry wpływ na tego chłopaka. Bóg wie, że nikt inny nie ma.

Pani Hamilton ponownie napełniła filiżankę świeżą herbatę, Sara pogrążyła się w myślach. Wychować takiego młodzieńca, uczynić go godnym ręki jakiejś młodej kobiety. Sarze potrzeba było czegoś, co by ją zajęło, jakiejś pracy. Może znalazłaby takie zajęcie przy Adrianie. \ czyi wszyscy nie odczuliby ulgi, gdyby udało jej się zmienić chłopca w dzentelmena?

Przyszła jej do głowy zaskakująca myśl. Szkoda, że nie mogła wyświadczyć takiej samej przysługi panu MacDougalowi.

Stawiając imbryk, rozlała nieco gorącego płynu i zaczęła ssać swój oparzony palec. Znowu myśl o nim wyprowadziła ją z równowagi! Dlaczego miała o nim takie myśli? Było oczywiste, sądząc z jego dzisiejsze-

40

go postępowania, że jego przyzwyczajęń nie da się zmienić. Adrian był jeszcze chłopcem, a Marshall MacDougal dorosłym mężczyzną, do którego ona bała się podejść.

Podczas gdy pani Hamilton trajkotała o żonie pastora i o wrzawie, jaką tamta podniosła w ostatni targowy dzień, myśli Sary wędrowały między nieokiełznanym Adrianem i niebezpiecznym panem MacDougalem.

Może oni się tacy rodzą, rozmyślała z pełnym wyższości uśmiechem, i na kobiety spada odpowiedzialność za ich wychowanie?

Cóż, czuła się bardziej na siłach wychować Adriana Hawke'a niż pana MacDougala. On stanowił dla niej strefę zakazaną.

Marsh zdołał złowić dwa wspaniałe pstrągi i jednego przyzwoitego szczupaka. Gdyby naprawdę był na wakacjach, mógłby złapać jeszcze kilka takich okazów. Lecz umysł miał zaprzątnięty nie tylko prawdą o ojcu i o okolicznościach własnych narodzin, ale także Sarą Palmer.

Te usta smakowały jeszcze lepiej, niż wyglądały. On tylko chciał ją uciszyć - przynajmniej tak tłumaczył swoje zachowanie. Jednak po kilku godzinach zastanawiania uznał, że chodziło o coś więcej. Chciał ją pocałować od pierwszej chwili, gdy ją wczoraj zobaczył w zajeździe pocztowym. Wyniosła smarkula.

Potem jednak zmieniła swoje nastawienie. Czuł, jak jej usta otwierają się pod jego ustami i jak jej ciało staje się uległe i chętne. Trwało to wystarczająco długo, by go podniecić. Teraz podniecało go samo wspomnienie o tym zdarzeniu.

Zapewne dlatego tak reagował na jej obecność, bo długo był pozbawiony damskiego towarzystwa, tłumaczył sobie, wyciągając ryby z wody i wieszając je na grubszym końcu żerdzi. Choć bardzo chciałby jeszcze raz uciszyć te usta, wiedział, że jest mało prawdopodobne, by tak się stało. Damy, takie jak Sara Palmer, mogły kusić mężczyznę ukradkowym uśmiechem czy skradzionym pocałunkiem. Lecz rzadko posuwały się dalej. Szczególnie te, wciąż niewinne, do których, był tego prawie pewien, Sara Palmer wciąż się zaliczała.

Jeśli wciąż chciał czegoś, będzie musiał za to zapłacić.

Tymczasem miał jeszcze inne sprawy na głowie. Postanowił pojawić się przy kuchennych drzwiach w Byrde Manor, wręczyć, jako podziękowanie, swoje ryby kucharce i sprawdzić, czy przy tylnych drzwiach dowie się tego, czego nie dowiedział się przy frontowych.

41

Gdy dziś rano pierwszy raz zbliżył się do tego domu, kipiał ledwie powstrzymywanym gniewem. Jadąc teraz podjazdem, uważniej przyglądał się domowi. Schludny, dobrze utrzymany. Dwór nie był duży wedle angielskich standardów, mimo to okazały i stary. Starszy niż cokolwiek w Bostonie czy Waszyngtonie. Żwir na podjeździe chrzęścił pod ciężkim miarowym krokiem jego wierzchowca.

Pomimo tego, co powiedział pannie Palmer o oglądaniu skarbów architektury tego regionu, Marsha nie obchodziły stare budynki. Ostatecznie budownictwo było jednym z najbardziej zyskownych przedsięwzięć, do których się zabrał.

Lecz gdy wpatrywał się w powoli wyłaniający się sponad drzew dom, musiał przyznać, że to miejsce ma w sobie coś fascynującego. Im bardziej się zbliżał, tym mocniej biło mu serce. Lecz to nie architektura tak go poruszyła. Jego ojciec mógł tutaj mieszkać - może nadal mieszka. A co z innymi krewnymi? Dziadkami, wujami i ciotkami? Jak liczna była jego rodzina?

Czy oni wiedzieli o Maureen MacDougal i dziecku, które wychowała w Ameryce?

Przyjrzał się piętrowemu domowi z szarego kamienia ze świeżo pomalowanymi oknami i trzema ozdobnymi kominami, przebijającymi płaski, pokryty dachówką dach. W kilku zacienionych miejscach mech podbarwił ściany na zielono. Lecz siedziba wydawała się dobrze utrzymana i dość zamożna. Taki

dom wielu by chciało mieć.

Czy on miał do niego prawo?

Zacisnął zęby. Niebawem dowie się tego, a jeśli ma, upomni się o to prawo i nieważne, kto zgłosi sprzeciw. Jego dziedzictwo zostało skradzione, a całe życie jego biednej matki zrujnowane. Teraz ci, którzy czerpali korzyści w przeszłości, będą cierpieć straty w przyszłości.

Za kuchennym ogrodem praczka zbierała ze sznura bieliznę, obserwując Marsha wjeżdżającego na podwórze dla dostawców. Chłopiec z naręczem drewna rzucił je obok kuchennego ganku, po czym wbiegł do środka.

- Jakiś dżentelmen podjeżdża! Kucharko! Kucharko! Jakiś dżentelmen podjeżdża do tylnych drzwi!

W drzwiach od razu ukazały się dwie kobiety, kucharka w fartuchu i jej pomocnica w chustce oraz wyglądający spomiędzy nich ten sam chłopiec. Marsh dotknął palcami kapelusza.

- Pomyślałem, że w podziękowaniu dla pana i pani tego domu zrobię im prezent z ryb, które złowiłem na ich odcinku rzeki.

Kucharka wytarła w fartuch brudne ręce.

- Bardzo dobrze, proszę pana. Bardzo dobrze. Ale rodziny nie ma obecnie w domu.

42

Rozczarowany Marsh mruknął: -Rozumiem.

•Czy mam zawołać ochmistrzynię? - spytała kobieta.

•Nie. Nie ma potrzeby - odparł Marsh. Czuł, że więcej dowie się o rodzinie Byrde'ow od służby niż od ochmistrzyni, która na pewno była bystrzejsza i bardziej lojalna. - Proszę przekazać panu Byrde'owi moje podziękowania i mam nadzieję, że wszystkim będzie smakować mój połów.

Wyciągnął ryby, a kucharka szturchnęła chłopca, by odebrał je od niego.

- Dziękuję panu. Dziękuję. Ale nasi państwo to lord i lady Hawke'owie - poprawiła go kucharka, kiwając przy tym przepraszająco głową.

Lord i lady Hawke'owie? Marsh zastanawiał się nad tą zaskakującą informacją. Czy Cameron Byrde był panem tego królestwa? Zmarszczył brwi. Brytyjski system klasowy był tajemnicą dla każdego Amerykanina. Uważał te wszystkie tytuły za żart. Według jego Biblii, wszyscy ludzie zostali stworzeni równi i on nikomu nie pozwoliłby sobą rządzić.

- Cóż. Proszę przekazać moje uszanowanie lordowi i lady Hawke'om - powiedział, starając się nie udławić własnymi słowami. - Kiedy spodziewacie się ich z powrotem?

Chłopiec zaczął coś mówić, lecz srogie spojrzenie kucharki szybko go uciszyło. Kobieta odepchnęła jego i swą milczącą pomocnicę za siebie, po czym odpowiedziała:

•Ja nie znam na pewno planów milorda i lady. Ale mogę posłać po panią Hamilton. Ona jest tutaj ochmistrzynią.

•Dziękuję, ale nie chciałbym jej przeszkadzać.

Przyłożywszy palce do kapelusza, Marsh zawrócił konia, powoli opuścił podwórze i skierował się ku nadrzecznej drodze do Kelso. Choć jechał spokojnie, wewnętrzne napięcie trzymało go w twardym uścisku. Lord Hawke? Czy to był jego ojciec? Cameron Byrde, lord Hawke - i jakaś beztroška kobieta z

towarzystwa, jego żona?

Podczas krótkiej drogi do Kelso Marsh kipiał ze złości. Gdyby tylko kucharka była bardziej rozmowna. Lecz była nieufna i choć uznał, że lepiej jej nie naciskać, musiał ugryźć się w język.

Niech to diabli! Był nieokrzesanym Amerykaninem dla takich jak Sara Palmer i wszechpotężnym dżentelmenem w oczach ludzi, który jej służyli. Czy w Wielkiej Brytanii nie ma klasy, która mieści się między tymi dwiema? Żadnych ludzi klasy średniej, niezależnych od wielkich właścicieli ziemskich?

Marshowi zaburczało w brzuchu. Ominął go popołudniowy posiłek. Zbliżając się do gospody Pod Kogutem i Łukiem, karmił się nadzieją, że gospodyni zostawiła coś, co pozwoli mu dotrzeć do kolacji. Po czym dostrzegł

43

znajomo wyglądającego konia, ładną kasztankę, i wszelkie myśli o jedzeniu znikły. Zwierzę stało przy szerokim domku o głębokich okapach i ścianach oplecionych różami. Czy Sara Palmer mieszka tutaj, blisko jego dotychczasowej kwatery?

Uniósł kącik ust w sardonicznym uśmiechu. Może po szybkim obmyciu się zadba o to, by się tego dowiedzieć.

5

Sara czuła się o wiele lepiej. Zajechała do miasta, by wysłać pocztą list do matki oraz złożyć wizytę pastorowi i jego żonie. Mogła wziąć kariołkę, jednak jednym z uroków wsi były inne zasady, które rządziły życiem młodych kobiet. Tutaj, jeśli jeździła okrakiem, mogło to być uważane za niezwykle, lecz w żadnym razie za wstrząsające. Cóż, Agnes była wstrząśnięta. Lecz była wystarczająco mądra, by zachować swą opinię dla siebie,

Sara wzięła zatem wypoczętą klacz i przyjechała do miasta spełnić swój obowiązek jako szwagierki największego posiadacza ziemskiego w tej części doliny rzeki Tweed.

Teraz, gdy wizyta dobiegła końca, pani Liston, żona pastora, uśmiechnęła się do Sary. Jednakże uśmiech ten nieco zbladł, gdy wyszły na podwórze i pani Liston dostrzegła nie powóz, lecz przywiązaną do płotu klacz.

- Musi pani wziąć udział w naszym balu składkowym, panno Palmer, Jestem pewna, że panu Listonowi miło będzie przywieźć panią swoim powozem. Do Woodford Court nie jest tak daleko - dodała pełna troski. Stojący obok niej pan Liston uśmiechnął się i skinął głową, lecz nic nie powiedział.

Sara obdarzyła ją nikłym uśmiechem.

-Nie zamierzam sprawiać pastorowi tyle kłopotu. Poza tym zatrzymałam się w Byrde Manor, nie w Woodford Court.

-Doprawdy? - Pani Liston wydawała się skonsternowana. - Ale Woodford Court jest chyba wygodniejsze.

•Istotnie. Ale wolę Byrde Manor. No cóż, żegnam.

•Ale co z balem? - ciągnęła pani Liston. - Będzie pani potrzebna jakaś eskorta. Nie myśli pani przybyć sama?

•Jestem pewna, że sobie poradzę - odpowiedziała Sara z wymuszonym uśmiechem. Rozumiała teraz uwagi pani Hamilton o nowej żonie

44

pastora. Pani Liston była tak pretensjonalna, jak pastor prosty i tak arogancka, jak on poczciwy. Zdecydowanym krokiem ruszyła ku koniowi.

•Może mogłabym złożyć pani wizytę? - ciągnęła pani Liston, wciąż depcząc Sarze po piętach. - Tak bardzo chciałabym usłyszeć ostatnie nowiny z Londynu.

•Byłoby mi miło... - Sara zawiesiła głos na widok zmierzającego ku niej mężczyzny.

Marshall MacDougai.

Boże drogi! On chyba nie zamierza powiedzieć pastorowi ojej bezwstydnym zachowaniu!

Ku jej uldze i żalowi pan MacDougai nie pozdrowił jej, jeśli pominąć lekkie uchylenie kapelusza. Natomiast, tak jak powinien, zwrócił się do pana Listona.

- Witam, panie Liston. Czy mogę się przedstawić? Jestem Marshall MacDougai, przybyłem z Ameryki z wizytą do Kelso. Oberżysta Pod Kogutem i łukiem zasugerował, bym zaprezentował się panu jako nowy parafianin.

Sara potrzebowała całej siły woli, by zachować milczenie. Nowy parafianin, dobre sobie! Lecz dobroduszny pan Liston krótko przedstawił zarówno Sarę, jak i swą żonę.

Ku uldze Sary, pan MacDougai pokazywał się od najlepszej strony.

- Moje uszanowanie, pani Liston, panno Palmer.

Gdy pochylił się nad ręką pani Liston, przyprawiając ją dreszcz, Sara zmrużyła oczy. Nędznik! Wobec niej był powściągliwy. Choć trzymał jej dłoń w rękawiczce nieco za długo, to nie na tyle, by pani Liston to zauważyła. Lecz, niestety, wystarczająco długo, by serce Sary zaczęło bić szybciej. Wyrwała rękę, po czym splotła obie na plecach, starając się opanować.

Przynajmniej mieli "stosowną" prezentację, przypomniała sobie, choć patrzył jej zbyt głęboko w oczy. Tak jak przedtem, nie przywierali do siebie spojrzeniami na tyle długo, by pani Liston to zauważyła. Niemniej dla Sary wpływ tego spojrzenia był druzgocący.

Zdezorientowana, niezręcznie cofnęła się o krok. Żołądek jej się zacisnął jak wtedy, gdy ją pocałował i musiała powstrzymać okrzyk przerażenia. Nędznik, jak mógł tak na nią działać?

Pożegnała się krótko i pospiesznie wycofała. Lecz czuła utkwione w swoich plecach spojrzenie Marshalla MacDougala, tak rzeczywiście jak pieśczoła. Znów zdusiła jęk. Dopiero gdy przejechała ulicę i skręciła za róg, przypomniała sobie o oddychaniu.

45

Dobry Panie! Co takiego było w tym mężczyźnie? Był niegrzeczny, pełen nienawiści i o wiele za zuchwały, jak dla niej. Mimo to potrafił błyskawicznie wytrącić ją z równowagi.

Zacisnęła palce na wodzach i odruchowo pochyliła się nisko nad szyją klaczy. Jak jedna istota pomknęły główną ulicą w stronę rzeki.

Dopiero gdy znalazła się przy zakręcie drogi prowadzącej do Byrde Manor, Sara przypomniała sobie o zamiarze odwiedzenia Adriana. Przechyliła się na koniu, a bystre stworzenie od razu zmieniło kierunek. Przemknęła przez stary kamienny most, nie przejmując się dwoma psami, które ruszyły za nimi w pościg.

Zbyt szybko dotarła do rzędu domków, gdzie mieszkali Adrian i jego matka. Zsiadając z konia, wciąż była wytrącona z równowagi. A Estelle Kendrick, która ze zmarszczonymi brwiami podeszła do drzwi, wcale nie poprawiła jej nastroju.

Czy w całej Szkocji nie było nikogo, kto byłby miły i uprzejmy?

-Witaj, Estelle. Jestem Sara Palmer.

- Wiem, kim jesteś. - Estelle skrzyżowała ramiona na dość obfitym biuście i barkiem oparła się o framugę. - Zastanawiam się tylko, po co tutaj przyjechałaś.

Sara końcami cugli trzepnęła po swej lewej dłoni.

- Miałam nadzieję złożyć wizytę Adrianowi, bo rozumiem, że wrócił ze szkoły. Czy jest w domu?

-Nie.

Sara poczuła narastającą irytację. Tak jak uprzedzała pani Hamilton, Estelle była przeczulona i wydawało się, że żadnymi grzecznościami nie można jej ująć. Cóż, jeśli ani pieniężna pomoc Neville'a, ani podejmowane przez Olivie liczne próby nawiązania przyjaźni nie podziałały, to pewnie obecne wysiłki Sary także na nic się nie zdadzą.

Jednak, ze względu na Adriana, Sara postanowiła być uprzejma i nie zważać na humory Estelle.

•Rozumiem. Czy wróci niedługo? Estelle wzruszyła ramionami.

•Trudno powiedzieć. Wiesz, jacy potrafią być młodzi ludzie. Szczególnie jeśli pewien młody człowiek ma, matkę, która zachęca go,

by myślał wyłącznie o sobie, pomyślała Sara, lecz powiedziała tylko:

•Czy byłabyś tak dobra przekazać mu, że zatrzymałam się w Byrde Manor i jego wizyta sprawiłaby mi przyjemność?

•Powie mu. O, tak, powiem mu - powiedziała kobieta i skrzywiła usta w nieprzyjemnym, szyderczym uśmiechu. - A ty powiedz swojej

46

siostrze, że nie podoba mi się to, że nastawiła Neville'a przeciwko mojemu synowi.

•Nastawiła Neville'a? - Sara spojrzała gniewnie na Estelle, zbulwersowana jej słowami. - Neville jest dla Adriana bardzo dobry i ma pełne poparcie Olivii. Z tego, co słyszę, to ty... - urwała, w ostatniej chwili przypomniawszy sobie, że postanowiła być uprzejma. Spieranie się z Estelle Kendrick było bezsensowne.

•Kocham tego chłopca - oznajmiła Estelle, a jej brązowe oczy zapłonęły nienawiścią. - A on kocha mnie. Nie ma zatem potrzeby, byś zaglądała tutaj i spełniała swój obowiązek. Powiedziałam, że przekażę mu wiadomość od ciebie. Więc może odjedziesz teraz, panno Saro Palmer?

Przeciągając ostatnie słowa, wypowiedziała je z taką pogardą, że Sarę kusiło, by wymierzyć jej policzek. Z trudem opanowała się, odwróciła, wsiadła na konia i lekko skinąwszy głową, odjechała.

Jednak ledwie opuściła podwórze, zobaczyła Adriana, który cwałował z przeciwnej strony na spoconym, mocno umięśnionym koniu. Chudy, ciemnowłosy wyrostek, podobny do stryja, Neville'a Hawke'a.

Obejrzał ją z bezczelnością, która kazała jej zmarszczyć brwi.

- Cóż, witaj. - Uchylił kapelusza, mrugnął i obdarzył ją pełnym uznania uśmiechem.

Sara wyprostowała się w siodle i spojrzała surowo.

•Witaj, Adrianie. Sądzę, że mnie nie pamiętasz. Nazywam się Sara Palmer, siostra Olivii.

•Sara Palmer? - W jednej chwili z zuchwałego wyrostka zmienił się w mile zaskoczony młodzieńca. - Sara! Oczywiście, że cię pamiętam. Ale się zmieniłaś! Lecz dlaczego odbyłaś taką długą podróż aż tutaj,

na prowincję, i to w środku sezonu?

Nieco uspokojona Sara obdarzyła go ciepłym spojrzeniem.

- Mogłabym zapytać cię o to samo. Dlaczego nie jesteś w szkole?
Chłopak poczuł się zakłopotany.

- Ja i Eton po prostu nie pasujemy do siebie. Za dużo pracy. - Mocniej
ściągnął wodze, każąc swemu koniowi się cofnąć. - Za dużo snobów.

Sara uważnie przyglądała się chłopcu, chłonąc opadające na czoło ciemne, faliste włosy, prosty nos i ładnie uformowane usta. Złamie wiele kobiecych serc, pomyślała, wiele serc i to niebawem. Lecz jeśli Adrian odziedziczył inteligencję Hawke'ow w równym stopniu, co ich urodę, lekcje w Eton nie mogły być dla niego zbyt trudne.

- Czy to powiesz stryjowi Neville'owi, kiedy wróci z Glasgow? Że Eton jest po prostu za trudne? Nie będzie z tego zadowolony. A co z tym

47

koniem? — ciągnęła, nie dając mu czasu na odpowiedź. - Zakładam, że Neville i Olivia podarowali ci go. Co im powiesz, jeśli to biedne stworzenie okuleje po jakiejś twojej szaleńczej gonitwie?

Choć w oczach Adriana błysnęła niechęć, policzki pokryły się rumieńcem.

- Zamierzam od razu się nim zająć - zaprotestował. - Zatrzymałem się tylko po to, żeby z tobą porozmawiać.

Sara westchnęła.

- Wybacz, Adrianie. Bez względu na to, co ci się wydaje, nie przyjeżdżam tutaj, by cię pouczać. Chciałam zaprosić cię do Byrde Manor. Mieszkam tam, dopóki Liwie i Neville nie wrócą.

Gdy Adrian wysunął podbródek, jakby miał zamiar odmówić, Sara powiedziała pospiesznie:

- Przrzekam, że nie będę ci prawić kazań o Eton. Przrzekam. Może jutro po południu wybierzemy się na przejażdżkę i pokażesz mi wieś. Ostatecznie, nie było mnie tutaj kilka lat- dodała, obdarzając go swym najładniejszym, najszczerzym uśmiechem.

Jego napięta twarz rozluźniła się w szerokim uśmiechu. Sara uważała go za dziecko, za chłopca o sześć lat młodszego od niej, lecz błysk męskiego uznania, jakie dostrzegła w jego oczach, było uznaniem młodzieńca u progu męskości.

- Będzie mi miło złożyć ci wizytę, panno Saro.
Ściągnęła usta i skinęła głową.

- Bardzo dobrze. Zatem do jutra. - Lecz gdy zawróciła klacz i na po wrót skierowała się do Byrde Manor, doznała uczucia, że wychowanie Adriana Hawke'a będzie znacznie trudniejsze, niż jej się to z początku wydawało.

W Kelso Marsh rozglądał się po małym biurze pastora. Pod jedną ścianą wysoka dębowa biblioteczka wypchana była księgami parafialnymi, sięgającymi kilka stuleci wstecz. Urodzenia, chrzciny, śluby, zgony - a pomiędzy nimi wszelkie możliwe kontrakty. Sprzedaże ziemi i bydła, handel wymienny produktami rolnymi.

- Przykro mi, że muszę pana opuścić w chwili, gdy pan przybył - mówił do niego pan Liston.-

Ale jeden z moich parafian jest bardzo chory. Pani Liston panu pomoże - dodał, zerkając na żonę, która stała w drzwiach i ochoczo potakiwała.

48

•Dziękuję - powiedział Marsh, nie zważając na wyjście pastora. Gdzieś w tym pokoju mogła się kryć odpowiedź na wszystkie jego pytania.

•Jakiego rodzaju rodzinnych rejestrów pan poszukuje, panie MacDougal? - pani Liston krzątała się, lnianą chusteczką wycierając grzbiety oprawnych w skórę tomów. - Słowo daję, kurz w Kelso jest straszny. W Yorku, skąd pochodzę, nie trzeba tak często go ścierać.

Marsh ostrożnie dobierał słowa. Nie był jeszcze gotów do wyjawienia celu swych poszukiwań.

- Możliwe, że moja droga matka, niech Bóg ma w opiece jej duszę, urodziła się tutaj. Mało mi opowiadała o swoim domu w Szkocji, ale raz czy dwa wspomniała o Kelso. Miałem nadzieję znaleźć spisy urodzin lub chrzcin, które mogłyby doprowadzić do jej rodziny.

-Rozumiem. Jak brzmiało jej nazwisko?

Marsh zawahał się. Nierozsądnie byłoby powiedzieć, że jego matka nazywała się MacDougai, gdyż sugerowałoby to, że nigdy nie wyszła za mąż. Nie mógł też nazwać jej Byrde. Jeszcze nie teraz. Wyciągnął jedną z ksiąg parafialnych, bordową ze złotym wykończeniem.

- Czy nie powinienem zacząć od roku, skoro rejestry prowadzone są chronologicznie? - Otworzył księgę. - Co za staranne pismo. Czy to pani? - Obdarzył ją poważnym uśmiechem.

Lekki rumieniec wypłynął na jej blade policzki. Gdy zachichotała i przyłożyła do ust chusteczkę, pozostawiła na podbródku smugę kurzu.

•Ależ nie. Pan Liston sam zajmuje się tymi rejestrami. Jest bardzo drobiazgowy. Doprawdy wielka szkoda - dodała, zniżając poufnie głos - że w kościele katolickim ksiądz ani trochę nie jest tak dbały i dokładny.

•Tak, wielka szkoda - mruknął. - Zastanawiam się, czy mógłbym prosić panią o filiżankę herbaty?

Żona pastora szybko postarała się spełnić jego prośbę. Zanim wróciła, Marsh pogrążony był w rejestrach sięgających ponad pięćdziesiąt lat wstecz. Godzinę później, gdy wróciła z drugą filiżanką herbaty, on nie znalazł niczego o matce, za to wiele o ojcu. Urodzony w 1771, ożeniony z Augustą Linden w 1797. Marsh zacisnął zęby. Cameron Byrde poślubił tę Augustę po narodzinach swego syna w Ameryce. I wkrótce po pierwszym ślubie, z Maureen MacDougai.

Gdyby tylko mógł znaleźć jakiś dowód tego wcześniejszego małżeństwa!

Marsh przebiegł wzrokiem wyblakłe zapisy, aż jego oko zatrzymało się na kolejnym wpisie.

Cameron Byrde. Zmarł w Londynie 9 lipca 1804. Pochowany w rodzinnym grobowcu Byrde ów 16 lipca 1804. Pozostawił żonę i córeczkę.

4 - Nieodparty i nieznośny

49

Marshowi krew odpłynęła z głowy i osłupiały wcisnął się w fotel.

Ledwie mógł w to uwierzyć. Jego ojciec nie żyje. Nie będzie zemsty na Cameronie Byrdzie za okrucieństwo, jakie wyrządził Maureen Mac-Dougal.

Nie żyje od dwudziestu trzech lat.

Wtedy zastanowiła go druga część wpisu i krew znów w nim zawrzała. Pozostawił córeczkę. To oznaczało, że ma przyrodną siostrę.

- Czy mogłabym skusić pana babeczkami i ciastem cytrynowym, panie MacDougale? Upieczone dziś rano.

Na pół przytomny Marsh podniósł wzrok i zobaczył panią Liston stojącą w drzwiach i trzymającą przed sobą pełny półmisek. Żołądek mu się zacisnął, buntując się na myśl o jedzeniu, buntując się wobec okropnej prawdy, przed którą właśnie stanął. Ma przyrodną siostrę!

Na szczęście odezwał się zdrowy rozsądek i Marsh zatrzymał wzrok na żonie pastora, która tak bardzo chciała mu pomóc. Odchrząknął i zmusił się do uśmiechu.

- Jest pani zbyt uprzejma. Być może potrafi pani także zaspokoić moją ciekawość, pani Liston. Widzę tutaj pozycję dotyczącą Camerona Byrde'a. Wczoraj zwróciłem się do gospodyni w Byrde Manor z prośbą o zwolnienie łowienia ryb na ich brzegu. Czy to ta sama rodzina?

Pani Liston odłożyła półmisek babeczek i pochyliła się nisko, by spod przymrużonych powiek spojrzeć na wpis.

- Cameron Byrde - zamyśliła się. Uśmiechnęła się przepraszająco. - Widzi pan, ja nie pochodzę z tych stron. Jestem z Yorku, przybyłam tutaj ledwie w zeszłym roku, by poślubić kuzyna, pana Listona. Ale Cameron Byrde - ciągnęła. - To brzmi znajomo. Widzę tutaj, że zmarł w 1804. O, tak. Teraz sobie przypominam. Tak. To on. Utonął, zdaje się. Bardzo smutna sprawa.

Smutniejsza niż sądziła.

•Co z resztą jego rodziny? Czy to ci, którym powinienem podziękować za wczorajszy połów? Mają taką zamożnie wyglądającą posiadłość - dodał, mając nadzieję, że nie zdradzi swojego zainteresowania tą sprawą.

•No tak. Zdaje się, że jest zamożna. Ale Byrde Manor to nic w porównaniu z Woodford Court.

•Czy pani Byrde nadal tam mieszka? - zapytał, zanim pani Liston zdążyła zagłębić się w porównania.

50

- O, nie. Nigdy jej nie spotkałam, ale powiedziano mi, że ona jest teraz wielką damą i mieszka w Londynie. Wie pan, ona nie jest Szkotką. Jest Angielką jak ja.

Tak, istotnie wielką damą, kipiał Marsh. Cameron Byrde poślubił kobietę zupełnie inną niż miła, prosta Maureen MacDougale. Lecz zdusił w sobie wściekłość.

•A co z córką? - ciągnął.

•Córka. Zobaczmy. Córka. Och - zapaliła się. - Właśnie poznał pan córkę. To ona odjeżdżała, kiedy pan przybył.

Marsh wpatrywał się w panią Liston, nie rozumiejąc jej słów.

•To była córka pani Byrde?

•O, tak. Jestem tego pewna, bo przekazała panu Listonowi pozdrowienia od swej matki, hrabiny Augusty Acton.

Marshowi zaczęło szumieć w uszach. Musiał się przesłyszeć. -Ale jej nazwisko brzmi Palmer, nie Byrde - zauważył, próbując wytłumaczyć nieporozumienie. - Sara Palmer.

- Cóż - żona pastora znów ściszyła głos, jakby obawiała się, że ktoś ją podsłucha. - Zdaje się, że lady Acton była cztery razy zamężna. Proszę sobie wyobrazić! Cztery razy! Trzy razy owdowiała, oczywiście. Być może panna Palmer przyjęła nazwisko ojczyma. - Wyprostowała się i podsunęła mu półmisek. — Czy oprócz tych babeczek chce pan ciasta cytrynowego?

Marsh wziął babeczkę. Zjadł ją ledwie świadom tego, co robi i popił letnią herbatą. Teraz potrzebna mu była wysoka szklanka whisky.

Ponownie pochylił się nad księgami, zaś pani Liston, pokręciwszy się jeszcze, wyszła. Lecz nie było już żadnych wpisów dotyczących Byrde'a, oprócz umowy o dzierżawie ziemi z Neville'em Hawkiem w 1818.

A przecież ten jeden wpis, który znalazł, wystarczył, by zachwiać jego światem.

Jego ojciec nie żyje, a on ma przyrodnią siostrę.

Choć przewidywał, że może pojawić się kilka takich sióstr, nigdy, w najbardziej szalonych wyobrazeniach nie brał pod uwagę, że będzie pożałował jednej z nich.

6

A

drian biegle powoził zaprzęgiem z dwójką koni. Gdy wczesnym popołudniem przyjechał z wizytą, zaczął nalegać, by wieczorem towarzyszyć

51

Sarze na balu składkowym w Kelso. W opinii Sary był znacznie lepszym towarzystwem niż pastor i jego wścibska żona. Teraz powóz zręcznie skręcił na plac miejski, który jarzył się dziesiątkami łatan. Młodzieniec zajechał pod rezydencję burmistrza, po czym z chłopięcym zapałem zeskoczył na ziemię. Gdy pomagał jej wsiąść, wykazał się manierami i znajomością zasad.

Uśmiechnęła się do niego.

~ O! Dziękuję ci, Adrianie.

Od razu się rozpromienił.

- Widzisz? A ty myślałaś, że jestem źle wychowany. Przyznaj się, myślałaś tak. Ale, jak widzisz, potrafię też być dżentelmenem. Mogę się równać z największymi... - uśmiechnął się szeroko i dodał: - ..kiedy chcę.

Oczy błyszczały mu szelmowsko, tak że Sara nie miała wyboru, jak tylko odwzajemnić uśmiech i potrząsnąć głową. Był tego wieczoru nadzwyczaj przystojny, ubrany w swą najlepszą granatową kamizelkę z białym krawatem zawiązanym w wymyślny węzeł i wysokie lśniące buty. Był już wysoki jak mężczyzna, choć odznaczał się młodzieńczą wiotkością.

Jednak nie tylko Sara tak myślała, gdyż dwie dziewczyny, ubrane w ładne, pastelowe, muślinowe suknie podeszły, ramię w ramię, do frontowych drzwi, chichocząc i oglądając się na Adriana. Adrian udawał, że tego nie zauważa. Sara szturchnęła go w bok.

- Czy znasz te dwie młode damy?

Obrzucił je spojrzeniem i obojętnie wzruszył ramionami.

- To tylko jakieś dziewczęta zza wzgórza.

Tylko jakieś dziewczęta zza wzgórza, rozglądające się za przystojnymi młodymi mężczyznami, pomyślała Sara, gdy dołączyli do wchodzących gości.

- Nie musisz nade mną czuwać, Adrianie - szepnęła Sara. - Często by wałam na tańcach i znam tu wystarczająco wielu ludzi, by się nie nudzić.

Lecz czy zobaczy mężczyznę, który za każdym razem, gdy go widziała, przyprawiał ją o dreszcze?

Na myśl o Marshallu MacDougalu poczuła grzeszne łaskotanie w dole brzucha. Było to irytujące, frustrujące, a zarazem zadziwiające. Nie powinna tak na niego reagować.

Lecz, niestety, reagowała. Gdy witała się z burmistrzem Dinkersonem, wciąż rozglądała się za Amerykaninem,

Nie było go na tańcach. Wieczór upływał wśród prezentacji: syna i synowej burmistrza, potem pośrednika w handlu wełną, dwóch córek notariusza i ich rodzin. Lecz mimo iż gromadka ludzi była bardziej niż chętna

52

poznać szwagierkę najzamożniejszego właściciela ziemskiego w tych stronach, Sara odwracała głowę za każdym razem, gdy otwierały się drzwi frontowe.

O dziesiątej zaczęła popadać w zniechęcenie. On nie przyjdzie.

Wszystko to było takie zagmatwane, myślała zdenerwowana, gdy pani Liston zapędziła ją w kąt i rozpoczęła długą, nudną opowieść. Coś w niej panicznie lękało się widoku Marshalla MacDougala, gdyż wspomnienie owych kilku skradzionych pocałunków przerażało ją, ale chciała go zobaczyć. Na samą myśl o ponownej rozmowie z nim niepokojący dreszcz przebiegał jej po plecach.

Ich krótkie spotkanie w domu pastora tylko wzmocniło to uczucie. Przynajmniej zostali sobie stosownie przedstawieni. On nie wprawił jej wtedy w zakłopotanie, więc dlaczego miałyby się martwić, że mogłby zrobić to teraz?

Istotnie, im więcej o tym myślała, tym bardziej chciała go zobaczyć. Zapomniała już o swojej przysiędze, że będzie go unikać. Z pewnością byłaby bezpieczna, rozmawiając z nim w publicznym miejscu czy nawet tańcząc z nim.

Ostrożnie, Sara, szepnęła do siebie. Stąpała po niebezpiecznym gruncie - a raczej stąpałaby, gdyby on był tutaj. Lecz go nie było, a ona powinna odczuwać ulgę.

Wmawiała sobie, że jego nieobecność jest jej na rękę. Zmusi się do odczuwania ulgi. Uśmiechnęła się więc radośnie do pana Goodsona, dziedzica spod Ancrurn, który przyniósł jej kieliszek wina.

-Och, jest pan bardzo uprzejmy - powiedziała wylewnie. Biorąc kieliszek, poklepała go po ramieniu, który to gest z pewnością zwiększył jego uznanie dla niej.

Zapadła między nimi krótka cisza i Sarze wydało się, że słyszy, jak on zbiera się na odwagę. Wreszcie powiedział:

•Czy zatańczy pani? - i aż mu uszy poróżnowiały.

•Jak to miło z pana strony, że uratował mnie pan przed wtopieniem się w tapetę.

•Przecież następnego kotyliona obiecałaś mnie - przerwał jej Adrian, który pojawił się przy nich. Z gracją, jakiej pozazdrościłby mu dworski dandys, wślizgnął się między pana Goodsona i Sarę. Podał jej ramię i uśmiechnął się szeroko do drugiego mężczyzny. - Możesz prosić do następnego tańca, Goody.

Sara nie miała wyboru, jak tylko przyjąć ramię młodzieńca. Lecz gdy ustawiali się do tańca, spojrzała na chłopca surowo.

53

•To nie było właściwe.

•Co? - zaprotestował. - Obiecałaś mi taniec. Nie pamiętasz?

•Tak, pamiętam. Ale dżentelmen nie czeka, aż orkiestra zacznie się rozgrzewać, by podejść do swej następnej partnerki. Jest to niegrzeczne wobec niej. Nie powinieneś być pouczać pana Goodsona, że może mnie prosić do następnego tańca, bo nie wiesz, czy już nie obiecałam go komuś innemu. - Skłonili się sobie, gdy orkiestra zaczęła grać. - I wreszcie, nie powinieneś być nazwać go Goodym w mojej obecności. Właściwie nigdy nie powinieneś go tak nazywać, bo jest starszy od ciebie i zasługuje na twój szacunek.

Jeśli Adrian poczuł się rozżalony jej krytyką, to rozżalenie to znikło po ostatniej uwadze.

- Wszyscy nazywają go Goody. Ty też będziesz, jak go poznasz. - Po czym, gdy spostrzegł potępiający wyraz na jej twarzy, ustąpił. - No do brze, dobrze. Następnym razem lepiej się zachowam. Przyrzekam. Tylko przestań krzywić się na mnie, jakbym był niegrzecznym chłopcem.

Właśnie tym jesteś. Sara nie powiedziała tego głośno, gdyż rozumiała pragnienie Adriana, by traktowano go jak dorosłego. Dobrze pamiętała, jak przez ostatnie dwa lata szybko chciała opuścić szkolny pokój. Lecz londyńskie towarzystwo nie było ani w połowie tak pobłażliwe jak prowincjonalne i nie miała wyboru, jak tylko czekać na odpowiedni wiek. Jednakże tutaj, na wsi, dzieciom wolno było się przyłączać do dorosłych podczas wydarzeń towarzyskich, od których odsuwane byłyby w mieście. Czternastolatek taki jak Adrian nie mógłby tańczyć wśród starszych od siebie.

Jednakże Adrian tańczył i to całkiem dobrze. Gdy Sara zauważyła to, uśmiechnął się szeroko.

•Mojej mamie na tym zależało. Powiada, że dziewczęta lubią tańczyć. Ty lubisz?

•Istotnie. Czy twoja matka nie przyjdzie na tańce? - zapytała, gdyż dotychczas nie dostrzegła niemiłej Estelle.

•W końcu się pojawi - odparł, a jego uśmiech znikł.

Co oznaczało to posępne spojrzenie, zastanawiała się Sara, wykonując figurę tańca. Czy on nie chciał, by matka się tutaj pojawiła?

Pół godziny później poznała odpowiedź, gdyż Estelle przybyła wsparta na ramieniu wysokiego, szerokiego w pasie mężczyzny. Był stosownie ubrany, włosy miał przygładzone, lecz było w nim coś odpychającego. Sama Estelle wystroiła się w lśniąca, błękitną, atłasową suknię, która hojnie odsłaniała jej nadmiernie rozwinięty biust.

54

Sara nie mogła oderwać od Estelle wzroku, gdyż miała wrażenie, że biust tej kobiety za moment wyskoczy spod napiętej tkaniny.

Wydawało się, że wszyscy inni spodziewają się tego samego, gdyż każde męskie oko przylgnęło do tych wyjątkowych piersi.

Przez chwilę Sara była zła na siebie, że na dzisiejszy wieczór wybrała zwykłą suknię. Nie chciała się popisywać bogactwem ani znajomością najnowszej miejskiej mody. Jednak chyba trochę przesadziła. W porównaniu z krzykliwym strojem Estelle jej własna, skromnie skrojona, w kolorze letniej zieleni suknia wydawała się tak słodka, że aż mdła.

Zmarszczyła lekko brew. Doprawdy, ta kobieta nie ma wstydu.

Po czym oczy Sary odnalazły Adriana, stojącego przy jednym z okien i od razu rozpoznały problem, jaki stworzyło pojawienie się Estelle. Adrian był wystarczająco dorosły, by dobrze rozumieć, co ci mężczyźni myślą, gdy gapili się tak na jego matkę. Był wystarczająco dorosły, by rozpoznać żądzę w ich oczach i wcale mu się to nie podobało.

Wymówiwszy się od towarzystwa pani Dinkerson i nużącej pani Listen, przeciskała się przez tłum, kierując się ku Adrianowi. Była pewna, że chłopiec potrzebuje sojusznika.

Lecz on, gdy ją dostrzegł, zmarszczył brwi i jak kapryśne dziecko wymknął się przez otwarte okno i rozpląnął się w lawendowej nocy. Zakłopotana Sara patrzyła za nim, lecz gdy złośliwy głos wdarł się w jej myśli, jej konsternacja zmieniła się w niechęć. Estelle.

- On jest odrobinę za młody dla takich jak ty, panno Palmer. Mój syn jest przystojnym chłopcem, ale i tak kiepskim przeciwnikiem dla takiej miejskiej spryciary jak ty.

Sara odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z tą kobietą. Na pozór była spokojna, lecz wewnątrz kipiała złością.

- Nie jest też dobiym przeciwnikiem dla samolubnej matki, która nie zważa na to, że stawia chłopca w trudnym położeniu wobec wszystkich, których zna. - Znacząco spojrzała na sterczący biust Estelle. - Czy mogłabyś to przykryć, choćby ze względu na niego?

Estelle zaniemówiła. Wyraźnie nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Lecz gdy doszła do siebie, równie wyraźnie widać było, że jej niechęć do Sary wzrosła.

•Williamowi się podoba - pochwaliła się, zaciskając palce na ramieniu swego milczącego towarzysza. - Tak jak każdemu mężczyźnie w tym pokoju.

•Tak. Całkowicie się zgadzam. Każdemu mężczyźnie z wyjątkiem tego, który powinien liczyć się najbardziej. - Po tych słowach Sara odeszła,

55

trzymając głowę wysoko jak królowa. Lecz jej spokój był powierzchowny. Nigdy tak mocno nie pragnęła wydrapać innej kobiecie oczu!

Od tego nieprzyjemnego starcia wieczór coraz bardziej przygasał. Gdy w końcu zatańczyła z panem Goodsonem, dostrzegła stojącego w holu Marshalla MacDougala. Niewiele brakowało, by potknęła się i upadła, po czym musiała mocno się skupić, aby nie mylić kroków tańca. Choć cały czas tańczyła, ukradkiem patrzyła, jak pani Liston przedstawia Amerykanina. Nawet Estelle Kendrick został przedstawiony. Sara zagryzła wargi, gdy zobaczyła, jak jego spojrzenie opada na tę potworną górę bladego ciała, które ta kobieta podsuwała mu pod nos. Żołądek zacisnął jej się na myśl o nim, wpadającym twarzą w ten głęboki dekolt.

- Chyba... chyba brak mi powietrza- mruknęła do swego kolejnego partnera. - Wybacz pan?

Kwadrans w oknie pokoju wypoczynkowego dla pań wcale nie uspokoił Sary. Przeciwnie, kiedy na bocznym dziedzińcu dostrzegła grupkę popijających, popychających się i śmiejących chłopców, poczuła się gorzej. Adriana nie było wśród jego rówieśników, nie kręcił się też wśród dorosłych na dole.

Biedny chłopiec. Nigdzie nie ma swego miejsca. Nie ma ojca, za to ma matkę, która źle się prowadzi. Nic dziwnego, że uciekł z Eton. Tarn również nie pasował. Mógł być wykształcony jak dżentelmen, lecz nie nauczył się jeszcze, jak uciec od swego mniej niż znakomitego dziedzictwa. Uroczyście obiecała sobie, że się z nim zaprzyjaźni. Lecz wpierv musi go znaleźć.

Wstała z siedzenia pod oknem, wygładziła spódnice i obciągnęła obszyte koralikami wycięcie sukni lak nisko, jak się dało. Krawieckie lustro w rogu wyjawilo jej, że nie ma obfitego biustu i to jeszcze bardziej ją przygnębiło.

Dlaczego miałyby przejmować się tym, że jej pierś, w porównaniu z piersią tej kobiety, jest zupełnie płaska? Obchodzi jąteraz Adrian, nie zaś Marshall MacDougal. Było jej obojętne, kto zanurzy się w bujny biust Estelle.

Marsh dostrzegł Sarę w chwili, gdy schodziła po schodach. Przyszedł do domu burmistrza, gdyż mógł poznać tu wielu ludzi. Wiedział, że będzie musiał stanąć twarzą w twarz z Sarą Palmer, zwlekał więc z tym jak najdłużej. Przygotowywał się na to, że gdy ją zobaczy, poczuje odrazę i pogrzebie resztki pociągu do niej, jakie jeszcze w nim pozostały. Jakkolwiek ta myśl napawała go wstrętem, ona, zdaje się, była jego siostrą -siostrą przyrodnią- spłodzoną z tego samego ojca, co on. Samo wspomnienie ich pocałunku wywoływało w nim dreszcz obrzydzenia.

56

Mimo to parę sekund po tym, jak ją zobaczył, zapomniał o tym, co ich łączy. Przez kilka pierwszych chwil po prostu patrzył na nią: arogancka piękność w czerwonej pelerynie z powozu; prostolinijna amazonka nad rzeką; a teraz ten obraz niewinnej doskonałości.

Burmistrz Dinkerson, który przejął od pani Liston zadanie przedstawiania Marsha, szturchnął go w bok.

-Przypuszczam, że również jej zechce pan zostać przedstawiony?

Marsh w samą porę zobaczył błysk w oczach tego mężczyzny i powstrzymał się od niemądrej odpowiedzi. Odchrząknął.

•My... och, my się już poznaliśmy. Pastor - dodał, jako że burmistrz zdawał się czekać na więcej szczegółów.

•Aha! Pan, oczywiście, nie może tego wiedzieć, ale panna Palmer jest niezwykle podobna do swej matki, choć ma ciemniejsze włosy. Ale oczy, uśmiech, postawa... - Uśmiechając się, mężczyzna zerknął na Sarę.-Tak, Augusta była nie lada pięknością.

Augusta, jej matka. Ta, która skradła Camerona Byrde'a miłej, ufnej matce Marsha. W tej chwili uroda Sary stała się w jego oczach wstrętną fałszywą urodą diabła.

Niestety, burmistrz podszedł do podnóża schodów, na spotkanie Sary i teraz prowadził ją do ich grupy.

W panice Marsh raptownie odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę pierwszej znajomej twarzy, jaką dostrzegł, a była nią twarz pana Hal-brechta, oberżysty, który kiwał na niego muskularną ręką.

•Panie MacDougal. Witam. Witam. Proszę tutaj. - Jego kwitnąca cera nabrała ciemnego rumieńca albo przez alkohol, albo przez kobietę, z którą właśnie rozmawia, pomyślał Marsh. Jego towarzyszka była barwnym ptakiem wśród statecznie ubranych kobiet miasteczka. Jaskrawoniebieskim ptakiem o piersi, która byłaby dumą okrętowego galionu.

•Panna Estelle Kendrick - powiedział oberżysta. - Czy mogę przedstawić pana Marshalla MacDougala, który przebył do nas z dzikich obszarów Ameryki?

•My już zostaliśmy sobie przedstawieni - zagruchała, lecz gdy on się skłonił, ponownie dygnęła, ukazując mu jeszcze lepszy widok na swój olbrzymi biust. Przy staniku jej sukni nie było riaszki, takiej, jakie jego matka często szyła dla swoich pracodawczyń. Było tylko ciepłe, drżące ciało.

Choć nie przyszedł dziś w uwodzicielskich zamiarach, poczuł przypływ ulgi na myśl, że znalazł kobietę, która oderwie go od Sary Palmer. Uśmiechnął się zatem do Estelle i powiedział Halbrechtowi nieme "dziękuję".

57

- Jak miło znów panią spotkać, panno Kendrick. Gdybym wiedział, że w Kelso czeka mnie tak ciepłe powitanie, przyjechałbym o wiele wcześniej.

Estelle odwzajemniła uśmiech.

•Ja także żałuję, że pan nie przyjechał. Nie można zmienić przeszłości, lecz nie marnujmy chwili

obecnej. Zaprosi mnie pan do tańca?

•Ale ja miałem zamiar to zrobić — wtrącił Halbrecht.

•Och, Henry. - Położyła rękę na rękawie oberżysty i ścisnęła je. - Ty i ja tańczyliśmy setki razy. Obiecuję, że dzisiaj zatańczą z tobą, tylko później. - Uśmiechnęła się drapieżnie do Marsha. - Teraz chcę zatańczyć z panem MacDougalem.

Marsh nie miał zamiaru odmawiać, a kiedy zagrali walca, nie żałował. Za każdym obrotem obfity biust panny Kendrick ocierał się o jego tors. Wyobrażał sobie, że czuje olbrzymie sutki przebijające się przez stanik jej sukni i jego kamizelkę i musiał zwalczać chęć spojrzenia w ciepłą jaskinię pomiędzy tymi piersiami.

•Zostanie pan na stałe? - zapytała, wciąż uśmiechnięta. Zauważył, że jej zęby były trochę nierówne i przebarwione.

•Nie, jestem tylko z wizytą.

•Szkoda. Oooh! - Zachichotała, po czym nagle potknęła się i wczepiła w jego ramiona tak, że jej biust rozpląszczył się na jego piersi. Marsh szybko zapomniał o jej zębach, mimo to raziła go jej natarczywość. Ach, kobieca subtelność! Sara z pewnością nie musiała się uciekać do takich sztuczek.

Zdusił tę myśl. Nie będzie porównywał jej do Estelle Kendrick. Wcale nie chciał myśleć o Sarze Palmer jak o kobiecie. Była jego siostrą przyrodnią i nawet jeśli ta myśl była wstrętą, wołał ją od swych poprzednich myśli o niej.

Skupił się zatem na względach, którymi obdarzała go Estelle Kendrick i gdy Sara przemknęła obok w ramionach krzepkiego tancerza, postanowił jej nie śledzić.

Jednak nawet przelotny widok Sary kazał mu zapomnieć o kobiecie, którą miał w ramionach. Ignorowanie jej pochłaniało całą jego energię.

Niemniej gdy tancerz Sary powirował z nią w daleki koniec pokoju, blisko otwartych drzwi na taras, Marsh to zauważył.

Nie dbam oto, powiedział sobie. Nie chciał dbać. Co za ulga, że jej widok zasłonili mu inni tancerze.

Zmusił się do uśmiechu do panny Kendrick i pozwolił sobie jeszcze raz ogarnąć widok z góry. Jednakże ostatnie takty melodii zdawały się

58

trwać bez końca i kiedy jego partnerka dała do zrozumienia, że się trochę zgrzała, podchwycił tę sugestię.

— Może trochę świeżego powietrza? — zaproponował. - Może przechadzka po ogrodzie?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Oooh, kochasiu. Chyba czytasz w moich myślach.

7

Sara ledwie świadoma była muzyki, swych kroków i tancerza, który z taką energią wirował z nią po zatłoczonym parkiecie. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, że Marshall MacDougal tak jęzlekcewazył. Dał jej kosza. Obserwował ją, schodzącą po schodach, widział, jak burmistrz podchodzi do niej, po czym, zanim doprowadzono ją do towarzystwa, pospiesznie się wycofał.

Nie rozumiała tego.

Wczoraj z nią flirtował. Właściwie chciał ją uwieść swymi zuchwałymi pocałunkami. Była przerażona, oczywiście, lecz także zachwycona, szczególnie po tym, jak pastor stosownie ich sobie przedstawił. Z pewnością ostatnie, czego mogła dzisiejszego wieczoru oczekiwać, to ostentacyjne unikanie jej towarzystwa.

Jak on śmie!

Zacisnęła zęby. Jak on śmie ją lekceważyć? Żle wychowany prostak! Głupi Amerykanin! Czyż nie wiedział, że ona jest dziedziczką wielkiej fortuny?

Myślała o szczęśliwym małżeństwie matki i małżeństwie siostry. Dlaczego nie mogła znaleźć wspaniałego mężczyzny, takiego jak Justin lub Neville, zakochać się w nim do szaleństwa i poślubić go? Nie obchodziłoby jej, czy jest bogaty, czy biedny. Mógłby być miejskim dandysem czy nawet kmiotkiem, gdyby kochał ją bez pamięci, a ona kochała go równie mocno.

- Trochę tutaj gorąco - mruknął, okręcając ją w tańcu, jej partner.
- Tak - powiedziała z roztargnieniem. Nie słuchała jego słów zbyt uważnie, gdyż za bardzo zajęta była szukaniem pana MacDougala i jego partnerki. Estelle w tej sukni zamierzała pognać kobiety o skromniejszym wyglądzie.

59

Oprócz tego, że ją zignorował, to jeszcze poprowadził Estelle Kendrick na parkiet, wziął ją w ramiona i włączył się w krąg tancerzy. Sara nie chciała się gapić i ostentacyjnie się odwracała. Niemal się dusiła z oburzenia. By jej uniknąć, posunął się do zatańczenia z tą prostytutką!

Na myśl o tym nozdrza rozděły jej się z niesmaku.

Nie dba o to. Jedno warte drugiego. On jest niegrzecznym łajdakiem, a ona samolubną kokotą.

Sara z wyraźnym wysiłkiem przestała przeszukiwać zatłoczony parkiet. Może okaże się, że sobie poszli i nie będzie musiała patrzeć na ich okropne twarze. Posłała swemu partnerowi olśniewający uśmiech. Olśniewający, lecz roztargniony. Niech robią, co chcą, nawet w ciemnościach. Dla niej nie ma to znaczenia.

Tak była pochłonięta własnymi myślami, że nie zaprotestowała, kiedy pan Guinea przyciągnął ją bliżej. A gdy poprowadził ją na słabo oświetlony taras z pachnącymi różami i migocącą pochodnią, nie zareagowała.

- Piękna noc - powiedział, nadal trzymając ją w ramionach, choć przestali tańczyć.
- Tak. Piękna - zgodziła się Sara. O ile lubisz być lekceważona przez mężczyznę, pomyślała. Z wdziękiem wysunęła się z jego objęć i niespokojnie ruszyła ku balustradzie.

Wszyscy zapewne widzieli, że on jej unika. Co muszą sobie myśleć? Czy to przez tę okropną Estelle i jej przerośnięty biust?

Sara nigdy przedtem nie wątpiła we własny urok. Każda kobieta o nawet skromnej powierzchowności wydawała się piękna, kiedy się uśmiechała i zwracała szczególną uwagę na mężczyznę. Matka wbiła jej do głowy tę mądrość i Sara dawno przekonała się o jej słuszności. Talent uśmiechania się do mężczyzny rozwinęła, jeszcze zanim opuściła pokój szkolny.

Lecz widać Estelle rozwinęła go jeszcze lepiej.

- Jest pani bardzo piękna.

Wzdrygnęła się, gdy głos pana Guinei wdarł się w jej myśli. Odruchowo posłała mu uśmiech.

- A pan bardzo uprzejmy.

Podszedł bliżej - trochę za blisko - a ona wyslizgnęła się pod pozorem powąchania kępkę róż o ciasno stulonych płatkach.

•Te kwiaty muszą być śliczne za dnia.

•W porównaniu z panią, panno Palmer, nic nie znaczą.

Podniosła wzrok, zaskoczona tonem podziwu w jego głosie. Miała nadzieję, że on nie myśli, iż ona przysła tutaj z innego powodu, niż żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

60

Jednak jego oczy błyszczą blaskiem od tańca i zbyt dużej ilości whisky, którą wypił. A ona, na nieszczęście, cofnęła się w ciemny i pusty róg tarasu.

Zdusiła jęk. Była to chwila, kiedy przydałaby się jej przyzwoitka czy nawet niechętna pokojówka. Ale teraz sama musiała ostudzić zapał pana Guinei, zanim ten wieczór źle się skończy.

- Jest pan bardzo uprzejmy, panie Guinea - powtórzyła, kierując się ku otwartym drzwiom do sali balowej. Jednak on przesunął swe zwaliste cielsko, skutecznie odcinając jej drogę.

Sara miała doświadczenie z mężczyznami jego pokroju. Nawet hrabiom i książętom nie można było ufać - szczególnie po tym, jak wypili kilka kieliszków mocnego alkoholu. Uniosła arogancko podbródek, przymrużyła oczy i spojrzała na niego. Choć wyraz jej twarzy pozostał dość przyjazny, jej głos był surowy jak głos guwernantki.

•Chciałabym wrócić do środka, panie Guinea. Czy byłby pan tak miły i towarzyszył mi?

•Och! Po co ten pośpiech? - poskarżył się, nie ruszając się ani o centymetr. - Tutaj jest przyjemnie. Możemy porozmawiać. Wie pani — ciągnął - stała się pani tak ładna, jak pani siostra.

Co za ordynarny prostak!

- Równie dobrze możemy porozmawiać w środku. Nalegam, byśmy wrócili. Teraz.

-Za chwilę.

- Teraz! - Kiedy się zawahał, pchnęła go w pierś, próbując precyzyjnie się obok niego. Lecz on nie drgnął i jedną ręką chwycił ją za ramię.

Wiedziała, że czas towarzyskich uprzejmości się skończył. Przez ułamek sekundy, gdy on pochylał się ku niej, żałowała tego, co będzie musiała zrobić. Nie chciała urządzić mu sceny. Lecz wydawała się ona nieunikniona.

Pochylił głowę, by ją pocałować; ona zaś podniosła rękę, by mu wymierzyć policzek.

Lecz zanim jej ręka dotknęła jego policzka, mężczyzna zaskowyczał i zatoczył się do tyłu tak szybko, że ona potknęła się i oparła o kamienną balustradę.

- Proponuję, by wrócił pan do środka.
Marshall MacDougal!

Bogu dzięki! Sara odwróciła się szybko, lecz gdy tuż za nim dostrzegła Estelle, uczucie ulgi zniknęło. Czy on naprawdę przyszedł tutaj ją ocalić, czy popisuje się przed Estelle?

Jednak nie miało to teraz znaczenia, bo pan Guinea poderwał się na nogi i z wściekłością zwrócił ku nieoczekiwanemu wrogowi. Podniósł na pana MacDougala zaciśnięte pięści.

- Nie wiem, kim pan jest, ale nie będzie pan rozkazywał Clancy'emu Guinei. - I z tymi słowami zamierzył się do zadania straszliwego ciosu.

Sara skuliła się przy balustradzie! Niemożliwe, by to się działo!

Na szczęście pan MacDougal uchylił się i przesunął tak, że pięść mężczyzny przemknęła tuż obok jego głowy, nie wyrządzając mu krzywdy. Na moment jego spojrzenie zatrzymało się na Sarze, po czym powróciło do rozwścieczonego przeciwnika. Lecz zatrzymało się wystarczająco długo, by Sara poznała, że Amerykanin jest rozgniewany na nią. Na nią! Tak zły, że Sara osłupiała. Co zrobiła, by zasłużyć na taką wrogość?

Po czym pan Guinea rzucił się na pana MacDougala, a Sara jęknęła. Za nimi Estelle klasnęła w dłonie i roześmiała się. Boże drogi, oni zamierzają walczyć!

Jak przedtem, Marshall uniknął przeciwnika, odskakując w bok, po czym zwałił go z nóg.

- Zostań tam, gdzie jesteś, człowieku, inaczej będę musiał cię uderzyć.

- Och, uderz go, kochasiu. To jedyne, co taki wielki niezdara jak on rozumie- wtrąciła się Estelle. Uśmiechnęła się z wyższością do Sary. Triumf tej kobiety irytował Sarę do granic wytrzymałości.

Pan Guinea, z pięściami w pogotowiu, stanął naprzeciw pana MacDougala. Dwóch łotrów przeciwko sobie, zdecydowała Sara; niemniej sprawiało jej to ból.

Kiedyś wymknęła się do Cheapside na mecz bokserski. Lecz tamten pokaz męskiej agresji wydawał się teraz pełen opanowania w porównaniu z tym nieoczekiwanym atakiem wściekłości.

Odwróciła się, nie chcąc na to patrzeć. Zanim jednak dotarła do drzwi, pan Guinea uderzył. Usłyszała brzydki odgłos ciała gwałtownie uderzającego w ciało. Później ktoś upadł jak kamień. Gdy obejrzała się za siebie, zobaczyła, że to pan Guinea. Marshall MacDougal stał nad nim, krzywiąc się i potrząsając prawą pięścią.

- Kretyn! - mruknął Marsh. Knykcie piekły go jak diabli. Gniewnie spojrział na bezwładne ciało u swych stóp. Nie chciał walczyć z tym mężczyzną- i z żadnym innym.

Podniósł wzrok i zdał sobie sprawę, że ona, blada na twarzy, wpatruje się w niego wielkimi oczami. Jej szok tylko pogłębił jego gniew. Nie chciał iść za nią na taras. Nie chciał także ratować jej z opresji, gdy partner próbował skraść jej pocałunek. Ostatecznie, który mężczyzna nie próbowałby skraść pocałunku z tych cierpkich, uroczo nadąsanych ust? On sam to zrobił przy pierwszej okazji, jaka mu się nadarzyła.

Nie, dzisiejszego wieczoru w ogóle nie chciał mieć z Sarą nic wspólnego. Wystarczyło mu, że był z nią związany krwią ich bezwstydnego ojca.

Lecz stracił panowanie nad sobą, gdy zobaczył, jak ona płynie w tańcu na taras. Oślepiony uczuciami, których nie chciał analizować, drugimi drzwiami szybko wyprowadził na zewnątrz swą partnerkę. Zobaczył Sarę schwytaną przez tego łotra w pułapkę i ogarnęło go pragnienie pobicia tego prymitywnego łajdaka.

Minęło pięć lat, odkąd wycofał się z krótkiej, lecz popłatnej kariery na ringu bokserskim. Mimo to dawna żądza rozgromienia przeciwnika odezwała się natychmiast z gorączkową intensywnością.

Bogu dzięki, że t&n mężczyzna się nie podniósł, gdyż nawet teraz Marsh z trudem się opanował, by nie uderzyć go ponownie.

Zamiast tego zwrócił gniewne uczucia ku kobiecie, która była przyczyną całego zamieszania. Ta

lekkomyślna piękność, której urody nigdy więcej nie wolno mu zauważyć, powinna dostać nauczkę.

- Pani jest zagrożeniem - zaczął niskim, wściekłym głosem. - Dla sie bie i dla każdego, kto się do pani zbliży.

-Ja? Ależ pan...

- Hej! - wtrąciła się Estelle. - Nie martw się o nią, kochasiu. Estelle jest tutaj, żeby wylizać twoje rany.

To, że zdołała włożyć w słowo "wylizać" tyle uczucia - i to, że wcale nie był tym zainteresowany -jeszcze bardziej rozgniewało Marsha. Spio-runował Sarę wzrokiem.

•Proponuję, żeby weszła pani do środka, zanim ktokolwiek odkryje, jaki kłopot pani sprawiła.

•Ja sprawiłam? - Dyszała z gniewu, a z rozpalonymi policzkami i błyszczącymi oczami wyglądała jeszcze piękniej. Choć Estelle przycisnęła gorący biust do jego ramienia, to Sara obudziła jego żądzę.

Lecz on stanowczo nie chciał pożądać własnej siostry.

- Idź! - ryknął na nią.

W tej samej chwili inny mężczyzna przeskoczył przez ogrodowy mur i zeskoczył na taras.

- Hej, panie! Niech pan nie krzyczy na tę damę! - Płonącymi oczami spojrzął na Marsha, potem na Estelle. - Mama? — Na twarzy mężczyzny odbiło się zmieszanie. - Mamo? Co się tutaj dzieje?

To chłopiec, uświadomił sobie Marsh. Chłopiec, który zaczął gapić się najpierw na leżącego pana Guineę, potem na Marsha, stojącego nad brutalem.

-Co się tutaj dzieje?-powtórzył chłopiec. Z nachmurzoną miną spojrzął na Estelle. - Mamo? Co ty najlepszego zrobiłaś?

63

- Ja? To ona ściąga kłopoty. Ona z tymi swoimi swobodnymi londyńskimi obyczajami.

Chłopiec skoczył do przodu. -Nie bądź wobec niej niegrzeczna!

- A ty nie pyskuj swojej matce, Adrianie Hawke'u!

Marsh spiorunował chłopca wzrokiem, lecz zwrócił się do Estelle:

•To pani syn?

•Tak - odpowiedział za nią chłopiec. - Kim, u licha, pan jest? I dlaczego uderzył pan Guineę?

Marsh nie miał zamiaru odpowiadać temu chudemu wyrostkowi.

- Zabierz matkę do środka, chłopcze. Mam coś do powiedzenia pannie Palmer.

Estelle mocniej ścisnęła ramię Marsha.

-Co ty masz do niej? Ją wyślij do środka, nie mnie.

Tymczasem chłopiec z wściekłością patrzył na nich oboje.

- Niech pan puści moją matkę. Nie chcę, żeby zadawała się z takimi jak pan.

•Cicho bądź, Adrianie - syknęła Estelle. - I pilnuj swego nosa. Marsh strząsnął z siebie Estelle.

•Znikajcie oboje!

- Pan niech znika! - oświadczyła Sara, z rękoma na biodrach. - To pan przyciąga tutaj kłopoty, nie my. Dlaczego nie pójdzie pan sobie i nie zostawi nas w spokoju?

Marsh chętnie by nią potrząsnął.

- Takie podziękowanie otrzymuję za uratowanie pani przed tym prostakiem? - Ruszył ku niej, lecz Adrian dzielnie skoczył pomiędzy nich. Choć był tego samego wzrostu co Marsh, nie mógł ważyć nawet połowy tego, co on. A jednak to nie przeszkodziło chłopcu rzucić Marshowi wyzwania.

-Niech się pan trzyma z dala od Sary albo sprawię panu lanie!

Sara chwyciła chłopca za ramię.

-Nie, Adrianie. Nie życzę sobie, żebyś się bił.

- Odejdź od niej, synu! - wysyczała Estelle. - Odejdź od tej diablicy! Widząc odwagę chłopca, wrogość Marsha zaczęła słabnąć. Młodziak

ma ikrę, trzeba mu to przyznać. Mimo iż matka Adriana była kokotą, chłopiec miał w sobie dziwną szlachetność, którą Marsh musiał szanować.

~ Zapewniam cię, chłopcze, że nie mam zamiaru skrzywdzić panny Palmer. Ani też walczyć z tobą.

- Myśli pan, że nie dałbym panu rady? No, dalej!

64

Sara znów chwyciła chłopca za rękaw.

-Adrianie. Proszę, nie!

Lecz on strząsnął jej rękę, wciąż gniewnie patrząc na Marsha.

- Nic wiem, kim pan jest, ale nie może pan przyjeżdżać do tego miasta i zaczepiać wszystkich naszych kobiet. Nie pozwolę panu na to. A jeśli zrobi mi pan krzywdę, mój stryj zajmie się panem.

Sara przewróciła oczyma.

- Adrianie, Neville nie będzie walczył z tym człowiekiem. Olivia na to nie pozwoli.

-Nieprawda! Twoja siostra każe mu cię bronić.

- Twoja siostra? - Słowa te same spłynęły Marshowi z warg. - Pani ma siostrę?

Pan Guinea poruszył się. Z ogrodu dobiegł Marsha kobiecy śmiech, a w środku zakończył się pełen werwy walc. Lecz uwaga Marsha skupiona była wyłącznie na Sarze Palmer i jej odpowiedzi.

Sara zmarszczyła brwi.

-Tak, mam siostrę i brata, jeśli to pana obchodzi.

Żyłka zaczęła pulsować mu na skroni. Wiedział o bracie, ale nie o jeszcze jednej siostrze. Dlaczego

wcześniej nie rozważał tej możliwości?

- Kim jest pani ojciec? - zaczął zadawać natarczywe pytania. - Kim jest pani ojciec?

Wyniośle uniosła podbródek.

•To nie jest pana sprawa, ale moim ojcem był Humphrey Palmer, jeden z najświetniejszych dżentelmenów, jacy kiedykolwiek żyli...

•A ojciec pani siostry? - przerwał jej, spocony ze zdenerwowania.

•Nie rozumiem, dlaczego obchodzi pana moja rodzina, szczególnie moja siostra.

•Och, po prostu odpowiedz temu człowiekowi, dobrze? - warknęła Estelle. -Ojcem Olivii był Cameron Byrde. Wszyscy to wiedzą-powiedziała do Marsha. - Za to jej siostra jest nadętą Angielką, która przyjechała tutaj z Londynu rządzić nami...

Reszta tyrady Estelle przeciwko Sarze trafiła w próżnię, gdyż Marsh uczepił się tego jednego ważnego faktu. Sara nie jest jego siostrą. Jego ojciec nie był jej ojcem. To raczej jej siostra przyrodnia została spółdzona przez jego ojca. Wcale nie jest spokrewniony z Sarą Palmer.

Bogu dzięki!

Uczucie ulgi nie trwało jednak długo. Sara ściągnęła brwi.

- Po co panu te informacje? - Potrząsnęła głową i położyła ręce na biodrach. — O co w tym wszystkim chodzi?

5 - Nieodparty i nieznośny

65

Szczyściem dla Marsha, pan Guinea wydał głośny jęk, po czym podniósł się do pozycji siedzącej, bluzgając przekleństwami. -No, no-powiedział Adrian, trzepnąwszy go w głowę. -Tutaj sądamy.

- Wynoś się! -wyrzucił z siebie Guinea, pocierając szczękę i dźwigając się z ziemi. Spiorunował wzrokiem chłopca, potem Sarę. Wydawało się, że jątakże jest gotów skląć, lecz zatrzymał wzrok na Marshu i zamknął usta. Pochyliwszy głowę, przemknął obok niego i zniknął w ogrodzie.

Marshowi jego odejście sprawiło ulgę, gdyż miał do rozważenia bardzo poważną kwestię. Sara Palmer nie jest jego siostrą. Jest nią Olivia, której mężem jest Neville, stryj tego chłopca, Adriana. Ten prosty fakt zmieniał wszystko i Marsh musiał się nad tym zastanowić.

Lecz nie tutaj. Szczególnie nie przy Sarze, której zakłopotanie wyraźnie zmieniało się w podejrzliwość.

Ukłonił się nagle.

- Życzę wszystkim miłego wieczoru. - Po czym odwrócił się i sztywnym krokiem wrócił do sali balowej. Usłyszał gniewne wołanie Estelle i krótką odpowiedź jej syna. Z ust Sary nie padły już żadne słowa! Zebrane na sali pary zaczęły ustawiać się do kolejnego tańca. Marsh odetchnął z ulgą.

Jednak burmistrz Dinkerson niechcący potrącił Amerykanina.

•Tak wcześnie nas pan opuszcza, panie MacDougal?

•Ach... tak. Dziękuję, że mnie pan zaprosił. To był nadzwyczaj... nadzwyczaj interesujący wieczór.

•Czy nie przekonam pana, by pan pozostał? Może ma pan ochotę na cygaro? W gabinecie mam pudełko najlepszych kubańskich.

•Dziękuję, ale nie teraz.

- Może ja pana przekonam? - kobiecy głos rozległ się tuż za nim. Marsh zeszywniał, odwrócił się i zobaczył Sarę. Jej twarz ułożona była

w dość miły wyraz, lecz w jej oczach płonął ogień. Piękny, niebezpieczny ogień.

Choć wiedział, że ona zamierza go przepytac i że nie jest jeszcze gotów odpowiedzieć na żadne jej pytanie, coś lekkomyślnego w jego naturze sprawiło, że nie potrafił zignorować okazji, która się nadarzała.

Wiedział, że musi przedstawić wymówkę - jakąkolwiek wymówkę - i odejść, lecz zamiast tego skłonił się przed nią grzecznie. A więc ona pragnie starcia, cóż - zatem walka. Tylko że starcie odbędzie się na jego warunkach, zdecydował, gdy muzyka zaczęła się przygrywką skrzypiec i wiolonczel. Wyciągnął do niej ramię, w jego oczach rozpałił się błysk wyzwania.

- Bardzo dobrze, panno Palmer. Zatańczymy?

66

8

To był błąd.

Sara wiedziała o tym od chwili, gdy się zgodziła na taniec z Marshalllem MacDougalem. Chciała tylko usłyszeć odpowiedzi na swe pytania, gdyż było coś dziwnego w jego zainteresowaniu Olivia, a dokładniej jej ojcem. Coś, co wprawiało ją w niepokój.

Gdy wyciągnął do niej ramię, zawahała się lekko. Lecz kiedy kącik jego ust uniósł się w irytująco triumfalnym uśmiechu, odepchnęła od siebie wszelkie wątpliwości. Poradzi sobie z jednym tańcem.

Przybrała fałszywie miły wyraz twarzy.

- Ach, to miło, że czyta pan w moich myślach, panie MacDougal. Położyła rękę na jego ramieniu, ignorując ciepło i siłę, promieniujące

przez cienką warstwę materiału. A niech to! Muzykanci znów wybrali walca. Jej niepokój tylko się pogłębił, gdy ten irytujący mężczyzna pewnym ruchem obrócił ją i ustawił w pozycji do tańca.

Gdy zaczęli tańczyć, Sara utrzymywała między nimi możliwie największą odległość. Było to, oczywiście, niewygodne, gdyż walc wymagał pewnej bliskości, jeśli miał być dobrze odtańczony, a ona wiedziała, jak się tańczy walca. On starał się przyciągnąć ją bliżej, i te starania czyniły z nich jedyną niezgrabną parę na sali pełnej wirujących tancerzy. Z trudem opierała się naciskowi jego dłoni na talię.

- Przysięgłbym, że jest pani lepszą tancerką Saro. Czy ja panią denerwuję?

Rzuciła mu zabójcze spojrzenie.

- Gniewa mnie pan. Parsknął śmiechem.

•O to chyba nietrudno. Jest pani najbardziej drażliwą kobietą jaką spotkałem. Większość kobiet byłaby wdzięczna za to, że zostały uwolnione przed niechcianymi względami prostaka.

•Poradziłabym sobie bez pana pomocy. Poza tym, dżentelmen nie pobiłby tego biedaka do nieprzytomności.

•Uderzyłem go tylko raz - odparł, lecz jego uśmiech przybladł.

•Cóż, nie musiał pan robić tego tak mocno.

Obrócił nią i, gdy ona oparła się jego potężnym objęciom, znów się zachwiali. Tym razem niemal zderzyli się z inną parą.

- Rozbijemy się, jeśli nie zacznie pani współpracować - mruknął.

67

Niechętnie przyznała mu rację; nie może jednocześnie rozmawiać i walczyć z nim. Zmusiła się więc do uśmiechu i ustąpiła.

On natychmiast przyciągnął ją bliżej i zaczął z nią wirować. Znów posłał jej ten triumfalny uśmiech.

- Tak jest o wiele lepiej.

Tak myślisz? Cóż, wkrótce się dowiemy. Bez mrugnięcia powieką wytrzymała jego spojrzenie.

•Co pan robi w Kelso? Dlaczego tak interesuje się pan mojąsiostrą? -zapytała bez wstępów. -1 niech mi pan nie opowiada tych kłamstw o interesach i wakacjach.

•Ale to prawda.

•To kłamstwo i oboje o tym wiemy. Czy myśli pan, że nie zauważyłam, iż z początku gonił pan za mną, jakbym była jakąś... jakąś wiejską dziewczką...

- Miałem wrażenie, że podoba się pani moja pogoń i nasz pocałunek.

-A potem odwrócił się pan i wzgardził mną- ciągnęła, ignorując jego

słowa. - Dał mi pan kosza na oczach wszystkich tych ludzi.

Przybrał na twarzy wyraz powagi, która, jak Sara podejrzewała, była fałszywa.

- Przykro mi, jeśli wyglądało na to, że panią ignoruję. - Przyciągnął ją jeszcze bliżej. - Przysięgam, że więcej tego nie zrobię.

Sara poczuła, jak jego ręka, ciepła i mocna, porusza się po jej krzyżu i bicie jej serca przyspieszyło ponad tempo tańca. Wiedziała, że musi zapanować nad swoimi emocjami; Marsh po prostu starał się odwrócić jej uwagę od tematu ich rozmowy, a ona nie chciała, by odwracano jej uwagę.

- Teraz jest pan Panem Czarującym - ciągnęła. - Ale chodzi o coś więcej. Dlaczego interesuje pana moja rodzina? Skąd te pytania o mojego ojca i ojca Olivii?

Zanim odpowiedział, przez długą chwilę patrzył na nią uważnie.

- Z pewnością nie jestem pierwszym mężczyzną, którego pani podejrzewa, że rozgląda się za bogatą dziedziczką.

To prawda, że nie był pierwszym, lecz mimo to Sara wyczuła w jego słowach fałsz. Pokręciła głową.

-Nie to podejrzewam. Nie byłby pan pierwszym zamożnym Amerykaninem, który przyjechał do Anglii, by się rozejrzeć za tytułem do poślubienia - choć zazwyczaj to bogate córki wynajdujązubożalnych mężczyzn o lepszej krwi niż rachunku bankowym. Ale nie sądzę, by panu o to chodziło, panie MacDougal - zakończyła wyzywającym tonem,

68

-Dlaczego nie - mruknął, nie podejmując wyzwania. Wirował z nią tak, jak każdy mężczyzną, z którym

wcześniej tańczyła na miejskich balach.

Przyglądała mu się uważnie, wykorzystując bliskość, jaką daje walc. Miała ułbłążną podprawymokiemi lekkie skrzywienie na nosie. Z trudem przypominała sobie, że jego pociągająca uroda nie powinna przykuwać jej uwagi.

Odchrząknęła.

- Coś się tutaj dzieje, coś, co ma związek... - umilkła, gdy jej umysł zaczął analizować wszystkie fakty, które znała. - Coś, co ma związek z ojcem Olivii, z Cameronem Byrde'em. Myślał pan, że jestem jego córką, prawda? Po czym dzisiaj... - Spojrzała na niego, najego zamknięte spojrzenie i zaciśnięte szczęki.- Dzisiaj, kiedy dowiedział się pan, że mam siostrę... chciał pan wiedzieć, kto jest jej ojcem.

Przymrużyła oczy, starając się przeniknąć go spojrzeniem.

- Co Cameron Byrde ma wspólnego z panem? Nie żyje od ponad dwudziestu lat...

Wtedy wszystko naraz uderzyło ją strasliwą, przyprawiającą o mdłości mocą.

Cameron Byrde, drugi mąż jej matki i ojciec Olivii, był znany ze swej zbytnej skłonności do kobiet. Choć matka kochała go do szaleństwa, Sara usłyszała od pani Hamilton wystarczająco dużo opowieści o eskapadach tego człowieka, by wiedzieć, że był przystojnym nicponiem i samolubnym łajdakiem. Był czarujący, lecz także nieodpowiedzialny i bez żadnych zasad moralnych.

A teraz pojawił się mężczyzna w odpowiednim wieku, który przebył bardzo długą drogę, by dowiedzieć się czegoś więcej o tym człowieku.

Coś w wyrazie jej twarzy mogło zdradzić jej podejrzenia, gdyż twarz MacDougala ściemniała.

-Pan... pan... -Nie mogła wydobyć z siebie tych słów. Nie zauważyła, że przestała tańczyć, aż on wypchnął ją gwałtownie z wirującego grona na skraj parkietu.

Pochylił nad nią głowę.

-Niech pani nie wyciąga pochopnych wniosków, Saro.

•Pan jest jego synem, prawda?

•Niech pani nie podnosi głosu - nakazał. Po czym, zacisnąwszy rękę na jej ramieniu, poprowadził ją na taras.

Przez długą chwilę Sara wyobrażała sobie, że on zamierza z nią postąpić tak, jak postąpił z panem Guinea. Ale tak szybko, jak się pojawił, strach ten zniknął. Choć potrafił ją zranić, wiedziała, że nigdy tego nie

zrobi. Przynajmniej nie w sensie fizycznym. Mimo to się bała i była bardzo rozgniewana.

Wściekłym szarpnięciem wyrwała się z jego uścisku. To, że nie zaprzeczył jej słowom, było wystarczającym dowodem, że jej podejrzenia są słuszne.

- Pan jest jego synem. Dlatego jest pan tutaj. - Dreszcz przebiegł jej po plecach i mocno objęła się ramionami. — Kim jest pańska matka? Kiedy się pan urodził - i gdzie?

Przez chwilę tylko wpatrywał się w nią.

•To nie ma znaczenia.

•Może dla pana, ale dla mojej matki i siostry... - Urwała i spojrzała na niego. - Jeśli to prawda, to ona jest również pańską siostrą. Zastanawiał się pan nad tym? To znaczy, że jest pan moim... moim...

Marsh żałował, że Sara tak szybko odkryła prawdę, szczególnie gdy zobaczył, jak na jej twarzy pojawia się wyraz przerażenia. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej wyznać jej prawdę, ale szybko porzucił tę myśl.

- Między panią i mną nie ma związku krwi. - Bogu dzięki. Uśmiechnął się ponuro. - Nie musi się pani martwić, że pożąda własnego brata, Saro, bo ja nie jestem pani krewnym.

W jej oczach błysnęło oburzenie.

•Nigdy pana nie pożałowałam.

•Och! Teraz tak pani mówi. Ale oboje wiemy, że to nieprawda — odparł. Z jakiegoś powodu chciał zadać jej takie cierpienie, jakiego sam doznawał. Chciał ją zmusić do przyznania się, że pragnęła mężczyzny, którego uważała za zupełnie nieodpowiedniego dla siebie.

Chwyił ją za ramiona i trzymając wbrew jej woli, opowiedział całą swą historię.

- Jestem synem Camerona Byrde'a. Jego pierworodnym - dodał z pewną satysfakcją. - Ożenił się z moją matką i spłodził mnie, później poślubił pani matkę i spłodził pani siostrę. Wyrosłem jako dziecko bez ojca, daleko stąd, w Ameryce, ale nadal jestem prawowitym dziedzicem Camerona Byrde'a.

Potrząsnął nią, jakby to mogło usunąć wyraz sprzeciwu z jej bladej, pięknej twarzy. Gdy tak się nie stało, gniew, który Marshall pielęgnował w sobie przez ostatnie miesiące, wybuchnął.

- Jestem jego synem, synem kobiety, której zniszczył życie. Nie ma go tutaj, by poczuł mój gniew, łajdak. Ale dostanę to, co mi się należy. Wy równam rachunek za nędzę, jaką sprowadził na moją matkę.

70

Przyciągnął ją tak blisko, że ich twarze niemal się stykały. Płonącymi oczami wpatrzył się w jej oczy i z bólem dostrzegł w nich strach i odrazę.

- Przez chwilę myślałem, że pani jest nią, moją przyrodnią siostrą. Ale pani nianie jest, Saro Palmer. Wolno nam zgłębiać pragnienie, które w nas kipi, nawet jeśli pod nim jest nienawiść i nieufność. - Sara pchnęła go w pierś, lecz on tylko zacieśnił chwyt. - Zaprzeczy pani temu?

- Tak. Puść mnie, ty straszny łajdaku, ty okropny... okropny bękarcie. Nie powinna tego mówić. Zmiana, jaka w nim nastąpiła, przeraziła ją. Szarpnął nią i przycisnął do siebie, kolana, uda, brzuch i piersi. Potem

w gwałtownym pocałunku pochwycił jej usta, by ją uciszyć i poczuć nad nią władzę.

Czuł palącą potrzebę zdominowania tej kobiety.

Walczyła z nim, ale tylko z początku.

Lecz gdy otoczył jej talię i ramiona, ujął ręką jej głowę, po czym pogłębił pocałunek, chcąc uwieść ją przyjemnością, przestała walczyć. Sztywny opór znikł i jej ciało zdawało się roztopiać przy jego ciele. Wspięła się na palce i językiem wyszła naprzeciw jego penetrującemu językowi, a on miał ochotę głośno okrzyknąć swe zwycięstwo.

Teraz ona nie może zaprzeczyć, że go pragnie!

Ale on także jej pragnął i ta myśl była wystarczająco trzeźwiąca, by Marsh puścił Sarę równie gwałtownie, jak jąchwycił. Cofnęła się, potargana i oszołomiona - i jeszcze bardziej ponętna. Rozpaczliwie szukał w myślach sposobu, by zabić to niechciane pragnienie jej, tej wyniosłej angielskiej szlachcianki i znalazł go w słowach, które do niego powiedziała.

- To nie ja jestem bękartem. To haniebne imię należy się pani siostrze i matce, która nigdy nie była prawowitą żoną Camerona Byrde'a. Zamierzam ujawnić tę prawdę wszystkim. Zamierzam dowieść, kim jestem - przysięgam, upajając się własnym gniewem. - Potem upomnę się o Byrde Manor, o cały dwór i o wszystko, co mój ojciec posiadał. Zobaczcie pani. Wszyscy zobaczycie.

Po czym, widząc, że jakaś para zmierza z sali balowej na taras, złożył przed Sarą krótki ukłon, odwrócił się i odszedł w noc.

Niech jądiabli, kłął, idąc przez ogród na tyłach domu burmistrza. Niech diabli wezmą i wszystkich wszechpotężnych Anglików, którzy gardzili ludźmi takimi jak jego matka. Ale on każe im za to zapłacić. Niech go diabli porwą, jeśli nie każe im zapłacić.

Po odejściu Marshalla MacDougala Sara stała zdumiona i drżąca, patrząc w miejsce, gdzie przedtem stał, ciągle słysząc nienawistną groźbę w jego słowach. Zamierzał zrujnować jej rodzinę, jej ukochaną siostrę,

71

miłą życzliwąmatkę. Zamierzał je zranić tak, jak on i jego matka zostali zranieni.

Wzdrygnęła się na dźwięk głosów za sobą z trudem ruszyła na chwiejnych nogach, by poszukać zacienionego kąta. Oparła się o ścianę, przyciskając ręce do ust, gdy wzbierał w niej strach, jakiego jeszcze nie знаła. Jej usta były obolałe od jego gwałtownych pocałunków, tak wrażliwe, że było to aż zawstydzające.

-0,mój Boże-szepnęła, gdy wypełnipojęłajegozamiary.-0,mój Boże.

Musi go powstrzymać. Nie może dopuścić, by zranił wszystkich, których ona kocha. Ale jak to zrobić?

Z holu dobiegł ją radosny krzyk, gdy muzykanci zaczęli stroić instrumenty do kolejnego tańca. Powoli zaczęło przejaśniać się jej w głowie. By powstrzymać Marshalla MacDougala, musi się najpierw dowiedzieć, czyjego zarzuty są prawdziwe. Łatwo mogła uwierzyć, że Cameron Byrde spłodził dziecko jakiejś kobiecie, lecz to nie oznaczało, że ją poślubił.

Czy pan MacDougal powiedział, że ma dowód zawarcia poprzedniego małżeństwa?

Chyba nie.

A więc od tego zacznie. Musi się dowiedzieć, kim jest jego matka i czy ślub się odbył. Jednak by tego dokonać, musiałyby, niestety, bardziej poznać tego straszego MacDougala.

Stłumiła dreszcz na samą myśl, że znów znajdzie się blisko niego. On jest największym nędznikiem, jakiego do tej pory poznała. A ona jest niemoralną kobietą, skoro tak żywiołowo reaguje na niego.

Lecz on zagroził jej rodzinie, a dla niej Sara stawia czoło każdemu niebezpieczeństwu. Nawet Marshallowi MacDougalowi.

9

M

arsh był zbyt zdenerwowany, by wrócić do swego pokoju w gospodzie. Dwie kwarty jasnego piwa w sali na dole nie zdołały go uspokoić ani zapewne nie zdoła tego dokonać butelka whisky, którą kupił na dalszą część wieczoru. Było to jednak lepsze niż zamartwianie się w łóżku, zdecydował, idąc zamaszystym krokiem z butelką w dłoni do stajni. Dobry Boże! Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się wydarzyło tego wieczoru. Wszystko przez to, że Sara Palmer odkryła prawdę.

72

Niech diabli porwą tę damulkę za to, że wyjawil jej swój plan! Niech ją diabli porwą za to, że wzbudziła w nim tak gorączkową żądzę i że z jej powodu walczył z mężczyzną.

Przynajmniej nie jest córką Camerona Byrde'a i nie jest twoją siostrą.

Na tę myśl skrzywił się; niech go diabli porwą za to, że okazał się takim przeklętym głupcem!

- Duff! Osiodłaj mojego konia - warknął na służącego, który z trzema innymi mężczyznami siedział w pomieszczeniu na uprząż i grał w karty.

Duff otworzył usta, jakby zamierzał się sprzeciwić. Lecz jedno spojrzenie na wściekłą twarz Marsha wystarczyło, by mu się nie przeciwstawiać.

Rzucił karty, mrużąc pod nosem do towarzyszy:

- Masz cholerne szczęście, Curly. Cholerne szczęście, bobym cię oskubał.

- Pospiesz się - warknął Marsh.

Będzie musiał teraz przemyśleć cały swój plan. Wszystko dlatego, że odczuł idiotyczną potrzebę pospieszenia na ratunek pewnej dziewczce z wyższej sfery, która nie chciała i nie potrzebowała ratunku.

Duff, gdy wyprowadził konia z boksu, rzucił krytyczne spojrzenie na butelkę w ręku Marsha.

- Mam nadzieję, że nie zamierza pan przepędzić tego zwierzęcia przez ciemności, wielmożny panie. To nie byłoby dobre ani dla niego, ani dla pana.

- Nie mam zwyczaju źle traktować swoich koni.

- Koni może nie, ale służbę tak.

Marsh nie chciał, by się z nim teraz drażniono. Szybko wsiadł na konia i wyjechał z dziedzińca, nie mówiąc słowa, dokąd się udaje i kiedy zamierza wrócić.

Duffa zastanowiło dziwne zachowanie jego pana. Amerykanin potrafił troszczyć się o siebie. Wiadomość o bójce między nim a tym głupim Guinea doszła do Duffa niemal natychmiast. Jeden szybki cios i ten tępak padł jak worek zboża. To potwierdzało podejrzenie, które rodziło się w jego głowie, odkąd najął się do służby u Amerykanina. Marshall MacDougal.

Ten MacDougal.

Jako miłośnik boksu, Duffy śledził kariery wszystkich bokserów o dużej renomie w Anglii, Szkocji, Irlandii i Walii. Wiedział również o kilku amerykańskich bokserach, wśród nich o MacDougalu.

Czy to nie byłoby coś, gdyby jego młody pracodawca okazał się tym MacDougałem? Nieważne, że ten człowiek kilka lat temu wycofał się z amerykańskiej sceny bokserskiej. Wszyscy kumple Duffy'ego z ringów

73

w Shepherd Fields, Eel Room i z prywatnego klubu bokserskiego w Berwick i tak by mu zazdrościli.

Duffy zatem bez obawy patrzył, jak jego pan odjeżdża. Jeśli on jest tym MacDougałem - a Duffy

zamierzał się tego dowiedzieć - to potrafi zatroszczyć się o siebie. Dzisiejszy wieczór tego dowiódł.

Niemniej Duff odczuwał niekłamaną ciekawość. Ten człowiek miał jakiś powód, by przyjechać do Szkocji i pojawić się na dzisiejszym przyjęciu u burmistrza. Nagle kątem oka dostrzegł kobietę, bladą piękność, która zatrzymała się u szczytu schodów.

- Chyba ktoś chce, żeby sprowadzono powóz! - krzyknął w stronę po mieszczenia na uprzęż.

Mężczyzna o nazwisku Cathbery wysunął głowę.

- To panna Palmer. Gdzie jest ten chłopiec, Adrian, co ją przywiózł dzisiaj?

Duff przymrużył oczy. A więc to jest panna Sara Palmer. Gdy przemierzała podest, przyjrzał jej się uważniej. To ona była kobietą w czerwonej pelerynie, o którą Marshall MacDougal bił się dzisiaj u burmistrza. Bardzo interesujące.

Potaął swój podbródek i leniwy uśmiech wypełził mu na usta. Mógł się domyślić, że to kobieta jest powodem, dla którego Marshall MacDougal tak się zachowuje.

Pospieszył przez dziedziniec.

- Czy mogę w czymś służyć, panienko? Szuka pani swego stangreta? Obdarzyła go roztargnionym uśmiechem, po czym znów wpatrzyła się

w mrok.

- Właściwie nie stangreta. Towarzyszył mi tutaj młodzieniec o nazwisku Adrian Hawke. - Westchnęła, po czym skupiła uwagę na Duffie. - Mogę wrócić do domu bez niego. Tylko on jest, zdaje się, zdenerwowany, więc nie chciałabym go tak zostawiać.

W tej właśnie chwili zza rogu domu wypadł chudy chłopak z szopą czarnych jak węgiel włosów. Młodzieniec był modnie ubrany w wełniany surdut i haftowaną kamizelkę. Lecz bryczesy miał rozdarte na kolanie, krawat rozwiązany i przekrzywiony, a przód koszuli pobrudzony. Duff zauważył, że wargę miał rozciętą i krwawiącą.

- Adrian? - Panna Palmer uniosła spódnice i zaczęła zbiegać po schodach. — Co się stało? Jesteś ranny? Nie mów mi, że się biłeś.

Chłopak otarł usta rękawem, pozostawiając na nim smużkę krwi.

- To nic takiego. Już odjeżdżasz? Ciaśniej owinęła szalem nagie ramiona.

74

- Szkoda, że nie odjechałam godzinę temu. Może wtedy... - urwała. - Nie musisz mi towarzyszyć, jeśli wolisz zostać tutaj, boja umiem powozić.

-Nie, panienko. Nie wolno pani tego robić —przerwał jej Duff. -Nie o tej porze.

- Jaja zabiorę - powiedział chłopak, stając pomiędzy nią a Duffem. Uniósł głowę i wyprostował ramiona. —Zabiorę cię-powtórzył, zwracając się do Sary. - Przywiozłem cię tutaj i bezpiecznie odwiozę do domu. Tak postępuje dżentelmen.

- Istotnie - zgodziła się panna Palmer. -Adrianie!

Wszystkie głowy odwróciły się na kobiecy krzyk. Duffy wybałuszył oczy na widok, który mu się ukazał. Głos tej kobiety był może mniej subtelny i dystyngowany niż głos panny Palmer, ale jej piersi...

•Adrianie! - znów rozległ się wrzask. - Chodź tutaj. Niech mnie diabli, jeśli będziesz jej towarzyszył.

•Nie zaczynaj, mammo!

•Zamknij się. A ty... - Estelle zachwiała się, zatrzymała przy pannie Palmer, oparła ręce na biodrach i spojrzała na nią z nienawiścią.

Duff z nadzieją wpatrywał się w te drżące wzgórza rozgrzanego ciała. Czy wyskoczą ze zbyt obcisłego stanika? Bożejak on się modlił, by móc to zobaczyć!

Matka chłopca, ubrana na niebiesko, rzuciła mu szybkie spojrzenie -i mrugnęła na niego, niech ją Bóg błogosławi. Po czym z gniewną miną zwróciła się do syna:

- Trzymaj się od niej z daleka, Adrianie. A ty nie zbliżaj się do niego, ty amatorko kwaśnych jabłek - prychnęła, podchodząc do panny Palmer.

Duffy przestąpił z nogi na nogę. Czy dojdzie między nimi do bezpośredniego starcia?

Musiał przyznać pannie Palmer, że wytrzymała piorunujące spojrzenie Estelle z godnością królowej.

- Doprawdy, jakie to musi być okropne dla Adriana mieć taką matkę jak ty, Estelle Kendrick. Ale nie będę się wtrącać w twoje metody wychowawcze. Nie chciałabym, żeby chłopiec cierpiał jeszcze bardziej.

Po tych słowach uniosła spódnicę, zeszła po schodach i ruszyła dalej, wyniosła jak królowa. Która jednak nie ma nic przeciwko brudzeniu się w stajni i powożeniu swymi końmi.

•Wydra - mruknęła Estelle i zwróciła się w stronę Adriana:

•Jak ty wyglądasz! Nie nadajesz się do przyzwoitego towarzystwa.

•A ty się nadajesz? - mruknął.

75

-Nie mów do mnie tym tonem! Chłopiec zacisnął dłonie w pięści.

•Życie tutaj jest gorsze niż w Eton!

•Więc wracaj tam! Nie dbam o to.

Adrian odwrócił się, sztywnym krokiem doszedł do rogu domu, po czym puścił się biegiem. Estelle tupnęła i splunęła na ziemię. Po czym, gdy przypomniła sobie o obecności Duffa, rzuciła mu uśmiech, przygładziła włosy i odrobinę podciągnęła stanik sukni.

- Cóż, kochasiu. Wygląda na to, że usłyszałeś więcej, niż powinienieś. A także zobaczyłeś - dodała, śmiejąc się znacząco.

Duff z żalem oderwał wzrok od jej olbrzymich piersi i zatrzymał go na jej kpiąco uśmiechniętej twarzy. Zerwał z głowy czapkę i złożył jej przesadny ukłon.

- Duffy Brskine do usług pani, panno Kendrick. Zawsze i wszędzie.

-Co za dandys z ciebie-zaśmiała się Estelle i gestem wskazała kierunek, w którym odszedł jej syn. - Masz jakieś dzieci?

Pokręcił głową.

- Nic o tym nie wiem.

Przechyliła głowę i przez chwilę przyglądała mu się uważnie.

- Masz jakieś pieniądze?

Duff uśmiechnął się szeroko i poklepał po kieszeni kurtki.

- Prawdę mówiąc, właśnie wygrałem sporą sumkę w karty. Uśmiech Esteile stał się jeszcze szerszy.

- To dobrze. Więc może zaprosisz mnie na drinka, żebyśmy się mogli lepiej poznać?

Duffa nie trzeba było dwa razy prosić. Miał jednak świadomość wydarzeń, których był świadkiem. Esteile Kendrick była matką chłopaka, który był synem jednego z Hawke'ow, najbogatszej rodziny w tych stronach. Chłopiec, mimo swojego wieku, flirtował z Sarą Palmer, która była tą samą kobietą, o którą bił się jego pracodawca. Tymczasem Marsh wypadł jak burza, młoda dama odjechała, a chłopak gdzieś pognął.

Lecz on wciąż był tutaj, tak jak jego błękitna Esteile. Ścisnął jej rękę i mrugnął do niej, a ona odwzajemniła mrugnięcie. Walka na pięści, nadciągający skandal i chętna kobieta, wsparta na jego ramieniu.

76

Czyż mogło być lepiej?

- Musi mi pani powiedzieć wszystko, co wie. - Sara pochyliła się do przodu i dotknęła ręki pani Hamilton. - Zna pani moją matkę dłużej niż inni i wie pani, że zarzuty tego człowieka po prostu by ją zniszczyły.

Twarz pani Hamilton przygasła i przybrała zacięty wyraz.

- Ten drań. Ten samolubny... samolubny bękart! -wykrzyknęła.-Wie działałam, że ten człowiek to nicpoń, mimo że ma wdzięku za dziesięciu. Ale nie podejrzewałam, że zniży się do tego.

Sara przytaknęła, zaciskając zęby. Całkowicie zgadzała się z panią Hamilton. Marshall MacDougal był ostatnim nędznikiem.

•Obawiam się, że on jest groźniejszy, niż nam się wydawało. Pani Hamilton wpatrzyła się w ogień na kuchennym palenisku.

•Przysięgam, że gdyby nie był martwy...

•Martwy? Bardzo chciałabym, żeby był. Pani Hamilton pokręciła głową.

- Mówię o Cameronie Byrdzie, dziecko. To on był prawdziwym drańniem i to jego należy winić.

Sara podskoczyła na drewnianym krześle, zaciskając usta. Całą noc wściekała się na Marshalla MacDougala i przerażało ją zagrożenie, jakie stwarzał dla jej rodziny.

- Cóż - powiedziała. - Syn Camerona Byrde'a jest taki sam. O ile na prawdę jest jego synem.

Stara kobieta znów pokręciła głową.

- On uważa, że jest. I ma takie same rudobrunatne włosy jak Olivia. Sara skuliła się na krześle i ukryła twarz w dłoniach.

•O, mój Boże! Biedna Olivia. Musimy znaleźć sposób, by powstrzymać tego człowieka.

•Pozwól mi pomyśleć! Pozwól mi pomyśleć! - Stara służąca zabębniła palcami po stole. - Jeśli on jest synem Camerona Byrde'a, to musimy odpowiedzieć na pytanie, czyjego ojciec ożenił się z jego matką. A jeśli tak, to czy zrobił to, zanim poślubił moją słodką Augustę?

Sara zastanawiała się nad tym przez chwilę.

•Czy przypomina pani sobie coś z tamtych czasów? Jakąś szczególną kobietę? Czy sądzi pani, że mogła się nazywać MacDougal?

•Być może. To szkockie nazwisko. Sama jestem Szkotką i chyba przypominam sobie jakichś MacDougalów. Ale pamiętaj, dziecko, jeśli on ją poznał przed twoją matką, to wszystko jedno, z kim się zadawał. Choć byłam młodziutką, kiedy przybyłam do Byrde Manor, to nastąpiłam do domowej służby dopiero wtedy, gdy on poślubił twoją matkę.

Milczały chwilę, po czym pani Hamilton zapytała:

77

- Czy myślisz, że on powiedział jeszcze komuś o swoich poszukiwaniach?

Sara westchnęła.

-Nie wiem. Stałam się podejrzliwa dopiero wtedy, kiedy on był zdziwiony, że mam siostrę. Chciał się dowiedzieć, kto jest jej ojcem. Żądał, bym mu powiedziała. - Zacisnęła pięści. - Och, jest taki przebiegły. Był miły i czarujący, dopóki nie zaczął myśleć, że jestem jego siostrą. Po czym robił wszystko, żeby mnie unikać! Ale teraz, kiedy wie, że nie jesteśmy spokrewnieni, myśli, że może...

Urwała, gdy uświadomiła sobie, czego omal nie wyjawiała. Było jednak za późno.

- Co teraz, kiedy wie, że nie jesteś jego krewną? - zapytała stara och mistrzyni, spoglądając na Sarę bystryimi oczami.

Sara poczuła ciepły rumieniec na twarzy.

•Ten amerykański bawidamek był na tyle głupi, że myślał, iż można mnie omamić słodkimi słówkami. To wszystko.

•Ale mu się nie udało?

•Nigdy mu się nie uda, bo teraz wiem, jaki jest naprawdę.

•Cóż, rozumiem, dlaczego tak sądzisz. Ale pomyśl, Saro. Trudno winić człowieka, że szuka swego ojca. Nie każdy miał tyle szczęścia, ile ty z twoim drogim ojcem.

•Jak to, miałam szczęście? Mój ojciec zmarł, kiedy miałam dziesięć lat. Wcale nie nazwałabym tego szczęściem.

•Tak, to prawda. Jednak był cudownym człowiekiem i bardzo cię kochał. Był także cudownym mężem dla Augusty, a także wspaniałym pracodawcą.

-1 dobrym ojcem dla Liwie i Jamesa - dodała Sara, rozumiejąc słowa pani Hamilton. - Był zupełnie inny niż ojciec Liwie.

•Właśnie. Ale pan MacDougal nie mógł go poznać, więc chciał go odnaleźć.

•Sądzę, że się pani myli, pani Hamilton. On nie przyjechał po to, by odnaleźć ojca i zaprzyjaźnić się z nim. Nie krył, że nienawidzi tego człowieka i przybył tutaj, by się zemścić. A skoro Camerona Byrde'a już nie ma, obawiam się, że zamierza zemścić się na nas, to znaczy na Olivii i matce. Dlatego musimy go

powstrzymać, głównie ze względu na Liwie i matkę. W tej sprawie potrzebuję pani pomocy.

Twarz starszej kobiety spoważniała.

-Czy on powiedział, że ma dowód, iż Cameron Byrde ożenił się z jego matką?

78

- Nie. - Sara pokręciła głową, starając przypomnieć sobie każde słowo, jakie między nimi padło. - Nie powiedział, że ma akt małżeństwa czy coś takiego.
- No dobrze, pomyślmy. Co ty na to, żebym dzisiaj odwiedziła swoje przyjaciółki i powspominała z nimi dawne czasy? Może się dowiem, czy byli kiedyś w tej okolicy jacyś MacDougalowie.
- Och, dobrze. Co do innie... - Sara zawiesiła głos, przestraszona tym, co musi zrobić. - Złożę panu MacDougalowi wizytę.
- Oj, nie wydaje mi się to mądre, dziecko.
- Jak inaczej mam się czegoś dowiedzieć? Muszę odkryć, czy on posiada jakiś dowód. Ostatniej nocy popełnił błąd i powiedział mi więcej, niż zamierzał. Może dzisiaj zdradzi inne plany? - Wstała i szeroko rozłożyła ramiona. - Czy mam inny wybór?

10

M

arsh skrzywił się, przecierając oczy. Całą noc przesiedział nad rzeką i miał z tego tylko pustą butelkę whisky. Żołądek mu się burzył, w głowie pulsowało i miał wrażenie, że pod powiekami ma piasek. Co gorsza, wciąż nie wiedział, co ma dalej robić.

Ostatniego wieczoru zachował się jak głupiec: walczył o kobietę, o którą nie powinien walczyć, ujawnił informację, którą powinien zachować dla siebie, a na koniec się upił.

Nie skorzystał także z wdzięków, które tak jawnie oferowała mu ta kobieta, Estelle.

Jechał powoli w stronę Kelso, świadomy irytującego walenia kopyt jego konia o twardą drogę. Były echem jego nieszczęść przywodzących na myśl ponurą rzeczywistość jego życia. Matka i ojciec nie żyli. Jego najbliższą krewną była kobieta, którą zamierzał zrujnować.

Dobrze, że przynajmniej jego siostrą nie była Sara Palmer.

Przecież to nieważne, przypomniał sobie. Jednak przez całą noc był to najważniejszy problem, do którego powracał jego szalony umysł. Sara Palmer nie była jego siostrą. Nie pożył kogoś z rodziny.

- Jesteś idiotą- mruknął, popędzając konia do galopu. Skrzywił się z bólu, jaki ten gafop wywoływał w jego głowie. Jednak ból był zasłużony. Jak wielkiego jeszcze głupca zamierza z siebie zrobić?

19

Nie miało znaczenia, że ona nie należała do jego rodziny, bo nie interesował się kobietami takimi jak ona. Lepiej, żeby o tym pamiętał. Ona była bogatą brytyjską, snobką, on amerykańskim biznesmenem. Poza tym Sara Palmer nienawidzi go teraz, bo on zamierza zrujnować jej siostrę i matkę. Pożądanie tej kobiety było szaleństwem.

Pomasował pulsującą skroń, chcąc zapamiętać tę myśl na zawsze. Pożądanie jej było bezcelowe, lepiej odszukać chętną Estelle. W przeszłości igraszki z mądrą i znającą się na rzeczy kobietą zawsze poprawiały mu nastrój.

Dojeżdżając jednak do gospody, zobaczył klacz Sary, na której przyjechała tego dnia, gdy ją pocałował

nad rzeką. Natychmiast zapomniał o swoim postanowieniu.

Czuł, jak napinają mu się łądźwie. Niech to piekło pochłonie! Sara była ostatnią osobą, jaką chciał zobaczyć!

Zaczął zawracać konia, lecz Duffy zawołał za nim. Jego wścibski służący wylegiwał się w cieniu kasztanowca i, jak zwykle, postanowił pomóc swemu panu w chwili, gdy Marsh tego najmniej potrzebował.

- A niech to, wielmożny panie. Zdaje się, że ma pan gościa. Dameę. -Poruszył krzaczastymi brwiami. Stajenny obok niego stłumił śmiech. -Ulżyło mi, jak pana zobaczyłem - ciągnął Duff. - Jeszcze godzina, a zebrałbym ludzi, żeby zaczęli pana szukać.

-Dobrze, że tego nie zrobicieś - warknął Marsh. -Zajmij się koniem -dodał. Skupiwszy gniew na Duffym, zdołał powstrzymać się od ucieczki. Lepiej stanąć twarzą w twarz z natrętną kobietą i skończyć z nią raz na zawsze, powiedział sobie. Mógł jej pożądać, a i tak nic by z tego nie wyszło. Teraz nie.

Gdy zamaszystym krokiem wszedł do gospody, szykował się jak do bitwy. Sara Palmer zamierzała pokrzyżować jego plany. A on nie chciał do tego dopuścić.

Siostra Olivii mierzyła pana Halbrechta swym najsurowszym spojrzeniem. Jego żona wprost kuliła się za nim. Tego ranka Sara ubrała się bardzo starannie. Każda część garderoby wybrana została tak, by podkreślać jej władzę i pozycję. Miała na sobie ciemnoczerwony strój do konnej jazdy z rzędem złotych guzików na staniku sukni i zmyślnie uszytą czapkę z wygiętym strusim piórem. Ubrała się tak, by onieśmielić Mar-

80

shalla MacDougaJa i zrobić na nim wrażenie. Jednak nie zastała go i poczuła rozczarowanie i ulgę zarazem.

Lecz jej sztuczka nadzwyczaj dobrze działała na oberżystę. Zachowała więc wyniosły wyraz twarzy.

•Zapłacił za miesiąc z góry?

•Tak, panienko. Złotego suwerena, pojmuje panienka? - Bez przerwy kręcił głową. - Bardzo wytworny dżentelmen, żeby tak zapłacić z góry.

-1 za oddzielny pokój dla swego człowieka - obwieściła żona oberżysty.

Niech to diabli, niech to diabli, niech to wszyscy diabli! On pozostanie tutaj dość długo, by zniszczyć jej rodzinę. Lecz Sara trzymała uczucia na wodzy, choć najgorsze przekleństwa cisnęły się jej na usta.

-Za miesiąc -zdołała powiedzieć w miarę spokojnym głosem. -A jednak już wyjechał.

Pan Halbrecht wzruszył ramionami.

- Zeszłej nocy nie spał w swym pokoju, ale to nie znaczy, że wyjechał na dobre.

Co oznaczała jego nieobecność? Sara od razu się domyśliła.

Estelle Kendrick.

Zrobiło jej się niedobrze. Spędził noc z tą latawicą Estelle. Była prawie pewna. Wjej ramionach, rozgnieciony między tymi monstualnymi... tymi monstualnymi...

Znów ten przyływ mdłości. Musiała przełknąć ślinę, by je poskromić. Gdy przemówiła, głos miała zduszony.

- Cóż, kiedy wróci, proszę mu powiedzieć, że chciałabym z nim pomówić.

- Pomówić ze mną? O czym?

Na dźwięk twardego, oskarżycielskiego głosu za sobą Sara odwróciła się. W drzwiach stał Marshall MacDougal, z brwiami chmurnie ściągniętymi.

- Co takiego ważnego się stało, panno Palmer, że przychodzi pani tutaj i wypytuje pana Halbrechta o to, dokąd chodzę i kiedy wracam?

Przeszywał ją wzrokiem i przez chwilę Sara poczuła się niepewnie. Czy naprawdę myślała, że może go onieśmielić? On był na to zbyt bezwzględny i zbyt pewny siebie. W przeciwieństwie do niej, nie miał nic do stracenia.

Jednak szybko wyprostowała się i spojrzała wyniośle na Amerykanina, po czym zwróciła się do zdumionych Halbrechtów:

- Możecie nas zostawić?

Natychmiast czmychnęli, pozostawiając ją z panem MacDougalem w pustej sali jadalnej. Odchrząknęła, zanim znów przemówiła.

6 - Nieodparty i nieznośny

81

- Cóż, panie MacDougal. Miałam nadzieję dowiedzieć się, jak dalece szczery był pan ostatniej nocy w sprawie, która sprowadziła pana do Kelso. Miałam nadzieję, że to tylko nadmiar alkoholu kazał panu rzucać takie szalone oskarżenia. Teraz widzę, że jeszcze nie doszedł pan do siebie po nocnych szaleństwach.

Zmarszczyła nos i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Czy spał pan w tym ubraniu?

- Po szaleństwach ostatniej nocy? - Przez długą chwilę tylko się w nią wpatrywał. Po czym uśmiechnął się tym nikłym, lecz irytująco triumfalnym uśmiechem, który zawsze wyprowadzał ją z równowagi. - Częściowo ma pani rację. Rzeczywiście spędziłem noc w tym ubraniu, ale nie spałem.

Wezbrała w niej nowa, silniejsza niż przedtem fala mdłości. Było właśnie tak, jak się domyślała. Spędził noc z Estelle. Choć starała się zapanować nad oznakami przerażenia i obrzydzenia, on to zauważył i zaczął się śmiać z jej zmagania.

-No, no, panno Palmer. Pani najlepiej powinna wiedzieć, jak daleko może posunąć się kobieta, by zdobyć mężczyznę, którego sobie upatrzyła.

Choć Sara miała ochotę wymierzyć mu policzek - właściwie wydra-pać mu te śmiejące się oczy - ukryła mordercze zamiary pod maską chłodnego potępienia.

- Wcale mnie nie interesuje, w jakiej dziurze pogrążył się pan ostatniej nocy.

- Jaka pani dzisiaj dowcipna.

- Dowcipna?

- To był żart, prawda? Dość pikantny jak na panią.

- Co? - Patrzyła na niego zdumiona, co tylko bardziej go rozbawiło.

- Powiedz mi - zdołał w końcu powiedzieć. - Dlaczego mnie odszukałaś, Sara?

- Proszę mnie tak nie nazywać.
 - Przecież jesteśmy rodziną, mamy wspólną siostrę przyrodnią.
 - Pan nie należy do mojej rodziny - zapewniła go. — I nigdy nie będzie należał. - Przepięła ręką powietrze. —Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo.
 - Lepiej uwierz, bo to prawda. -Nikt inny panu nie uwierzy.
 - Owszem, uwierzy.
- ~ Naprawdę? - Uderzyła pejczem w dłoń w rękawiczce i spiorunowała go wzrokiem. - Jaki ma pan dowód?

82

Rozłożył szeroko ramiona.

- Ja jestem dowodem. Urodziłem się w 1797 roku. Kiedy urodziła się twoja - nasza - siostra przyrodnia?

Patrzyła chłodno na niego, ale milczała. Marsh uśmiechnął się szeroko.

•Więc jest tak, jak powiedziałem. Jestem najstarszym dzieckiem Camerona Byrde'a.

•To pan tak mówi. Kto może potwierdzić pańskie słowa?

- Mam moje świadectwo urodzenia przy sobie.
Niech to diabli.

- A akt małżeństwa pańskich rodziców? Świadectwo urodzenia to za mało.

Zamilkł i wpatrywał się w nią badawczo.

•A więc po to tu przyszłaś? Żeby wyciągnąć ze mnie każdą informację, jaką się da. Zdaje się, że zachwiałem twoją wiarą w rodzinę o wiele bardziej, niż chcesz przyznać, Saro.

•Całkowicie ufam swojej rodzinie i jestem z niej dumna.

•Nawet z Camerona Byrde'a? - Uniósł szyderczo brwi.

Sara gniewnie szarpnęła obrąbek rękawiczki do konnej jazdy. Jakie to irytujące, bronić ojca Olivii, człowieka, którego znała tylko z opowieści, zresztą niezbyt pochlebnych.

-Nie wiem, dlaczego opowiada pan te historie, ale zapewniam, że pana plan się nie powiedzie. Jeśli będzie się pan upierał przy rozgłaszaniu tych obrzydliwych opowieści o ojcu Olivii, to ja... - Szukała w myślach odpowiedniej groźby -..każę naszemu prawnikowi wytoczyć panu proces o zniesławienie.

Potrząsnął głową i postąpił kilka kroków w głąb pokoju, cały czas przyglądając się jej badawczo, jakby była smakowitym kąskiem, który zamierzał zjeść. Dreszcz obawy - czy też było to wyczekiwanie? - przebiegł jej po plecach. Jeśli zamierzał ją onieśmielić, to mu się udawało.

Lecz ona nie chciała dać za wygraną. Arogancko uniosła podbródek.

•Nie ma pan dowodu i nigdy nie będzie miał, ponieważ on nie istnieje.

•Och, istnieje. Moja matka poślubiła Camerona Byrde'a i o tym fakcie zawsze mówiła bardzo jasno. A ponieważ nigdy w życiu nie skłamała, wierzę, że ten dowód istnieje. Co do twoich prawników,

wtajemnicz ich w sprawę. Ale bądź ostrożna, Saro. Im więcej ludzi o tym wie, tym gorzej dla twojej rodziny. - Uśmiechnął się szeroko. - Jesteś pewna, że chcesz tego?

Sara miała ochotę go uderzyć, zetrzeć z jego twarzy ten wyraz triumfu i wykrzyzczyć swą frustrację. Przebiegły łajdak zamierzał zbrukać nazwisko

83

jej rodziny i zniszczyć reputację dwóch najwspanialszych kobiet, jakie kiedykolwiek żyły. Tylko ona mogła go powstrzymać, ale nie powinna mieszać w to prawników.

Może jednak poprosić o pomoc brata?

Porzuciła tę myśl równie szybko, jak się ona pojawiła. Gdyby James dowiedział się o tej historii, wyzwabiłby Marshalla MacDougala do walki, tak samojak Neville, mąż Liwie. Choć zarówno James, jak i Neville byli wysportowani, w Marshallu MacDougalu było coś niebezpiecznego i bezwzględного. Obawiała się, że on nie jest dżentelmenem i nie walczyłby jak dżentelmen.

Ten człowiek chciał zrujnować dwie kobiety, które kochała najbardziej w świecie, nie pozwoli, aby także zranił - lub zabił - dwóch mężczyzn, których tak samo mocno kochała.

Przyglądała się jego triumfującej, pełnej wyczekiwania twarzy,

Musiałabym go przechytrzyć, pomyślała. On sądzi, że nie mam środków do walki z nim. I tu się myli.

W jej oczach pojawił się wojowniczy błysk.

- Czego pan chce, panie MacDougal? Pieniądzy? Ziemi? Tytułu? - Ton jej głosu stał się zjadliwy. - Wiem, że wy, Amerykanie, jesteście zafascynowani naszymi angielskimi tytułami. Cóż, myślę, że powinien się pan dowiedzieć, iż Cameron Byrde nie posiadał żadnego tytułu oprócz tytułu dżentelmena. A i to jest dyskusyjne. Co do ziemi i pieniędzy... - Roze śmiała się nieprzyjemnie. - Spadek, który pozostawił swej córce, był skromny. Więcej by pan zyskał, żeniąc się z jakąś smarkulą.

Ton jej głosu zmazał z jego twarzy wyraz rozbawienia.

- Myślisz, że chodzi o pieniądze? Albo o tytuł? - Prychnął z niesmakiem. - Jesteście żałośni.

•Chyba nie jest żałosne kochanie i chronienie własnej rodziny. Uniósł brwi i skrzyżował ramiona.

•Z tym się zgodzę. Sara zmrużyła oczy.

- Jakąż to rodzinę ma pan do kochania i chronienia? - Uderzyła ją niemiła myśl. - Jest pan żonaty? Ma pan żonę i dzieci w Ameryce?

Z jakiegoś powodu rozśmieszyła go swoimi podejrzeniami.

- Nie martw się, Saro. Nie marnujesz swych uczuć na żonatego męża czyżnę. Choć podejrzewam, że teraz wolałabyś, bym nim był. Ale, niestety - dramatycznym gestem przycisnął rękę do piersi - nie jestem ani twoim bratem, ani człowiekiem żonatym. W żadnym razie nie możesz karać mnie za żądzę, jaką budzę w tobie. To wyłącznie twoja zaśluga.

84

Jakie to upokarzające usłyszeć własne nieszczęsne myśli, tak dokładnie wyrażone przez tego człowieka. Spojrzała na niego chłodno.

- Niech się pan cieszy swoim żarciem, panie MacDougal. Ale może być pan pewien, że zainteresowanie, jakie ewentualnie mogłam mieć dla pana, dawno znikło. Teraz czuję do pana głęboką pogardę. Nie wszystkie kobiety są głupiutkimi stworzeniami. Skąd miałby pan o tym wiedzieć, zważywszy pana ostatnią towarzyszkę? A teraz proszę mi wybaczyć.

Przeszła obok niego, władcza i pogardliwa jak królowa. Lecz on chwycił ją za ramię i gwałtownie obrócił.

•Nigdy nie myślałem o tobie jak o głupim stworzeniu, Saro. - Jego ciemne, przenikliwe oczy pochwyciły jej przerażone spojrzenie. -Jesteś pełną temperamentu kobietą, która musi znaleźć godnego siebie przeciw-nika. Czyż nie tak? — zakończył, przysunąwszy twarz do jej twarzy.

•N.. .nie! Nie! - zająknęła się. Jego ręka, za duża i za ciepła, zacisnęła się na jej ramieniu i wydało się jej, że krew rozgrzewa jej się w żyłach. Rozgrzewa się i krąży coraz szybciej i szybciej.

Z gniewu, powiedziała sobie, nie odrywając od niego spojrzenia. Z gniewu i z oburzenia. Z pewnością nie z pożądania!

Dźwięk dzwonka przerwał tę scenę. Drzwi się otworzyły, dzwoneczek podskoczył i zadźwięczał, a Marsh puścił ją szybko. Sara wciągnęła powietrze i nieświadomie potarła ramię tam, gdzie on je trzymał.

Piekarz prowadził swą starą matkę do głównego pokoju jadalnego. Jegomość skinął im głową, jednak stara kobieta podejrzliwie przyglądała się im obojgu.

•Co wy tam knujecie — chciała się dowiedzieć. Po czym, nie krępując się, zawołała do oberżysty mocnym głosem:

•Panie Halbrecht! Niech pan natychmiast da pokój tym młodym. Widać, że potrzebują więcej prywatności, niż ją zapewnia publiczna jadalnia. - Z błyskiem w starych oczach uśmiechnęła się porozumiewawczo.

-Matko! -wykrzyknęła jej zawstydzony syn, rzucając Sarze i Marshallowi przeproszające spojrzenie. Lecz stara kobieta nie przejmowała się krzykiem syna.

- Nie ma to jak sypialnia, gdzie mąż i żona mogą załagodzić nieporozumienia. To dobra rada, słyszycie?

Pierwsze uwagi tej kobiety wprawiły Sarę w osłupienie. Jednakże ostatnie sprawiły, że chciała zniknąć z Kelso raz na zawsze.

Jednak była tutaj, w jadalni o niskim suficie, w najlepszej gospodzie w mieście, oskarżana o lubieżność przez szacowną starą matronę, która bez wątplenia znała wszystkich w mieście.

85

Nie, stara kobieta nie oskarżyła mnie o lubieżność, pocieszała się Sara, stojąc jak wrośnięta w podłogę. Ale niewiele brakowało. Patrzyła przerażona na starą kobietę, świadoma tego, że policzki jej płoną.

-Pani się myli... To znaczy, on nie jest moim mężem... -Dobry Boże, to zdawało się tylko pogarszać sprawę! Zaczęła się cofać w stronę drzwi, pragnąc stąd uciec. - Przykro mi.

- Zapominasz o mężu. - Stara kobieta wskazała kościstym palcem pana MacDougala. - Och, zamilcz! - zrugła syna, który próbował ją ucieszyć.- Mam osiemdziesiąt lat i mogę mówić, co mi przyjdzie do głowy.

Sara rzuciła MacDougalowi wściekłe spojrzenie. Mogła się spodziewać, że nie będzie zakłopotany. Odrażający łajdak był tak źle wychowany, że śmiał się z uwag starej kobiety.

Sara zmęła w ustach niegodne damy siarczyste przekleństwo i sztywnym krokiem opuściła pokój. Właściwie uciekła. Przez chwilę, całkowicie zdezorientowana, stała na niskim ganku. Po czym pobiegła w

stronę swojej klaczy.

- Saro! - Wołanie MacDougala od drzwi frontowych tylko przyspieszyło jej ucieczkę. Czy on ma zamiar upokorzyć ją przed całym miasteczkiem?

Wyglądało na to, że mu się to uda. Gdy Sara chwyciła wodze konia, Adrian i trzej inni młodzieńcy wyskoczyli zza żywopłotu.

- Saro?! - zawołał Adrian, gdy zawróciła zwierzę i ruszyła galopem. - Saro!

Adrian patrzył za znikającą Sarą z niepokojem i podziwem. Ależ ona ma dobre siodło, przywierające idealnie do konia. Co więcej, ma ładne siedzenie.

Lecz co ją tak zdenerwowało, że tak szybko odjechała? Odpowiedź była jasna, gdy Adrian spojrzał ponad żywopłotem. Amerykanin.

Zacisnął pięści, patrząc gniewnie na człowieka, który odprowadzał Sarę wzrokiem.

•To ten? - zapytał Will Carter, szturchając Adriana w żebra. - Ten, co powalił tego Guineę jednym ciosem?

•Taaak. To on - odpowiedział drugi z przyjaciół Adriana. Wymierzył cios w powietrze. - Słyszałem, że biedny Guinea nie miał szans.

Adrian spojrzał na niego chmurnie.

"Biedny" Guinea nie powinien przystawiać się do Sary.

•Sara, tak? Sara. - Will przeciągle wypowiedział to imię.

•Zamknij gębę! Ja mogę ją nazywać Sarą, bo jesteśmy rodziną. Ale dla takich jak ty, ona jest panną Palmer.

86

Will wzruszył ramionami, lecz w oczach błysnęło mu szelmstwo. FCciukiem wskazał Amerykanina.

- No, on nie jest jej krewnym, a nazywa ją Sarą. Ciekawe, co to znaczy. ..

Adrian powalił go jednym uderzeniem. Po czym bez namysłu okrążył żywopłot i popędził prosto w stronę gospody.

Odczuwając zadowolenie i żal, Marsh patrzył za galopującą Sarą. Zdenerwował ją, więc nie była tak pewna swego, jak udawała, że jest.

Z drugiej strony było jasne, że ona zamierza z nim walczyć o dobre imię swojej rodziny. Martwiło go to, bo on także nie był tak pewny swych racji, jak myślał, że jest.

Potań dłońią podbródek, zdając sobie sprawę z obecności kłótlivej kobiety za sobą, terroryzującej zarówno syna, jak i nieszczęsnego pana Halbrechta. Po drugiej stronie dziedzińca jego służący Duff i dwóch stajennych obserwowało odjazd Sary. Niech to diabli! Jeśli miasteczka w Szkocji choć trochę przypominały miasteczka w Ameryce, to pod wieczór jego starcie z panną Palmer będzie głównym tematem rozmów przy kolacji. Choć nie sądził, by zaszkodziło to jego planom, to nie zamierzał, by tak się stało.

Sara może odszukać rejestry, o których on nie wie. Teraz, kiedy wiedziała, co planuje, może wyszukać potrzebny dowód, zanim on zdoła to zrobić. A kiedy znajdzie, na pewno go zniszczy i nikt się nie dowie o krzywdzie jego matki.

Niech to diabli! Przeczesał palcami rozczochrane włosy, patrząc, jak kurz wzbity kopytami jej klaczy znów opada na dziedziniec. Ponownie powiedział jej więcej, niż zamierzał. Co się z nim dzieje?!

Dlaczego, gdy chodziło o Sarę Palmer, zawsze okazywał się głupcem? Nie powinien dopuścić, żeby pociąg do niej zdominował prawdziwy cel jego przybycia do tego miasta. Od pierwszego spotkania z nią ani jednej przekłętej rzeczy nie zrobił jak należy.

Roześmiał się głośno, ale sztucznie. Do wszystkiego zabierał się źle, a to z powodu jednej irytującej kobiety. Nie mógł dłużej zachowywać się w ten sposób.

87

Na nieszczęście, sprawy nieprędko wezmą lepszy obrót, powiedział sobie, kiedy dostrzegł młodzieńca zmierzającego w jego stronę. Syn Es-telle, Adrian. Ten, który ostatniej nocy rzucił się Sarze na ratunek. Marsh skrzyżował ramiona, czekając na jeszcze jedną przykrą rozmowę.

- Co pan jej znowu zrobił? - Chłopiec spojrzał z takim gniewem, że Marsh miał ochotę się roześmiać. Widać nie on jeden robił z siebie głupca przez tę niewdzięczną kobietę. Chłopak nie tylko stawiał czoło Marshowi, ale, jak się zdawało, dla Sary równie chętnie przeciwstawiłby się własnej matce.

Twarcz Marsha była poważna. Nie warto wściekać się na porywczego chłopaka.

- To ona mnie odszukała, Adrianie. Może powinienes skierować to pytanie do niej.

-Ale pan ją zdenerwował. Widziałem, jak przed chwilą odjechała, jakby ją diabeł gonił. Co pan jej zrobił? Marsh potrząsnął głową.

•Ona mnie nie lubi, to wszystko.

•Więc dlaczego przyjechała do gospody, w której pan się zatrzymał? Dlaczego pana nie lubi? ■

Marsh nie miał zamiaru dłużej być przesłuchiwany przez jakiegoś szczeniaka, wzdychającego do kobiety starszej od niego.

- Już powiedziałem, ją zapytaj. - Jednak gdy się odwrócił w stronę gospody, chłopiec chwycił go za rękaw.

Marsh zareagował błyskawicznie. Szybki obrót, pchnięcie i po chwili stał na rozstawionych nogach nad chłopcem. Leżąc na plecach w kurzu, chłopak patrzył na niego, najpierw z zaskoczeniem, potem z wściekłością.

Marsh cofnął się, żałując swej gwałtownej reakcji.

- Mała rada, synu. Nigdy nie chwytaj mężczyzny od tyłu. Ignorując wyciągniętą rękę Marsha, chłopak skoczył na równe nogi

i wycofał się poza zasięg jego ramienia.

-Nie chcemy tutaj takich jak pan. Niech pan wraca do domu, Amerykaninie, zanim pożałuje pan, że w ogóle tutaj przyjechał.

Już żałuję, pomyślał Marsh, obserwując oddalającego się chłopaka. Żałował, że poszedł wczoraj na te tańce; żałował też, że pocałował Sarę Palmer. Lecz niczego nie mógł cofnąć, a nie miał zamiaru zmieniać teraz swych planów.

•Uuu, ależ ten chłopak jest zadziorny - dobiegł go z tyłu głos Duffa.

•Zadziorny? - prychnął Marsh. - Raczej głupi.

- Może głupi, skoro zaczepia gościa dwa razy cięższego od siebie. Ale to dowodzi, że ma ikrę. Widziałem, jak dał w pysk gościowi wyższemu od niego. Rozłożył go jednym ciosem. Z takim talentem, ten chłopak powinien pomyśleć o karierze w boksie. Wie pan, na ringu.

Marsh spojrział krzywo na swego służącego.

- Tego chłopaka stać na więcej.

-Nie wiem, wielmożny panie. Na ringu można zarobić pieniądze. Nie widział pan, jak on się zamachnął, nie pięścią, ale całym ciałem. Mniej więcej tak, jak wczoraj pan na tego gościa. - Kiedy Marsh milczał, Duff uśmiechnął się szeroko i splunął. - Śmieszne, przysiągłbym, że obie walki były o tę samą kobietę.

Marsh nie był w nastroju do takich rozważań.

- Kobiety to kłopot, Duff. Zapewne już się o tym przekonałeś. Wszyscy zrobilibyśmy lepiej, trzymając się od nich jak najdalej.

Duff roześmiał się głośno.

- Osobiście lubię kobiety, szczególnie te nieskomplikowane, takie jak matka tego chłopca.

Marsh nie odpowiedział, tylko zawrócił do gospody. Nieskomplikowana kobieta. Tak, w tej chwili przydałaby mu się taka, by pozbyć się tej frustracji i gniewu.

Gdy maszerował przez gospodę i wchodził po schodach, wiedział, że nieprędko znajdzie ulgę. On i Sara Palmer będą się ścierać, lecz nie w łóżku. Wielka szkoda.

Rzucił na krzesło kapelusz i strząsnął z siebie zmiętą kurtkę. Po paskudnej scenie ostatniej nocy i po tym, jak zaprezentował się dzisiaj, Sara miała wszelkie prawo kręcić na niego swym ładnym, arystokratycznym nosem. Wdał się w burdę i pił jak jakiś zbir ze wsi. Jego matka byłaby tak samo zbulwersowana jak Sara.

Jednak myśl o matce pomogła Marshowi na nowo skupić się na celu swojej podróży do Kelso. Nie chodziło o Sarę Palmer, tylko o Maureen MacDougal Byrde.

Następnego ranka Sara siedziała przy stole w swym alkierzu, sporządzając listę. Miała wiele czasu, by rozważyć możliwości wyboru i wszystkie

89

Jego matce zabrano życie, na jakie zasługiwała. Jeden mężczyzna już ją zawiódł. On nie miał zamiaru tego zrobić.

one sprowadzały się do jednego. Skoro nie mogła udusić Marshalla Mac-Dougala - a szczerze tego pragnęła - to musi go przechytryć. Musi się upewnić, że żaden dowód zawarcia małżeństwa między jego matką a Cameronem Byrde'em nie istnieje.

A jeśli istnieje?

Pióro drżało jej w ręce i niebawem na trzech ostatnich wpisach na liście rozlał się duży kleks.

- Do licha - mruknęła. Odrzuciła pióro i zmięta paskudną kartkę pergaminu. Niewykluczone, że ten łajdak Cameron Byrde nie poślubił tej kobiety i że ona nic nie znajdzie w rejestrach ślubów.

Jeśli chodzi o kościoły w Anglii, Sara wykluczyła je od razu. Pan Mac-Dougal powiedział jej przy ich

pierwszym spotkaniu, że przybył z Londynu. Zapewne szukał tam dowodu - bez powodzenia, jak podejrzewała. Dlatego przyjechał do Szkocji.

Lecz tutaj także nic nie znajdzie. Z tego, co słyszała, Cameron Byrde był zbyt przebiegłym łajdakiem, by dać się złapać w pułapkę małżeństwa z kobietą ubogą. Matka pana MacDougala prawdopodobnie wymyśliła całą tę historię, by uchronić przed potępieniem siebie i swego syna. Dlatego on w nią wierzył - była to jedyna historia, jaką mu kiedykolwiek opowiedziano.

Sarę ogarnęło współczucie dla pana MacDougala. Jakie to musiało być trudne, dorastać bez ojca. Pan MacDougal musiał boleśnie odczuwać jego brak. Tak jak Adrian. Neville, jakkolwiek się starał, nie mógł mu wypełnić tej pustki. Czy ktoś próbował wypełnić tę pustkę panu MacDougalo-wi?

Wstała i otrząsając się ze współczucia, podeszła do okna. Na zewnątrz gęsty rząd jabłoni okalał kuchenny ogród. Tego roku będą miały wiele jabłek. A stado owiec powiększyło się o nowe jagnię. Dzięki Neville'owi i Olivii, Byrde Manor kwitło, a całe Kelso i okoliczne wsie korzystały z tego. Jeśli Adrian nie korzystał, to nie z braku starań z ich strony.

Lecz sprawa z tym Amerykaninem była najważniejsza. Nie pozwoli mu zniszczyć Olivii i pozbawić domu jej dzieci. Może w przeszłości córka Augusty sprawiała zawód swym lekkomyślnym i samolubnym zachowaniem, lecz tym razem ich nie zawiedzie.

Wyprostowała ramiona. Miała trzy tygodnie, zanim Olivia i jej rodzina wrócą z Glasgow. Jeśli do tego czasu nie będzie mogła dowieść prawdy i kazać panu MacDougalowi pakować walizki, to będzie zmuszona powiedzieć Liwie i Neville'owi, co się dzieje. Do tego czasu jednak ona sama musi rozegrać tę bitwę i wygrać.

90

Porwała kartkę z listą kościołów. Jeśli oni zawarli małżeństwo, wpis o nim musi gdzieś istnieć, a nie znajdzie go, krążąc po korytarzach Byrde Manor.

Pani Hamilton dziergała, siedząc przy słonecznym kuchennym oknie na dole.

•No, dziecko. — Uśmiechnęła się do wchodzącej Sary. - Dowiedziałam się czegoś.

•Naprawdę?

•Tak. W Woodford Court była na służbie młoda MacDougal. Pani Tillotson ją pamięta. Miła dziewczyna, ale nie została długo.

Sara zeszywniała.

•Kiedy to było? Czy pani Tillotson pamięta?

•Dobre trzydzieści lat temu, powiedziała, bo pani Tillotson była jeszcze w domu, a nie na służbie.

Sarze nagle zaschło w ustach.

- Czy wie, co się stało z tą dziewczyną?

Pani Hamilton wykrzywiła twarz.

•Sądzi, że dziewczyna poślubiła kogoś z Maxton. To znaczy, że nie mogła być matką tego Amerykanina. Ale nie wydawało mi się mądre zadawać pani Tillotson zbyt wiele pytań.

•Maxton. -Niewiele tego na początek, ale przynajmniej coś. Sara nie traciła czasu. Wzięłaby konia, gdyby nie nieugięty sprzeciw pani Hamilton. Ochmistrzyńni nie pozwoliłaby jej też powozić. Po godzinie Sara i stan-gret ruszyli podróżną karetką z koszem wiktuałów i ścisłymi rozkazami, by wrócili przed wieczorem.

Przy suchych drogach i obiecującej pogodzie Sara była pewna, że dotrze do Maxton wczesnym popołudniem, przejrzy tam księgi parafialne i wróci o godzinie, która zadowoli panią Hamilton. Gdyby jednak okoliczności wymagały, żeby została dłużej, była na to w pełni przygotowana i niech diabli wezmą

pozory przyzwoitości.

Trzygodzinna podróż dała jej zbyt wiele czasu na rozmyślenia. Głównie o Marshallu MacDougalu.

Zanim dotarła do starej wsi Maxton, była kłębkim nerwów. W efekcie drażniło ją ociąganie się nowicjusza u Świętego Patryka przy udostępnieniu ksiąg parafialnych.

- Co się tutaj dzieje? - dopytywał się chudy chłopak. Zaprosił Sarę do środka, lecz gdy tylko przedstawiła swe życzenie, jego zachowanie całkowicie się zmieniło. Stał teraz w sutannie, na szeroko rozstawionych nogach, broniąc dostępu do biura pastora.

91

- Dlaczego interesują panią nasze księgi parafialne? Mówi pani, że przyjechała z Kelso. Ale mnie się zdaje, że z Londynu.

Sara starała się zachować grzeczny ton w rozmowie z tym człowiekiem, lecz było to trudne.

Gwałtowne zachowanie nie pomoże twojej sprawie, upomniała samą siebie.

Lecz podczas tańców z pewnością pomogła sprawie Marshalla Mac-Dougala. Jeden cios i pan MacDougal posłał pana Guineę w diabły.

Na myśl o aroganckim zachowaniu Amerykanina w jej głowie zrodziło się pewne podejrzenie. Bacznie przyjrzała się stojącemu przed nią chłopakowi.

-Nie jestem pierwszą osobą, która przyszła do pana z takim żądaniem, prawda? - Gdy chłopak się zawahał, zaczęła naciskać. - Wiem o wszystkim, więc może pan przestać kłamać. W pana zawodzie to nie przystoi.

Chłopak odwrócił spojrzenie i jego ziemista cera poróżowiła. Miała słuszność. Ten nędzny MacDougal był tu przed nią.

Spod zmrużonych powiek gniewnie spojrzała na chłopaka.

- Przypuszczam, że zagroził, iż pana zleje. Jeśli powie pan komuś, zwłaszcza mnie, o jego wizycie. Ale niech się pan nie martwi, nie wydam pana.

-Nie wyda mnie pani? -Niezadowolony zaczął skubać sutannę. —Kobięcy umysł tak niewiele rozumie. Do pani wiadomości, pan MacDougal ofiarował bardzo hojny datek. Na rzecz parafii - dodał pospiesznie, kiedy ona sceptycznie uniosła brwi.

Choć Sara głęboko wątpiła, by te pieniądze trafiły do szkatułki dla biednych, nie miała zamiaru dać się pokonać Marshallowi MacDougalowi. Z teatralnym wyczuciem otworzyła ozdobną torebkę.

- Potrafię być równie hojna jak on. A teraz proszę mi pokazać to, co pokazał pan jemu.

Faktycznie, panna Magdalena MacDougal wyszła za mąż w październiku 1797 roku. Lecz nie za Camerona Byrde'a, ale za Horace'a MacNeila.

Sara potarła palcem liczący trzydzieści lat wpis. Papier był cienki, atrament zaczął blaknąć. Lecz nazwisko było wyraźne. Horace MacNeil.

Podniosła wzrok na nowicjusza.

- Czy Magdalena MacDougal i Horace MacNeil nadal tutaj mieszkają? Głowa zachwiała mu się na długiej szyi.

- On mieszka. Ona zmarła zeszłej zimy i została pochowana na cmen

tarzu kościelnym.

Podczas krótkiej jazdy do siedziby Horace'a MacNeila Sara milczała. Uświadomiła sobie, że ta kobieta nie mogła być matką pana MacDouga-la, chyba że cała ta opowieść była misternym oszustwem. Jednak nie

92

wydawało jej się, by tak było. Pan MacDougal naprawdę wierzył, że jego matka poślubiła Camerona Byrde'a. To oznaczało, że ta kobieta była, w najlepszym razie, spokrewniona z Marshalllem MacDougałem. Może była jego ciotką? Ważne było to, czy jej rodzina wiedziała coś o matce Marshalla MacDougala i jej związku z Cameronem Byrde'em.

A jeśli Amerykanin już tam był i przepytał MacNeila? Czy oni przyjmą ją teraz? A jeśli byliby tak niechętni, jak ten nowicjusz, to czy miała dość pieniędzy, by ich do tego skłonić?

Przeszukała torebkę. Dlaczego nie pomyślała o tym, by wziąć więcej pieniędzy?

Niebawem karetka zatrzymała się przed domkiem MacNeilów. Był to niski, otynkowany budynek, przez co wyróżniał MacNeilów wśród biedniejszych sąsiadów. Lecz na dziedzińcu panował bałagan, a za domkiem zwisając niedbale z podpartych żerdzi, suszyło się pranie.

Dwa psy, ze zjeżoną sierścią i na sztywnych łapach, zaczęły szczekać. Tuż za nimi wybiegło pięcioro dzieci, pojawiły się dwie kobiety i na końcu starzec. Sara patrzyła na niego, na jego wydatny brzuch z napinającymi się na nim szelkami. Może to był pan MacNeil, mąż Magdaleny?

Szedł przez dziedziniec, z każdym krokiem chmurniejszy. Jakby wyczuwając jego nastrój, psy stały się zuchwalsze. Stangret Sary musiał mocną rękę powściągać nerwową parę koni.

Stangret śmignął batem jednego z kundli, który podbiegł za blisko, po czym spojrzał gniewnie na starego człowieka.

- Hej, ty! Odwołaj te psy.

Starzec tylko mocniej potrząsnął pięściami.

- Jeśli ona przyjechała tutaj w tym samym celu, co ten drugi, to może ruszać w drogę. Nie rozmawiamy o tych, co zostali przegnani z rodziny. Powiedziałem to jemu i tobie mówię to samo. Ta Maureen niewarta była brudu pod butami mojej Magdy. A teraz ruszaj. Wracaj do Ameryki z tym jej bękartem!

Zesztywniała z oburzenia, Sara zawołała do stangreta, zanim ten zdążył się posprzeczać.

- Ruszaj. - Marshall MacDougal już tutaj był i niewątpliwie został tak samo potraktowany. Dowiedziała się jednak od tego starca wystarczająco dużo, by się domyślić reszty. Matką Marsha musiała być Maureen Mac Dougal, siostra Magdy MacNeil.

A jej grzech?

Sara wpatrywała się niewidzącymi oczami w puste poduszki naprzeciwko niej. Znała tylko jeden grzech, przez który młoda kobieta została

93

odsunięta od rodziny. Maureen MacDougal musiała zająć w ciążę, nie mając męża.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Bez męża, Maureen MacDougal została odesłana aż do Ameryki. Cameron Byrde mógł być kochankiem tej kobiety, ale, tak jak Sara podejrzewała, nigdy nie był jej mężem.

Pan MacDougal nie miał dowodu na zawarcie małżeństwa i nie znajdzie go tutaj. Teraz była tego pewna.

A jeszcze ten człowiek nazwał Marsha bękartem.

Gdy karetą ruszyła z powrotem do Kelso, Sara nie czuła satysfakcji, jakiej się spodziewała. Zamiast tego, przed oczami pojawiał jej się obraz wystraszonej młodej kobiety, samej i ciężarnej.

Co ona by czuła? Nie, żeby kiedykolwiek znalazła się w takiej sytuacji. Niemniej, opuszczona przez ukochanego, siostrę, rodzinę, wysłana za ocean, matka Marsha musiała dawać sobie radę w świecie, być jedynym oparciem dla bezradnego małego dziecka...

Była to straszna myśl i mimo iż nie darzyła Marshalla MacDougala sympatią i nie ufała mu, serce ścisnęło się jej ze współczucia dla jego nieznannej matki - i dla pozbawionego ojca chłopca. Żadne z nich nie zasłużyło na los, jaki ich spotkał. Zwłaszcza on nie zasługiwał na potępienie tego niemiłego starca MacNeila.

Ściągnęła rękawiczki, rozwiązała i zdjęła czepek. Czy takie potraktowanie wypędziło Adriana z Eton?

Bez wątpienia tak.

Sara westchnęła. Będzie musiała podwoić starania, jeśli chodzi o chłopca, zdecydowała. Może jak tylko pan MacDougal wróci do Ameryki - bo dzisiejsze informacje musiały go zniechęcić- może zwierzy się z tego wszystkiego Neville'owi i doradzi mu, by nie zrażał się popisami nonszalancji Adriana. Chłopiec potrzebuje ojca. Jeśli nie okażą mu miłości, na pewno wyrośnie na trudnego i nieszczęśliwego człowieka, jak ten nieznośny pan MacDougal.

Siedząc w cieniu kasztanowca przed przysadzistym zajazdem pocztowym w Rutherford i sącząc trzecią szklanekę whisky, Marsh zaciskał szczęki. Ten żaloszny łajdak! Minęło trzydzieści lat, jego żona zmarła i została pochowana, a mimo to Horace MacNeil odrzucił Maureen MacDougal -a także jej syna. Jeśli rodzina tak ją traktowała, nic dziwnego, że jego matka milczała na temat krewnych w Szkocji.

94

Marsh wychylił szklanekę mocnej whisky, upajając się jej palącym smakiem. Czy to mogła być prawda? Czyjego matka, brzemienna i bez męża, została odesłana? Czy Cameron Byrde nie chciał jej poślubić? Czy kłamała, by łagodzić rozpaczliwą tęsknotę małego chłopca za ojcem, którego nie mógł mieć?

Ręka mu zadrżała i odstawił ciężką szklanekę.

Przy wszystkich komplikacjach - długiej, męczącej podróży morskiej, ślepych uliczkach w Londynie, dobrych i złych tropach, odkąd przybył do Szkocji - dzisiejsze starcie z rodziną matki dotknęło Marsha najmocniej.

Ten człowiek nazwał go bękartem. Nie była to uwaga, jaką zazwyczaj się przejmował, ale tym razem... tym razem zaczął wierzyć, że mogła być prawdziwa.

Zamknął oczy, wyobrażając sobie matkę taką, jaką widział ją po raz ostatni. Taką ładną i kruchą, jak zawsze uśmiechającą się do niego z miłością w oczach. Był jej całym światem. Teraz to rozumiał. A on uważał tę pozycję za całkowicie mu należną. Dopiero teraz, kiedy jej nie było, zrozumiał, jak jej miłość i wiara w niego były dla niego ważne.

Czy jeszcze kiedykolwiek będzie dla kogoś tak ważny?

Cienie późnego popołudnia rozpościerały się fioletem po dziedzińcu. Nie miał zwyczaju rozczulać się nad sobą, ale ten jeden raz pozwolił sobie na tę słabość.

Po drugiej stronie dziedzińca siedział Duff, jak zwykle nie martwiąc się o to, gdzie spędzą noc. Duff był ciekaw zamiarów Marsha. Choć Marsh nie wstydził się swej dawnej kariery boksera, nie była ona czymś,

czym się przechwalał. Powinien przewidzieć, że taki wysportowany człowiek jak Duffy Erskine rozpozna nazwisko MacDougal. Lecz kariera boksera należała do przeszłości. Teraz obchodziły go ważniejsze sprawy.

Marsh zobaczył, jak pulchna pokojówka po raz trzeci wychodzi z kuchni, by poplirtować z Duffern i ciężko westchnął. Chciałby, by jego życie znów stało się nieskomplikowane.

Skrzypiący powóz wjechał na dziedziniec i Marsh leniwie go obserwował. Coś w nim wydało mu się znajome. A potem w jego ciemnym wnętrzu dostrzegł profil kobiety i nagle wszystkie jego zmysły ożyły.

Sara Palmer. Musiała go śledzić.

Serce zaczęło mu bić szybszym rytmem. Zatem ona też jest tutaj. To oznaczało, że jego życie stanie się bardziej skomplikowane. Nie powinno go to dziwić, bo ona jest bardzo inteligentna i zaradna. Musiał jej to przyznać.

Lecz czy była wystarczająco bystra, by odkryć MacNeilów i ich związki z MacDougalami?

95

Patrzył, jak powóz zatrzymuje się przy stajni i stangret zeskakuje. Wstał i przecesał palcami włosy. Przestał się nad sobą rozczulać i pomyślał o obecności Sary w tym zajeździe.

Jako bękart został odtracony przez Horace'a MacNeila.

Trzeba było się przekonać, co Sara Palmer myśli o bękartach.

Sara sięgnęła do drzwi powozu, po czym raptownie opadła na skórzane poduszki. Nie! Niemożliwe, żeby on tutaj był!

Marshall MacDougal maszerował przez dziedziniec, zmierzając wprost do powozu. Och, dlaczego musieli napoić konie akurat tutaj? Jeszcze godzina jazdy, a byłaby w domu. Nawet tylko pół godziny, a mogłaby się zatrzymać w Trows zamiast tutaj.

Ale nie, utkwiała tu, bez pokojówki, późnym wieczorem - i z Marshallem MacDougalem, wyraźnie dążącym do walki.

Zdenerwowana odgarnęła z czoła wilgotny lok. A więc on chce się z nią zetrzeć. Niech tak będzie. Nie musiała się wstydzić tego, że jest tutaj. Broniała tylko interesów swej rodziny i z tego była dumna. W każdym razie jej pozycja była teraz silniejsza niż przedtem - przyjmując, że uwagi niemiłego MacNeila były prawdziwe.

Zmusiła się zatem do wyniosłego, pewnego siebie uśmiechu. Dawno temu dowiedziała się, że był on silną bronią w kontaktach z takimi ludźmi, jak Marshall MacDougal. Całkowicie zignorowała fakt, że serce bije jej mocno z innego powodu.

Zatrzymał się przy drzwiach, z głową na wysokości okna.

- Och, witam, panno Palmer - powiedział podejrzanie szczerym tonem. - Pomyśleć, że się znowu spotykamy. Bogowie muszą być dziś dla mnie łaskawi, skoro obdarzają mnie tak miłym towarzystwem.

Miłe towarzystwo? Sara przymrużyła oczy. Jeśli miał ochotę na taką zabawę, proszę bardzo.

-Och. Jakże się pan miewa, panie MacDougal? Obawiam się jednak, że mój postój tutaj będzie krótki. Zatrzymaliśmy się tylko po to, by dać wytchnienie koniom, zanim ruszymy dalej do Kelso.

-Tak jak ja. Miło mi będzie towarzyszyć pani.

- To z pewnością nie będzie konieczne.

•Aleja nalegam. Jestem pewien, że pani matka nie chciałaby, żeby podróżowała pani sama po tych wiejskich drogach.

•Ach! - przerwała mu. - Oboje wiemy, że jest pan ostatnią osobą, która przejmowałaby się życzeniami mojej matki. Poza tym mam stangreta.

•Jak powiedziałem — ciągnął niezrażony - nie powinna pani podróżować sama po tych wiejskich drogach, szczególnie po zmroku. Uprzedzono mnie, że w tych stronach grasują rozbójnicy.

Sara wiedziała o tym, ale nie zamierzała się do tego przyznawać.

•Jestem pewna, że to przesada.

•Nie wydaje mi się. - Uśmiechał się teraz szeroko, impertynenckim, triumfalnym uśmiechem, który sprawiał, że trudno jej było zachować pozory uprzejmości.

Wysunęła podbródek i postanowiła być szczerą.

- Porzućmy tę śmieszoną farsę, panie MacDougal. Nie dba pan o moje bezpieczeństwo, a zważywszy pańskie nieprzyjazne uczucia wobec mojej rodziny, nie musi pan udawać, że także mną się przejmuję. Poza tym, jak pan dobrze wie, nie spotkaliśmy się tutaj przypadkiem. Tak jak ja, dopiero co przyjechał pan zMaxton. Podejrzewam, że oboje odjechaliśmy z tą samą interesującą wiadomością. Przypuszczam, że cieszy mnie ona bardziej niż pana.

Miała wrażenie, że widzi, jak zmienia się wyraz jego oczu. Szydercze światełko znikło, a w jego miejsce pojawiło się zmieszanie.

•Tą samą wiadomością? - spytał ostrożnie. Sara zawahała się, zanim przemówiła.

•Byłam u pana MacNeila.

Ton głosu Marsha stał się jadowity.

-Pan MacNeil ochoczo dzieli się swymi paskudnymi opiniami. Nie wiadomo, czy opinie te są prawdziwe, lecz cieszę się, że chociaż ty jesteś zadowolona z jego słów. Może nie będziesz już jeździła za mną po okolicy.

Po tych słowach skłonił się lekko i odszedł. Jego zachowanie zaskoczyło Sarę. Nawet nie zdążyła zwrócić mu uwagi za mówienie do niej po imieniu.

Choć przedtem trzymała się z dala od okna, teraz wysunęła przez nie głowę i patrzyła, jak on oddala się zamaszystym krokiem.

Coś w nim kazało jej współczuć. Przebył daleką drogę tylko po to, by się dowiedzieć, że był nieślubnym synem człowieka, który nie przejmował się losem ludzi, których krzywdził. Jakie to musi być dla Marsha bolesne.

On z pewnością wróci teraz do Ameryki.

7 - Nieodparty i nieznośny

97

Przez następne minuty Sara siedziała w powozie, rozmyślając, podczas gdy doglądano koni. Na nieszczęście, z każdą mijającą minutą była coraz bardziej przekonana, że pan MacDougal nie zrezygnuje tak łatwo. Nie, on nie zrezygnuje. Może za wcześnie ogłosiła swoje zwycięstwo?

Z jednej strony, zastanawiała się, czy słowa pana MacNeila zawierały prawdę, z drugiej jednak, coś w

niej martwiło się również o to, czy słowa te bardzo zraniły pana MacDougala.

Nie rozumiała, dlaczego ją to interesuje. Może przez Adriana. Ostatecznie, nie chciałyby zobaczyć, jak lekceważą chłopca z podobnego powodu. Więc jak mogłoby ją cieszyć traktowanie pana MacDougala w taki sam okrutny sposób?

Jest bardzo prawdopodobne, iż on jest przyrodnim bratem Olivii. To oznacza, że zalicza się także do jej dalekiej rodziny.

Poprawiła się niespokojnie na ławce. Gdyby tylko on zachowywał się jak członek rodziny, a nie jak jej wróg. Znając swą siostrę, Sara była pewna, że Liwie przyjęłaby go z otwartymi ramionami. Z czasem zapewne nawet ich matka oswoiłaby się z myślą, że jej drugi mąż miał nieślubnego syna.

Lecz żadna z nich nie zaakceptowałaby Marshalla MacDougala, jeśli ten by się upierał, że jest prawowitym synem i dziedzicem Camerona Byrde'a i że jego matka była prawdziwą żoną Camerona Byrde'a.

Sara skrzywiła się i pomasowała sobie skronie, które zaczęły pulsować. Wszystko było takie poplątane!

Zanim znów ruszyli w drogę, było już ciemno, więc stangret zapalił przednią latarnię. Księżyc dawał blade i zmienne światło. Po kilku milach napłynęły ciężkie chmury i ciemność zaległa nad nimi jak wielka, dławiąca ręka.

Sara skuliła się przy oknie, wpatrując się w mrok. Oprócz nierównych ścian żywopłotów, kamiennych ogrodzeń i nielicznych świateł z odległych domów, niewiele mogła dostrzec. Jej dyskusja o rozbójnikach z panem MacDougalem wprawiła ją w najwyższe zdenerwowanie.

Powinna wziąć pokój w Rutherford. Choć stangret nie wyraził głośno swej opinii, Sara poznała po jego wyczekującym spojrzeniu, że właśnie miał na to nadzieję. Lecz ona obiecała pani Hamilton, że wróci dziś wieczorem. Poza tym był tam Marshall MacDougal ze swoim niepokojącym wdziękiem. W efekcie, zamiast podjąć rozsądną decyzję, pozwoliła, by uczucia' zapanowały nad jej rozumem.

Dlaczego zawsze udawało mu się wyprowadzić ją z równowagi? Dlaczego się złościła, ilekroć on był w pobliżu?

98

Nikły blask letniej błyskawicy gdzieś daleko przyniósł chwilową ulgę. Po kilku sekundach przetoczył się nad nimi niski i groźny łoskot gromu.

Proszę, niech nie pada, modliła się Sara. Tylko tego brakowało. Już i tak zwolnili, burza zatrzymałaby ich całkowicie.

Nagle usłyszała inne dźwięki; końskie kopyta i męski głos. Od razu przypomniała sobie słowa Marshalla MacDougala: "W tych stronach grasują rozbójnicy".

Boże drogi, oby to nie była prawda!

Och, dlaczego była taka niemądra, by ryzykować powrót do domu po zmroku?

- Panienko? - dobiegł ją głos stangreta. Był zdenerwowany. - Lepiej niech się panienska mocno trzyma.

Na trzaśnięcie bicza powóz pomknął do przodu i choć Sara mocno zacisnęła ręce na słupku okna i wparła stopy w podłogę, miało niąz boku na bok.

Dobry Panie, jak stangret potrafił usiedzieć na swym miejscu? 1 jak konie widziały drogę w nieprzeniknionych ciemnościach?

Te zmartwienia były jednak niczym w porównaniu z większą obawą. Czy zbliżali się rozbójnicy?

- Stać! - usłyszała za sobą okrzyk.
- Jedź szybciej! - krzyknęła Sara.
- Saro! Zwolnij, do diabła!

On zna jej imię? Sara wysunęła głowę przez okno. Czy zna ten głos?

- Saro! Każ stangretowi zwolnić!

Gdzieś już słyszała ten amerykański akcent.

- Zatrzymaj się! Zatrzymaj się! - wykrzyknęła do stangreta. Nie było żadnych rozbójników, to tylko pan MacDougal. Bogu dzięki,

Ledwie stangret zatrzymał dyszące konie, ulga Sary zmieniła się w oburzenie. Jak ten człowiek śmiał tak ich wystraszyć!

Wypadła z powozu, jeszcze zanim ten stanął na dobre. Pan MacDougal musiał ściągnąć swego konia, by uniknąć zderzenia z nią.

- Lepiej, żeby okazał się pan rozbójnikiem - powiedziała ostro. - Śmiertelnie mnie pan przeraził!

Człowiek, który jechał za panem MacDougalem, parsknął śmiechem.

- Zdaje mi się, że ta dzierlatka chce, żeby ją związać i zniewolić, wielmożny panie.
- Zamknij się - mruknął MacDougal. Do Sary zaś powiedział: - Nie ścigałem cię, dopóki nie zaczęłaś uciekać. Przez pewien czas jechałem za tobą.

Sara oparła ręce na biodrach.

99

- W jakim celu? Mógł pan zostać w Rutherford.
- Wierz mi, zostałbym - odparł. - Tylko byłem niespokojny, że podróżujesz sama po zmroku.

Za nimi stangret odchrząknął.

- Proszę wybaczyć, panienko.

Lecz Sara nie spuszczała wzroku z Marshalla MacDougala. W ciemnościach wydawał się wielki, groźny i w ogóle mu nie ufała.

- Nie musi mnie pan pilnować.

Zsiadł z konia i kiedy zatrzymał się tuż przed nią, poczuła się bardziej zagrożona niż przedtem. Czy rozbójnicy niewolili kobiety, które zatrzymywali? Czy on chciał ją zniewolić?

Na samą myśl o tym ogarnęła ją fala gorąca. Wydała cichy jęk przerażenia. Jak ona mogła tak reagować na niego? Właśnie na niego?

- Proszę wybaczyć, panienko - znów powiedział stangret, stojący przy dyszących koniach. - Proszę wybaczyć, ale wygląda na to, że już po tym koniu.

Sara obróciła się i spojrzała na stangreta. Miała ochotę się rozplakać. Wszystko szło nie tak, jak powinno, czuła, jak narasta w niej frustracja. Opanowała się jednak i powiedziała do woźnicy:

- Co masz na myśli, mówiąc, że jest po nim?

Nawet w ciemności poznała, że jest zdenerwowany.

-No, okulał. Musiał źle stąpnąć w tym zwariowanym wyścigu. Burza przetaczała się przez niebo, była coraz bliżej i Sarą owładnęło przecucie nadciągającego nieszczęścia.

- Czy może iść dalej?

•No, będzie musiał sam iść do domu, do Byrde Manor. Nie będzie mógł ciągnąć żadnego ciężaru. Z tą nogą...

•Ale wyzdrowieje? - zapytała Sara, zatroskana o cierpiące zwierzę.

•Och, tak mi się zdaje, panienko. Po tygodniu czy dwóch odpoczynku będzie taki jak dawniej.

Uspokojona, Sara stanęła przed dylematem: co ma teraz zrobić? Wygadany służący pana MacDougala wydał z siebie coś bardzo podobnego do rżenia.

•Czy drugi koń da radę sam pociągnąć powóz? - zapytała Sara stangreta.

•Gdyby nie był już zmęczony, gdybyśmy nie musieli pokonać Gunnet Hill, no to może. Ale teraz...

•Możemy zaprząć jednego z naszych koni - ku wielkiemu zaskoczeniu Sary zaproponował pan MacDougal.

•Nie sądzę - zaczęła.

100

•Nalegam. Nie mogę cię tu zostawić. Czuję się odpowiedzialny za twoje kłopotliwe położenie.

•Cóż, cieszę się, że czuje się pan winny. Niemniej nie sądzę, by pański koń poradził sobie z tym zadaniem. Piękny koń pod siodło nie jest przyzwyczajony do chodzenia w zaprzęgu.

•Koń mojego człowieka jest wystarczająco potulny, by się nadawał do takiej pracy - nalegał. - Potem Duff może wsiąść na mojego konia, a ja będę ci towarzyszył w powozie. Ale jeśli ci się to nie podoba, możesz pojechać ze mną. - Poklepał swego konia po szyi. - Dukie z łatwością udźwignie nas oboje.

Zamilkł na wystarczająco długą chwilę, by Sara wyobraziła sobie, jakie to może mieć następstwa. Ona siedząca przed nim, otoczona jego ramionami, przycisnęła do jego piersi.

Niezadowolenie Sary przerodziło się w panikę. Nie może na to pozwolić!

- Oba rozwiązania są dobre - ciągnął. - Jedyne, na co nie pozwolę, to żebyś spędziła noc tutaj, w tym powozie. Musisz bezpiecznie dojechać do domu.

Duff zsiadł z konia i podszedł do powozu, by porozmawiać ze stangretem, pozostawiając Sarę z panem MacDougalem. Skrzyżowała ramiona, rozgniewana i zdenerwowana. Czy nie było innego wyjścia?

•Nie możesz tego znieść, prawda? — szepnął głosem, którego nie słyszeli obaj służący.

•Jeśli mówi pan o tym, że w środku nocnej ulewy będę zdana na własne siły, to przyznaję. Jest to dla mnie trudna sytuacja.

•Chcę powiedzieć, że nie możesz znieść tego, iż mam rację. - Znalazł się teraz bliżej niej.

Uniosła podbródek.

- Czego pan chce, panie MacDougal? Czy stawianie mnie w takim kłopotliwym położeniu sprawia panu przyjemność? Przyznaję, że oba rozwiązania są odrażające.

Zachichotał.

•Gdyby chodziło o dobrego pastora, a nawet pana Halbrechta, nie byłabyś taka zdenerwowana. Przyznaj się. Jechałabyś konno przed panem Listonem i z radością zносиła obecność pana Halbrechta w swym powozie. Ale ze mną... -zawiesiłgłos.

•Wini mnie pan? - odparła ostrym szeptem. - Ani pan Liston, ani pan Halbrecht nie mają złych zamiarów wobec mojej rodziny.

Wzruszył ramionami.

- Sądzę, że chodzi o coś więcej.

Wyprostowała się, zażenowana tym, co sugerował. Na nieszczęście był tylko jeden sposób, by temu zaprzeczyć. Obciągnęła stanik swej sukni.

101

- Szkoda czasu na sprzeczkę. Przyjmuję pańską propozycję, panie MacDougal. Niech pan zaprzęgnie swego konia do powozu. Ale proszę to zrobić szybko. Wydaje się, że niebo zaraz się otworzy.

Miała rację.

Ledwie wymieniono zwierzęta, rozpętała się nad nimi burza. Stangret, owinięty płaszczem przeciwdeszczowym, szedł przy głowach obu koni, prowadząc je przez burzę, podczas gdy człowiek pana MacDougala dosiadł wierzchowca i prowadził okulałego konia za sobą.

Pan MacDougal szybko dołączył do niej w zasłoniętym powozie.

Zdjął czapkę bobrową, strząsając z niej krople deszczu, po czym przymocował płócienne zasłony w oknach. W końcu zwrócił się do Sary:

- Co za historię będziemy mieli do opowiedzenia o tej nocy?

Sara nie odpowiedziała. Patrzyła nieufnie, jak on sadowi się naprzeciw niej. Deszcz walił wściekle o powóz, a on odłożył na bok czapkę, ściągnął rękawiczki do konnej jazdy i wyciągnął przed siebie długie nogi.

Sara przesunęła nogi i zgarnęła do boku spódnice, tak by nie ocierały się o jego buty i bryczesy. Po czym ułożyła za głową atlasową poduszkę i zamknęła oczy.

- Zamierza pani spać czy tylko udawać?

Mimo jego rozbawionego tonu, Sara nie otworzyła oczu.

- Udaję, że śpię, panie MacDougal, bo nie chcę urazić pańskich uczuć, nie podejmując rozmowy z panem. Gdyby był pan dżentelmenem, zrozu miałby pan to i dostosował się do mnie.

Gdy usłyszała drwiące parsknięcie, podjęła rozmowę.

•Ale, niestety, pan nie jest dżentelmenem, o czym już się przekonałam.

•Prawdopodobnie nie jestem, ale wcale mnie to nie martwi - dodał. -Z tego, co widziałem, większość waszych tak zwanych dżentelmenów to ważniacy, którzy nigdy nie podjęli uczciwej pracy.

Sara otworzyła oczy.

- To absurd. Mój brat jest dżentelmenem, a także zarządza majątkiem swoim i matki. Mój szwagier - też dżentelmen - hoduje najszlachetniej

sze konie, oprócz tego, że daje zatrudnienie przynajmniej stu ludziom. - Poślała mu pełen wyższości uśmiech. - Czy może pan to samo powie dzieć o sobie?

Skrzyżował ramiona.

- Jak najbardziej.

Mimo największych starań, by tego nie robić, zapatrzyła się w niego z rozchyłonymi ustami.

- Naprawdę?

102

- Tak. Ale jestem ciekaw, czy pani brat i szwagier odziedziczyli swe posiadłości po ojcach?

Sara milczała.

— Oczywiście, że tak - ciągnął. - Takie są u was zwyczaje. Ale w Ameryce jest inaczej. Tam, skąd pochodzę, każdy, kto odznacza się inteligencją, chęcią do ciężkiej pracy i pragnieniem sukcesu, może go odnieść. Wszystko, co mam — majątek, przedsiębiorstwo, reputację - zdobyłem w pocie czoła. Nikt mi niczego nie dał. Zatrudniam od pięćdziesięciu do dwustu ludzi, pracujących przy różnych moich projektach.

Sara była pod wrażeniem jego słów. Może on nie jest dżentelmenem w pojęciu jej sfery, ale jest człowiekiem odważnym i honorowym. Wydaje się, że tak jak James i Neville, ciężko pracował dla swej rodziny. Na dodatek podjął te długie poszukiwania ojca ze szlachetnych pobudek: by dowieść, że jego matka była przyzwoitą kobietą.

Nie chciała przed sobą tego przyznać, ale nie czuła do Marsha nienawiści i wcale się go nie obawiała. Mimo że teraz tym bardziej nie przypominał dżentelmena. Rozluźniony krawat i jego swobodny strój świadczyły, że jest całkiem inny, niż znani jej mężczyźni.

Właśnie ta różnica pociągała ją w nim. Ten człowiek miał w sobie coś drapieżnego. Nawet odprężony emanował siłą i to ją w nim podniecało.

Przerażał ją, rozwścieczał i miała powody, by nim pogardzać. Mimo wszystko przyprawiał ją o dreszcze.

Jego wbity w nią wzrok nie ułatwiał jej opanowania własnych emocji. Wtedy przyszło jej do głowy, że zamierzała uciec z lordem Penleyem, kierując się uczuciami tylko w niewielkim stopniu podobnymi do obecnych i oderwała wzrok od pana MacDougala. Dobry Boże, co za straszna myśl!

Przez długą chwilę jechali w milczeniu, tylko przy słabnących odgłosach padającego deszczu. Sara starała się zdławić swe niestosowne uczucia dla tego mężczyzny - wroga jej rodziny, przypominała sobie brutalnie.

W miarę jak jego milcząca obecność napierała na nią, aura jego ledwie powstrzymanej męskiej siły sprawiała, że żołądek jej się kurczył, skóra paliła, a palce drżały, Sara powtarzała sobie, że musi zrobić wszystko, by oprzeć się jego urokowi. Przecież postanowiła dowieść rodzinie, że jest odpowiedzialną, młodą kobietą. Poddanie się męskiemu wdziękowi tego człowieka potwierdziłoby tylko niechlubną opinię Jamesa na jej temat.

Nie mogła pozwolić, by Amerykanin skrzywdził kogokolwiek z jej rodziny. To jedyny powód, dla którego utrzymywała z nim kontakty.

103

Oparła się o poduszki, odchrząknęła i przybrała swój najbardziej wyniosły ton.

- Rozumiem, że miał pan czas pomyśleć o swym dzisiejszym odkryciu.

-Moim odkryciu?- Uniósł brwi jakby w pytaniu, lecz jego oczy stały

się nieufne.

- Tak. O słowach pana MacNeila. - Zawahała się na chwilę, wzdraga
jąc się przed okrucieństwem, do którego musiała się uciec- Wiem...
wiem, że słuchanie tego musiało być nieprzyjemne. Zdaje się, że on jest
bardzo nieprzyjemnym człowiekiem. Niemniej już pan nikomu niczego
nie udowodni.

Skrzyżował ramiona.

-Nie wykluczam możliwości, że moi rodzice zawarli małżeństwo dopiero, kiedy się dowiedzieli, że moja
matka jest w ciąży. Według mnie MacNeil i jego żona - moja ciotka - opuścili moją matkę, gdy tylko się o tym
dowiedzieli. Wtedy ona zwróciła się do swego kochanka, który ją poślubił, ale potem prawdopodobnie
wystraszył się na myśl o przedstawieniu takiej prostej dziewczyny swej rodzinie. Wysłał ją aż do Ameryki,
obiecując, że do niej dołączy. Oczywiście, kłamliwy drań nigdy tego nie zrobił.

- To tylko domysły - zaprotestowała, choć w duchu przyznała mu ra
cję co do charakteru Cameron Byrde'a.

Pochylił się do przodu, z łokciami na kolanach, i zwrócił się do niej z powagą:

•Znalazłem jego listy do niej, Saro. On wiedział, gdzie ona jest, bo napisała do niego. Wiedział też o
mnie.

•Nie wątpię, że jest pan jego synem. Ale fakt, że napisał do pana matki, jeszcze o niczym nie
świadczy.

•Wysłał jej sto funtów. Wysłał jej sto funtów, a potem o nas zapomniał!

Jego głos, choć cichy, stał się gniewny. Mimo to Sara wyczuła w nim również ból i to ją najbardziej
poruszyło. Był taki szczery w swych dążeniach. Uznała, że wszystko, o czym mówił, mogło się zdarzyć.
On najwidoczniej wierzył, że tak było.

A jednak nie miał dowodu, przypomniała sobie. Z pewnością nie było sensu, by w życie siostry i matki
wprowadzać zamęt. Stłumiła w sobie wszelkie współczucie dla niego.

- Czy nigdy się pan nie zastanawiał, panie MacDougal, że jest pan
właśnie tym, czym nazwał pana pan MacNeil? - Skuliła się w środku na
własne okrutne słowa, choć wiedziała, że musiała je wypowiedzieć.

Zdawało się, że w ciszy, która nastąpiła, wewnątrz powozu zaczęło się oziębiać.

104

- Jeśli jestem bękartem - powiedział, cedząc to słowo, lodowato - to
nie z urodzenia, lecz z wyboru. Tak samo jak ty urodziłaś się damą, ale
wolałaś stać się nieczułą prostytutką.

Sara wzdrygnęła się. Zasłużyła sobie na te słowa. Lecz wiedziała, co musi zrobić, jeśli ma oprzeć się
niebezpiecznemu urokowi tego człowieka. Musi sprawić, by ją znienawidził. Zadarła nos i spojrzała na
niego.

•Sądzę, że lepiej będzie, jeśli pan opuści powóz, panie MacDougal.

•Dlaczego? Boisz się, że pożądanie między nami stopi lód, którym owinęłaś się jak peleryną?

•Niech się pan wynosi! - krzyknęła, poruszona do głębi jego uwagą. -Natychmiast!

-Nie.

Stanowczość tego jednego słowa była tak nieoczekiwana, że wstrząśnięta Sara wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

- Słucham?

Szybkim mchem rzucił się do przodu i nachylił nad nią, wiążąc jąmię-dzy swymi potężnymi ramionami.

- Powiedziałem nie, Saro. Nie będziesz mi rozkazywać jak jakiemuś lokajowi. Nie będziesz kręcić na mnie nosem, kiedy oboje wiemy, że to farsa. Nazywaj mnie bękartem, jeśli chcesz. Nie obchodzi mnie to. Ale przysięgam, że zanim ta noc się skończy, zmienisz o mnie zdanie.

Pocałował jąmocno, przyciskając jej głowę do wysokiego skórzanego siedzenia.

Całkowicie zaskoczona, Sara pchnęła go, ale na próżno. Był silny -ciałem, wolą i męskim urokiem. Zamierzał dać jej lekcję, o nim i o niej.

A ona, lekkomyślna kobieta, chciała nauczyć się wszystkiego.

13

M,

Marsh wiedział, że wykorzystuje sytuację. Lecz nie próbował się powstrzymywać. Ona chciała zaprzeczyć wszystkiemu: że Cameron Byrde był bezwzględnym łajdakiem, że Maureen MacDougal mogła być jego pierwszą żoną, że on sam mógł być prawowitym dziedzicem Byrde Manor. Lecz to nie owo zaprzeczanie wzbudziło w nim taką gwałtowną namiętność. To jej zaprzeczenie, że istnieje między nimi pociąg, roznieciło w nim najgorętsze iskry. To ta odmowa podsyciła w nim potrzebę zmuszenia jej do uznania prawdy.

105

Pod nimi powóz kołysał się ostrożnie po mokrej, zrytej koleinami drodze. Nad nimi deszcz powoli ustawał. Między nimi zaś przebiegła błyskawica, rozniecając pożar uczuć, nad którym szybko oboje stracili panowanie.

Marsh nie był pewien, czego chciał dowieść, jak mocno zamierzał na nią naciskać. Lecz gdy palce Sary zacisnęły się na przodzie jego kurtki, gdy jej wargi stały się miękkie i rozchyliły się pod jego ustami, zapomniał o wszystkim, oprócz chęci wniknięcia w nią głębiej.

Jego język smakował, próbował i sondował i za każdym wtargnięciem spotykał się z lepszym przyjęciem. Ona wydała cichy jęk, jej język spotkał się z jego i razem rozpoczęli ten godowy taniec.

Nie szukał już wyłącznie własnej przyjemności. To, czego chciał, czego potrzebował, to znów usłyszeć ten cichy jęk. Chciał sprawić, że będzie jęczała, kwiliła i krzyczała z rozkoszy.

W owej szalonej chwili, w jadącym powozie, ze stangretem i jego własnym służącym w zasięgu głosu chciał, by Sara Palmer wspinała się ku rozkoszy, aż stanie się bezwładna.

On także chciał doznać tego fizycznego zadowolenia. Lecz nie to było najważniejsze. Mimo całego jej wyrafinowania, ta arogancka snobka była nowicjuską w sztuce rozkoszy. Nie miał co do tego wątpliwości. A on był, niewątpliwie, ekspertem.

Chciał ją więc wprowadzić, a potem... potem po prostu patrzeć, gdzie się to skończy.

Nie ustawał w pocałunkach i spijał słodycz, jaką ofiarowywała. Rozkoszne usta, które miały smak miętowej herbaty, nieskazitelną skórę, która była perłowobiała i pachniała jak lilie. Przesiadł się na miejsce obok niej, przy-sunął jądo siebie i upajał sięjej kobiecym ciężarem. Pod wszystkimi pozorami uprzejmości i społecznych ograniczeń, Sara Palmer była namiętną kobietą, od dawna gotową do zakosztowania cielesnej przyjemności.

Otoczył ramieniem jej talię i mocno przyciągnął do siebie. Tak, była gotowa i on także.

Sara wsunęła się na kolana Marshalla MacDougala -właściwie wyciągnęła się na nim. Jak to się stało, ta nagła zmiana ich pozycji, ta niewiarygodna zmiana w jej nastawieniu do niego? Na litość boską, całowała go tak, jak nikogo przedtem.

Chciała tego od dawna.

Westchnęła w taki sposób, jakby się poddawała. Jego język od razu wniknął głębiej. Wziął w posiadanie jej usta tak władczo, że powinna zareagować. Ku jej przerażeniu jego język, wślizgujący się i wyslizgujący spomiędzy jej warg wypełniał nie tylko jej usta, lecz jakimś sposobem także całe ciało. Rozgrzał ją tą prostą sztuczką tak, że czuła się przepę-

106

niona. A kiedy całkiem zamknął ją w ramionach i przycisnął do siebie, uczucie to tylko spotężniało.

Po czym z niepokojem uświadomiła sobie, że jej udo zostało uwięzione między jego udami i że jej spódnice zostały zadarte niemal do koian. W końcu odrobina rozsądku przebiła się do jej zamroczonego mózgu.

•Och, nie - westchnęła, gdy jego zuchwałe, poszukujące usta zaczęły się zsuwać po jej szyi. A potem niżej, po okrągłości odsłoniętego obojczyka. - Tak... tak nie można...

•Nie broń się przede mną, Saro. Obiecuję, że będziesz zachwycona, jeśli tylko nie będziesz się opierać.

•Ale... ja muszę- mruknęła, choć już wygięła szyję, by pozwolić jego ustom przesunąć się serią niesamowitych ukąszeń po jej wrażliwym ciele. - Będzie pan... będzie pan musiał wysiąść z powozu.

Jednak on już obrócił ją twarzą do siebie, tak że właściwie usiadła okrakiem na jego twardym, muskularnym udzie. Żadna spódnica nie chroniła jej ud przed jego udami. Żadna halka ani nawet koszula. Tylko cienka wełna jego bryczesów oddzielała jej najintymniejszą kobiecość od jego męskiego ciała.

Myślała, że cała roztopi się przy nim.

Objął dłońmi jej talię i lekko odsunął ją od siebie. Po czym przyciągnął ją z powrotem.

Usłyszała swój głośny jęk. O nieba, istotnie się rozpływała.

Była przerażona i zażenowana swą reakcją, mimo to całkowicie niezdolna oprzeć się mu, gdy on powtórzył len nieznośnie podniecający ruch.

- Do diabła, ależ ty słodko smakujesz. - Wyszeptał te gorące i porywające słowa wprost do jej ucha. - Chcę cię wychłęptać.

Wychłęptać. Tak, chciała, by to właśnie zrobił. By przesunął ustami po jej ciele. Smakował ją, lizał i ssał.

Wierciła się, pragnąc rzeczy, których nie rozumiała, czując swe ciało tak, jak nigdy przedtem. Czuła się nieokiełznana i lekkomyślna.

Lekkomyślna.

Słowo to rykoszetem odbiło się w jej głowie.

Czyż w przeszłości jej lekkomyślne zachowanie nie było przyczyną wszystkich nieszczęść?

Lecz zanim zdołała cokolwiek zrobić, on jeszcze raz przesunął ją po swym udzie i uniósł jej kolano, jeszcze bardziej rozsuwając jej nogi.

Niemal zemdląca. Doprawdy, przewróciłaby się, gdyby nie przytrzymał jej ramieniem. Jeszcze raz wziął jej usta, pozwalając sobie na to, na co żaden inny mężczyzna się nie ośmielił. Napór jego języka odbijał

jak w lustrze ruch jej bioder na jego udzie. Wsuwał i wysuwał język, a ona

107

przesuwała się w przód i w tył. Ich zęby, usta i języki ocierały się o siebie, a jego twarde uda ocierały cenny ośrodek niej samej.

Nawet jego oddech, cięższy teraz i szybszy, porywał ją na niewyobrażalne wysokości. Jej słabe jęki przerażenia od dawna stały się krzykami podniecenia. Dyszała i oddawała pocałunki, płonąć uczuciami, które w niej wzniecał. Czy to się skończy? Wkrótce umrze, bo więcej nie znieśie.

Jego ręka przesunęła się po jej pończosze i podwiązce i powędrowała wyżej po jej nagim udzie. Był pod jej spódnicą, pieszcząc jej płonące ciało szeroką, stwardniałą dłońią.

Wirowało jej w głowie. Była zdyszana, oszołomiona i wiedziała, że powinna go powstrzymać. Lecz nie mogła, bo teraz pieścił ją tam, gdzie płonęła, gdzie się roztapiała.

Po czym on przesunął rękę wyżej i wsunął w nią palec.

Wtedy eksplodowała.

Wtedy wygięła się i krzyknęła. Wybuchła jeszcze raz i jeszcze, doznając uczucia, jakby resztką jej istoty rozplynęła się na nim.

Potem leżała, bezwładna i wyczerpana, zbyt zdumiona i oszołomiona, by mogła zebrać myśli. Dopiero walcząc o oddech, powoli zaczęła uświadamiać sobie obecność mężczyzny. Bolesna rzeczywistość powróciła.

Dobry Boże! Co ona zrobiła?

Widok jej samej, siedzącej na jego udzie, ze spódnicami podniesionymi do bioder, dał jej natychmiastową i upokarzającą odpowiedź.

- O, nie - sapnęła. Opierając się na drżących rękach, dźwignęła się niezgrabnie. Z zadartymi spódnicami, z rozłożonymi nogami i w objęciach tego łotra! A ona, lekkomyślna idiotka, w pełni z nim współpracowała.

Rzuciła się do tyłu i opadła ciężko na siedzenie po przeciwnej stronie, z zawiniętymi spódnicami, z odsłoniętymi udami i kolanami. Zaczęła gorączkowo strzepywać warstwy zmiętych tkanin, osłaniając nogi przed powietrzem i przed jego wzrokiem. Lecz nie pozostało jej nic innego, jak siedzieć naprzeciw Marshalla MacDougala po najbardziej namiętej chwili w jej życiu. Na nic się zdała próba doprowadzenia ubrania do porządku, skoro oboje wiedzieli, jak chemie uczestniczyła w tym, co się właśnie wydarzyło.

Lecz co się właściwie stało?

Splotła patce i spod spuszczonej powiek patrzyła pustym wzrokiem w niewielką przestrzeń między jego kolanami i swymi.

Serce nadal biło jej mocno. Słyszała jego oddech, ostry, lecz już spokojniejszy. Deszcz bił równomiernie o dach powozu, izolując go od reszty świata. A w powozie była tylko ona i Marshall MacDougal.

Zebrawszy resztki swej zszarganej dumy, zdołała podnieść na niego oczy. Jednak to, co zobaczyła na jego twarzy, kazało jej zdusić słowa

108

oskarżenia, które próbowała wypowiedzieć. Wyraz jego oczu wymazał je wszystkie z jej umysłu.

On wciąż jej poządał.

Choć nie miała żadnego doświadczenia w tak intymnych kontaktach między mężczyzną i kobietą, wiedziała, że była celem wielu uwodzicielskich męskich spojrzeń. Lecz ci mężczyźni mogli tylko na nią

patrzeć.

Ten mężczyznajej dotknął, bo ona mu pozwoliła. Co gorsza, podobała jej się każda pieszczota.

Znów odwróciła oczy, lecz zaraz utkwiała w podejrzenie ciemnej plamie na nogawce jego bryczesów, w miejscu, gdzie siedziała okrakiem.

O, Boże! Nie tylko siedziała okrakiem, ale przyciskała się i ocierała o niego! To ona zrobiła tę wilgotną plamę na jego bryczesach!

Jakby wyczuwając jej myśli, Marsh położył jedną rękę na udzie i przeciągnął kciukiem po tej okropnej, zenującej plamie.

- Tym razem nie możesz się wypierać swego pożądanja, Saro. Zdaje się, że mam dowód.

Nie chciała na niego patrzeć.

Jechali w męczącej ciszy, która zdawała się powiększać jej winę. Sara starała się skupić rozbiegane zmysły na zwykłych, monotonnych dźwiękach, które ich otaczały. Na rytmicznym skrzypieniu tylnego koła, na miarowym bębnieniu deszczu, na chwiejącej się latami, która rozkołysała nikłe cienie. Wszystko to były zwykłe, codzienne zdarzenia.

Lecz teraz wydawały się one dziwne, nierealne, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich się znalazła.

- Rozumiem, że było to dla ciebie nowe doświadczenie.

Sara odczuła jego cichy głos jak łaskotanie jej nadmiernie pobudzonych nerwów. Co, na litość boską, miała na to odpowiedzieć?

-Tak-ciągnął. - Zupełnie nowe. Czy... hm... rozumiesz, co się właściwie tutaj wydarzyło, Saro?

Z trudem przełknęła ślinę.

- Wykorzystał mnie pan -powiedziała. Lecz nie brzmiało to przekonująco. Pochylił się do przodu i Sara aż podskoczyła, lecz ich oczy w końcu się

spotkały.

- Gdybym cię wykorzystał, to jeszcze byśmy nie skończyli. Ani nie odczuwałbym nadal tego bolesnego napięcia i podniecenia.

Otworzyła szeroko oczy, gdy znaczenie tego, co powiedział, doszło do jej świadomości. Posłał jej ironiczny uśmiech.

- Widzę, że rozumiesz. Przyjmuję więc, że rozumiesz także, iż nie straciłaś dziewictwa.

Usta Sary zadrżały.

109

- Być może... być może nie. Ale z pewnością straciłam jakąś część mojej niewinności.

Na to wyznanie, zarówno wobec siebie, jak i niego, piekące łzy zaczęły jej się zbierać pod powiekami. Postanowiła jednak nie płakać, przynajmniej w jego obecności.

Wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń. Trzymał ją mocno, by Sara nie mogła jej cofnąć.

•Czy rozumiesz, co się zdarzyło, co czułaś? - zapytał jeszcze raz.

•Nie! - warknęła. -Nie chcę rozumieć. Chcę tylko, żeby pan zniknął, z tego powozu, ze Szkocji, z mojego życia. Z życia nas wszystkich!

Puścił jej rękę i oparł się o siedzenie.

Umknęła w kąt, jak najdalej od niego.

On wciąż był tutaj blisko, zbyt męski i zbyt pociągający, by mogła go znieść. Lecz nie mogła oderwać od niego oczu i nie mogła przestać się go bać! Nie wiadomo, co on może zrobić, teraz, kiedy wie, jak na nią działa. Wystarczy tylko spojrzeć na tę okropną wilgotną plamę, którą zrobiła na jego udzie, by się dowiedzieć, jaką ma nad nią władzę.

Usiadł w kącie i przyglądał jej się badawczo ciemnymi oczami.

-Właśnie poczułaś to, co Francuzi nazywają *le petit morte*. "Małąśmierć".

Le petit morte. Przeczytała o tym w jednej z książek. Matka byłaby przerażona, gdyby się dowiedziała, że Sara je poznała, a tym bardziej doświadczyła!

W tej chwili nie mogła się nad tym zastanawiać. Postąpiła lekkomyślnie i nie pozostało jej nic, jak udawać, że nic się nie stało. Spojrzała na niego nienawistnie.

•Więc jest pan szczęśliwy? Osiągnął pan swój cel. Kącik jego ust uniósł się w półuśmiechu.

•Ty go osiągnęłaś. Niestety, ja nie zapadłem w "małą śmierć". Sara, już zdenerwowana, krzyknęła.

-A dlaczego nie?!

- Sam zadaję sobie to pytanie. - Jego uśmiech znikł i coś gorącego i niebezpiecznego błysnęło mu w oczach. Rękę na udzie zacisnął w pięść. - Zechciałabyś pomóc mi ją osiągnąć?

Nie! Sara nie wypowiedziała głośno tego słowa, jednak jej przerażona mina musiała ją zdradzić, gdyż Marsh prychnął nieelegancko.

-Nie, nie myślałem, że zechcesz, przynajmniej nie dzisiaj. Ale może pewnego dnia. -Poruszył się na siedzeniu. —Pewnego dnia, wkrótce -dodał szeptem. Po czym skrzyżował ramiona, odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy.

Czy spał? Nie miało to wielkiego znaczenia, gdyż jego ostatnie słowa odbijały się echem w głowie Sary. "Pewnego dnia, wkrótce".

Przenigdy, powiedziała sobie i przez następną godzinę milcząco powtarzała tę przysięgę. Przenigdy. Przenigdy. Nigdy, nigdy, nigdy, nigdy. Zanim skręcili w podjazd do Byrde Manor, słowa te brzmiały jak niespokojna, rozpaczliwa modlitwa. Nigdy mu nie ulegnę, nigdy go nie zobaczę, nigdy o tym nie pomyślę.

Lecz Sara wiedziała, że przynajmniej ostatnia część modlitwy nie zostanie wysłuchana. Nigdy nie zapomni tej nocy i nie była pewna, czy chce zapomnieć. Coś w niej chciało powrócić do każdej z tych krótkich, lecz gorących chwil. Coś w niej chciało je zrozumieć, podzielić i zbadać po kawałku.

Wysiadła z powozu innymi drzwiami niż on i pospiesznie ruszyła przez zabłocone podwórze do kuchennych drzwi. Obawiała się, że nigdy nie zrozumie w pełni swej gwałtownej reakcji na niego. Upłynęła zaledwie godzina, a ona już poznała tę przewrotną prawdę.

Znów chciała to poczuć.

Chciała poczuć ten wybuch wewnątrz siebie, tę przerażającą uległość. Chciała tego i całej reszty -

cokolwiek to było.

Z ust wyrwał jej się słaby jęk przerażenia. Och, co z niej za wstrętna, rozpustna dziewczka.

Pragnęła Marshalla MacDougala, człowieka, który chciał zniszczyć życie jej ukochanej siostry i matki. Nie wolno jej go pożądać. Nie wolno.

A jednak go pragnęła. Niewymownie.

Choć pospiesznie oddalała się od niego, nie spoglądając w jego stronę, obraz Marsha wciąż ją prześladował.

A gdy Marsh, wracając do swego pustego pokoju Pod Kogutem i Łukiem jechał przez mokrą ciemność, jego także prześladował obraz Sary Palmer. Jej twarz, zarumieniona i piękna, gdy znalazła ulgę, jej bezradne krzyki, brzmiące w jego uszach jak erotyczna muzyka.

Do diabła! Dzisiaj zaczął coś, czego, jak się teraz obawiał, pożałuje. Jęknął, gdy jego sztywna męskość naparła boleśnie na bezlitośnie sztywne siodło.

Do diabła, już żałował.

Jesteś chora? - Adrian uważnie przyglądał się Sarze. Za nim twarz pani Hamilton zmarszczyła się ze zmartwienia. Ze względu na poranną wizytę Adriana nie miały jeszcze okazji porozmawiać o wczorajszej podróży Sary.

111

- To cudowny dzień na przejażdżkę - ciągnął chłopiec przymilnym tonem. - Co innego masz co roboty?

Sara skrzywiła się, bo w głowie jej pulsowało i obecność Adriana tylko pogarszała jej stan. Ostatniej nocy mało spała; teraz spadły na nią humory Adriana i niepokój pani Hamilton. Czy stara służąca rozmawiała już z woźnicą o obecności pana MacDougala w jej powozie? Gdyby tak się stało, pani Hamilton zasypałaby ją niekończącymi się pytaniami.

Kuchenny kot zeskoczył z kolan Sary i leniwie podszedł do chłopca. Sara westchnęła.

- Chyba źle się czuję - powiedziała umyślnie słabym głosem.
- Wiedziałam - powiedziała pani Hamilton. - Zmokłaś zeszłej nocy, prawda? A teraz się rozchorowałaś. - Pokręciła głową. — Mam nadzieję, że nie złoży cię febra,
- To nie febra, tylko ból głowy.
- Tak to się zaczyna. Chodź. Lepiej wypij herbatę i wracaj do łóżka. Nie powinnam ci pozwolić włóczyć się po wsiach...

Urwała, lecz było już za późno. Adrian oderwał wzrok od kota, którego głaskał.

- Włóczyć się gdzie?
- Nigdzie - powiedziała Sara, tym razem zbyt wesoło. - Pojechałam na wieczorną przejażdżkę i... i złapał mnie deszcz.

Ostatnie słowa wzmożyły zainteresowanie chłopca.

- Zaczęło padać strasznie późno. Za późno na wieczorną przejażdżkę. Pani Hamilton zerknęła na Sarę, zanim natarła na Adriana.

- To nie twoja sprawa, paniczku Hawke, dlaczego ona źle się czuje. Idź sobie. Zostaw moją Sarę w spokoju, żeby mogła dojść do siebie. Jeśli

szukasz towarzystwa, idź do pana Hamiltona. Zaraz znajdzie ci pracę.

Dopiero gdy Adrian wyszedł, pani Hamilton zwróciła się do Sary:

- A teraz masz mi opowiedzieć, co się dzieje, dziecko! Ze względu na rodzinę zgadzam się ci pomagać. Ale nie dam się dłużej oszukiwać. A teraz mów, inaczej jeszcze dzisiaj napiszę do twojej mamy, siostry i do brata.

Sara opowiedziała jej więc wszystko, z wyjątkiem jednej rzeczy, o której nie mogła nikomu powiedzieć. Nigdy.

- Cóż- pani Hamilton dłuższą chwilę krzątała się wokół herbaty. - Cóż, chociaż nie podoba mi się, że on jechał z tobą w zamkniętym powozie, to sądzę, że w tych okolicznościach nie miałaś innego wyjścia. Ostatecznie, wiemy teraz, że on nie jest dziedzicem Camerona Byrde'a. - Potrząsnęła głową. - Ulżyło mi, dziecko. Aż strach pomyśleć, jak by to dotknęło twoją matkę. - Dopija herbatę. - Czy sądzisz, że on nas teraz zostawi w spokoju?

112

Nie.

- Mam nadzieję - powiedziała głośno Sara. Wiedziała jednak, że on jeszcze z nimi nie skończył.

Przez resztę poranka nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Nie miała ochoty ani na przejażdżkę konną, spacer, ani na siedzenie i sycie. Czytanie wymagało zbyt wielkiego skupienia, i nie było nikogo, kogo by miała ochotę odwiedzić. To znaczy, nikogo oprócz jednej osoby, której miała nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć.

Rzuciła stary egzemplarz "The Ladies' Gazetteer and Pattern Book", który wzięła z pokoju porannego, po czym jeszcze raz bez celu okrążyła salon. Gdyby tylko jej siostra była tutaj. Olivia zrozumiałaby ten wybuch namiętności między Sarą a nieznośnym Marshalllem MacDougalem. Nie pochwaliby zachowania młodszej siostry, lecz Sara pamiętała burzliwe zaloty Nevil-le'a do Olivii, by wiedzieć, że Olivia zrozumiałaby jej położenie.

Tylko że nie mogłaby niczego powiedzieć Olivii o Marshallu MacDougalu i jego obecności w Szkocji. Przynajmniej dopóki on nie wyjedzie.

Odsunęła na bok koronkową firankę w jednym z okien salonu i zapatrzyła się na widok za nim. Zielone łąki, drzewa w pąkach; życie w Byrde Manor miało w sobie stateczny rytm występujących po sobie pór roku i zadań, jakie należało w związku z tym wykonać. Zupełnie inaczej niż w mieście, gdzie życie obracało się wokół innych spraw. Polityka, przyjęcia, ludzie. Tamto życie sprowadzało na nią kłopoty, więc kazano jej spakować walizki i wysłano tam, gdzie nie mogłaby zrobić czegoś nierozsądnego.

Niemniej zrobiła.

Pozwoliła opaść koronkowej firance. Co się z nią dzieje? Czy kłopoty podążały za nią, czy też ona je stwarzała, gdziekolwiek się pojawiła? Czy całe jej życie miało być takie?

Końcami palców potarła bolące skronie. Ostatniej nocy wszystko się zmieniło. Pozwoliła sobie na zbyt wiele z mężczyzną, którego nigdy więcej nie zobaczy. Żałowała, że ten Amerykanin stał się najważniejszą osobą w jej życiu, bo jak sobie teraz poradzi bez niego?

Marsh spędził całą noc na odtwarzaniu w myślach tych kilku niewiarygodnych minut z Sarą. Ani bolesna jazda z Byrde Manor do Kelso, ani zimna kąpiel, którą wzięł, nie ochłodziły ognia, który w nim płonął. Nawet poszukiwanie ulgi w samotności własnego łóżka niewiele zdziało.

Chciał jej - Sary Palmer- nagiej obok siebie. Dopóki to się nie spełni, jego cierpienie nie zelżeje.

Lecz było mało prawdopodobne, by jeszcze miał taką szansę. Po spotkaniu z rodziną matki, po tym, co się wydarzyło między nimi w powozie, ona ma o nim najgorsze zdanie.

Nie będzie mógł już liczyć na sprzyjający zbieg okoliczności, dzięki którym rzuca się sobie w ramiona.

Siedział teraz w sali Pod Kogutem i Lukiem, nad posiłkiem, którego ledwie spróbował. Naprzeciw niego siedział Duff, który z wielkim apetytem zjadał każdy kąsek ze swego talerza.

- No więc? Dokąd dzisiaj? - powiedział służący, ocierając rękawem usta. - A może ma pan dosyć włóczenia się po szkockiej wsi?

Marsh chmurnie spojrzał na swój kufel. Rzeczywiście, dokąd?

•Może myśli pan o tym, żeby złożyć wizytę damie swego serca? - nalegał Duff. W jego oczach pojawił się porozumiewawczy błysk.

•Nie - mruknął Marsh przez zaciśnięte zęby. Jednak, mimo iż zaprzeczył, właśnie to chciał zrobić. Lecz było za wcześnie, by jej szukać.

Nie powinien wykorzystać jej w ten sposób i wiedział, że długo potrwa, zanim ona dojdzie do siebie. Jednak nie cofnąłby tych kilku chwil, nawet gdyby mógł. Wciąż chciał wiedzieć, jak ona się miewa i co myśli o tym, co zdarzyło się między nimi. Lecz jeszcze nie teraz.

Podniósł wzrok na uśmiechniętego służącego.

-Możesz zetrzeć z twarzy ten bezczelny wyraz. Przygotuj powóz. Myślę o dość długiej podróży.

- Długiej podróży? Dokąd? - zapytał Duff. - A ja właśnie znalazłem w Kelso miłość mojego życia.

Miłość jego życia? To musi być Estelle, matka tego chłopca.

•Nie martw się, wrócimy - mruknął Marsh.

•To dobrze. Bo nie chcę, żeby strzelała oczami, kiedy nas tu nie będzie. No to dokąd, wielmożny panie?

•Ogarnęło mnie nagłe pragnienie zobaczenia atlantyckiego wybrzeża Szkocji - odpowiedział Marsh powoli. Matka wspomniała kiedyś, że wypłynęła do Ameryki z portowego miasta Dumfries. Cameron Byrde mógł ją poślubić w miejscu, o którym nie słyszał MacNeil. Na przykład w jednym z atlantyckich miast portowych lub miasteczek, gdzie nikt by ich nie poznał. Marsh nie znalazł żadnego dowodu na zawarcie małżeństwa tutaj, lecz może znajdzie tam.

Poza tym, przez kilka dni nie widziałby Sary. Może do tego czasu ochłonie i będzie mógł jasno myśleć o tym, co działo się między nim i Sarą

Palmer. O czymś, co nie miało nic wspólnego z Cameronem Byrde'em czy Olivia Byrde Hawke.

W lepszym nastroju osiodłał konia. Sara Palmer mogła uważać jego sprawę za zamkniętą, lecz on tak nie uważał. Nie zrezygnował z poszukiwań, nadal chciał prawa do majątku ojca. Lecz teraz chciał jeszcze Sary Palmer.

A po ostatniej nocy przekonał się, że może mieć jedno i drugie.

Krzątanie się pani Hamilton w końcu wypędziło Sarę na dwór. Powietrze było czyste i rześkie, a słońce wysuszyło większość kałuż. Ubrana w zwykłą suknię i parę chodaków, Sara zaczęła przechadzać się po ogrodzie. Róże wzdłuż ogrodzenia należało na nowo przywiązać, a krzewom rozmarynu powinno się urwać czubki, tak by rośliny nie rosły zbyt wysoko. Poza tym jakieś dzikie stworzenie podkopało się pod płotem, który oddzielał pastwisko dla owiec od ogrodowych grządek, i zniszczyło bratki.

Na nieszczęście, praca ogrodnicza nie odciągnęła jej myśli od ostatniej nocy. Wczesnym popołudniem Sara doprowadziła się do stanu najwyższego zdenerwowania. Zeszłej nocy zachowała się jak ladacznica, jednak na samo wspomnienie tego przebiegał ją dreszcz. Jej ciało reagowało tęsknotą za każdym razem, gdy przypominała sobie, co z nim robiła.

Umysł walczył z tym wspomnieniem, lecz ciało wygrało.

To dlatego rodzice tak pilnie strzegli córek i chcieli szybko wydać je za mąż, pomyślała, W małżeństwie fizyczną tęsknotę można zaspokoić.

Niemniej ignorowanie tej sytuacji nie było dobrym rozwiązaniem. Może powinna pojechać do Kelso i dowiedzieć się, czy on wyjechał. Bo jeśli tak, to nie ma się czym martwić.

Do miasta wzięła dwukólkę, by zaprezentować się jak prawdziwa dama. Najpierw zajechała do piekarni, kupić bułki z cukrem dla pani Hamilton. Na nieszczęście, gadatliwa matka piekarza siedziała w oknie, obserwując każdy ruch Sary. Przypomniawszy sobie ich poprzednie spotkanie, Sara tylko skinęła jej głową, po czym przekazała piekarzowi zamówienie.

Pospiesz się. Pospiesz się. Zaczęła nerwowo tupać stopą.

Lecz piekarz był powolny, a jego matka wścibska.

- To tak szybko go przepędziłaś? Taki chłop jak on potrzebuje odpowiedniej kobiety. - Bystre, ptasie oczy skupiły się na Sarze. - Daj jej dodatkową bułkę, synu. Myślę, że musi mieć więcej ciała na kościach, jeśli ma zatrzymać następnego młodzieńca, jaki się tutaj pojawi.

115

- Matko! - jęknął biedny piekarz, posyłając Sarze przepaszające spojrzenie. Lecz posłusznie dołożył bułkę, tak jak nakazała mu matka.

Sara ignorowała szczerze uwagi starej kobiety - wszystkie z wyjątkiem jednej. Udając brak zainteresowania, zwróciła się do kobiety.

•A więc wyjechał, czy tak? Co za ulga.

•Pewnie, wyjechał. Ale nie udawaj, że to cię nic nie obchodzi, dziewczusko. Ja wiem lepiej. Widzę to.

Piekarz przysunął do Sary jej zakupy.

- Dopiszę to do pani rachunku - powiedział z błagalnym wyrazem na okrągłej twarzy, gestem wskazując drzwi. Nie mógł się doczekać, by wyszła.

Sara także chciała uciec, lecz pragnęła też dowiedzieć się więcej o odjeździe MacDougala, poznać każdy szczegół i by to osiągnąć, postanowiła znieść krępujące opinie starej plotkarki.

Odchrząknęła i spojrzała na kobietę, która siedziała w wysokim fotelu, z wyrazem wyczekiwania na pomarszczonej twarzy.

- Ma pani słuszność. Obchodzi mnie, czy wyjechał. Ale nie z powodu, jaki ma pani na myśli. Pan MacDougal nie jest mężczyzną, jakiego zaakceptowałaby moja matka. Nie chciałam zranić jego uczuć zdecydowanym odtrąceniem, więc rozumiem pani, że jego nieobecność uwalnia mnie

od tej konieczności.

Kobieta poprawiła czarny dziergany szal na chudych ramionach.

- Wolałabym, żebyś to raczej ty go dostała niż ta Estelle - burknęła. - Ale co ma być, to będzie. A czego nie ma być, nie będzie. Przynies mi filiżankę świeżej herbaty! - zawołała do syna.

Sara stała przez chwilę, zdając sobie sprawę, że została odprawiona. Lecz napomknienie o Estelle zaniepokoiło ją. Z pewnością nie uciekł od niej do Estelle. Nie zrobiłby jej tego!

Z drugiej strony, dlaczego nie?

Skinęła głową zakłopotanemu piekarzowi i opuściła jego pachnący sklepik. Marshalla MacDougala nie ma, powiedziała sobie. Bądź z tego zadowolona i nie martw się o resztę.

Lecz było to okropnie trudne, bo poczuła ukłucie zazdrości w sercu. Skupiona na tym, nie usłyszała za sobą krzyku pani Liston.

- Panno Palmer! Och, panno Palmer!

Sara zatrzymała się i rozejrzała wokół. Jeszcze jedna plotkarka, z którą trzeba się uporać. Niemniej, może ona ma lepsze wiadomości niż matka piekarza.

-Jakże się pani miewa, moja droga? Jak się pani miewa? -wy buchnęła potokiem słów pani Liston. - Miałam zamiar panią odwiedzić. Ale

116

przy wszystkich obowiązkach pana Listona i moich... Cóż, jak może sobie pani wyobrazić, byłam niezwykle zajęta.

- Jestem tego pewna - zgodziła się Sara. - Jak się pani miewa? A pan Liston?

Sara odcierpiała kwadrans narzekań, ostrzeżeń i nudnych plotek. Zastanawiała się nad drogą ucieczki, żałując, że zachęciła panią Liston do rozmowy, gdy ta w końcu zeszła na temat, który ją interesował, lecz którego nie śmiała podjąć sama.

- ... i pożegnałam tego Amerykanina. Pani go zna. Tego przystojnego pana MacDougala.

•O, tak - przytaknęła Sara. Przełożyła paczkę na drugie ramie. - Opuścił Kelso?

•Cóż. Sporo się kręcił. Niezwykle ciekawe były te jego przyjazdy i wyjazdy. Ostatniej nocy przyjechał do miasta bardzo późno, a potem znów wyjechał, zaraz po południu.

- Naprawdę? Wiadomo, czy nie wróci dziś wieczorem? Albo jutro? Pani Liston tak mocno pokręciła głową, że jej ciężkie loki zatrzepotały

wokół szczupłych policzków.

- Tym razem zabrał cały swój bagaż i chociaż, jak słyszałam, ma opłacać miesiąc, powiedział, że może już nie wrócić. Dowiedziałam się tego od samej pani Halbrecht. Pojechał do Dumfries, powiedziała. To całkiem długa podróż; może ma zamiar odpłynąć stamtąd do Ameryki?

Dumfries. Sara musiała chwilę pomyśleć, by umiejscowić to miasto na mapie Szkocji. Było daleko na zachodzie, na wybrzeżu atlantyckim.

Sara uciekła od pani Liston tak szybko, jak się dało, rozmyślając nad tą dziwną wiadomością. Próbowwała

zignorować uczucie pustki na myśl o tym, że on wyjechał na zawsze.

Po wysłuchaniu paskudnych oskarżeń MacNeila, pan MacDougal musiał zrezygnować ze swych poszukiwań i wraca do Ameryki. Bo po cóż innego miałyby jechać do Dumfries? Ostatecznie to miasto portowe, statki muszą przyplływać tam i odpływać do Ameryki dość często.

Czy tak samo przyplływały i odpływały trzydzieści lat temu?

Trzydzieści lat temu. Ta myśl zatrzymała Sarę przed sklepem kaletniczym. Czy przed laty jego matka odpłynęła do Ameryki z Dumfries? Skądś musiała odpłynąć i najpewniej to Cameron Byrde zapłacił za ten rejs.

Czy mógłbym też poślubić?

Sarze zabiło mocniej serce.

Było to bardzo możliwe. Cameron Byrde mógł się do tego posunąć. W tajemnicy poślubić ciężarną kochankę, a potem wysłać ją na drugi koniec świata z obietnicą, że później do niej dołączy.

117

Ścisnęła w ramionach papierową paczkę. Choć scenariusz, jaki sobie wyobrażała, przerażał ją, niemniej był możliwy. A to oznaczało, że musi pojechać za panem MacDougalem do Dumfries. Po prostu nie mogła dopuścić, by znalazł akt małżeństwa, o którego brak się modliła.

15

Pan Hamilton zagroził, że na taką podróż nie da ani koni, ani powozu,

•Co takiego jest do oglądania w Dumfries? - chciał się dowiedzieć stary człowiek. - Jeśli chcesz mieć morskie widoki, to nie Dumfries, lecz Mary port jest właściwym miejscem. Czego brak Morzu Północnemu?

•Widziałam już Morze Północne - mruknęła Sara, rzucając pani Hamilton błagalne spojrzenie.

Panią Hamilton targwały sprzeczne uczucia. Sara nie chciała, by ktoś znał prawdziwy powód jej nagłej podróży na zachód. Lecz ochmistrzyni się martwiła. Między Sarą a tym mężczyzną coś się działo. Coś więcej niż tylko bitwa o jego pretensje do majątku Olivii. To wystarczający powód, by zabronić Sarze tej wyprawy.

Lecz może istnieje powód, by ją puścić. Sara powinna wyjść za mąż. Była dobrą dziewczyną, lecz impulsywną i lekkomyślną i napraszała się o kłopoty. A jeśli znajdzie się z tym amerykańskim dżentelmenem w kompromitującym położeniu? Zdaje się, że niewiele brakowało poprzednio, w Londynie. Pani Hamilton nie wiedziała, dlaczego James zapobiegł ich małżeństwu, ale lepiej, żeby Sara była zamężna.

Lecz Jamesa tutaj nie było. A wygląda na to, że Sara się uparła.

Pani Hamilton opadła na krzesło.

- Może wyprawa do Dumfries dobrze ci zrobi, dziecko.

-Zwariowałaś? - przerwał jej pan Hamilton. -Nie powinna tam jechać.

-Cicho, staruchu. Poradzi sobie. Wyślę z nią pokojówkę i dodatkowe go lokaja. Co na to powiesz, Saro?

- Tak. Dziękuję- odparła Sara, uśmiechając się z wdzięcznością.—
Dziękuję. - Wybiegła się pakować. Pan Hamilton, mrukliwie wyrażając zgodę, wyszedł na zewnątrz.

Pan i Hamilton pozostała na swym ulubionym kuchennym krześle, bębniąc palcami po dębowym stole. Rozmyślała.

Jeśli Sara ma się skompromitować, lepiej żeby stało się to tutaj niż w Londynie. Pan MacDougal jeszcze nie wyjechał do Ameryki; czuła to.

118

Niech ją skompromituje -jeśli jeszcze tego nie zrobił zeszłej nocy w powozie. Gdy raz zostaną nakryci, będą zmuszeni wziąć ślub, a jak już zostaną połączeni, jego groźba wobec Olivii i Augusty straci na sile.

Pani Hamilton uśmiechnęła się do siebie i pochyliła, by rozetrzeć bolące kolano. Sara może przeprowadzać jeden plan, a jednocześnie drugi. Och, czegoś tak emocjonującego nie przeżywała od wielu lat.

Następnego ranka Sara i trzy osoby towarzyszące zaprzęgiem czterech koni szybko posuwali się drogą, zmierzając na zachód. Tym razem, gdyby któreś ze zwierząt okułało, Sara nie ryzykowała. Normalnie podróż z Kelso do Dumfries trwałaby dwa dni. Lecz czuła się w obowiązku zatrzymać się przed każdym kościołem, którego wieże pokazały się na horyzoncie. Zabrała ze sobą wystarczająco dużo pieniędzy, by złożyć znaczną ofiarę i zapewnić sobie informacje w każdym kościele, do którego zajędzie.

Na szczęście w każdym z nich odpowiedź zawsze była taka sama. W księgach parafialnych nie figurował żaden Cameron Byrde ani Maureen MacDougal;

Choć Sara przyjmowała to z ulgą, nie czuła się uspokojona. Jej rodzina nie była bezpieczna dopóki Marshall MacDougal wciąż przebywał w Szkocji. Musi stale uważać i nie tracić czujności.

Choć niepokoiło ją, że Marshall MacDougal także zatrzymał się w każdym z tych kościołów, cieszyła się, że go nie spotkała. Zamierzała za wszelką cenę unikać tego człowieka.

Sara wzdygnęła się na wspomnienie grzesznych rzeczy, jakie ostatnio zaczęły jej się śnić. Przywoływanie jego pocałunków rozpałało jej skórę. A przypominanie sobie, jak on ją dotknął i podniecił...

Powracanie we wspomnieniach do owych niewiarygodnych kilku minut sprawiało, że zaczynała drżeć i znów robiła się cała mokra. Bez względu na to, jak bardzo starała się wyrzucić je z myśli, coś w niej tęskniło za Marshalllem MacDougalem. Tęsknota z każdym dniem się powiększała.

Naprzeciw niej Mary, pokojówka, którą pani Hamilton kazała jej zabrać ze sobą, ziewnęła i poruszyła się we śnie.

Jak dotąd młoda kobieta nie zadawała zbyt wielu pytań. Dobrze, że Sara zasugerowała ładną, samotną Mary, a także przystojnego, samotnego stajennego, Fleminga. Tych dwoje szybko przeszło od ciekawych i pełnych podziwu spojrzeń do jawnego flirtu. Tak jak się Sara spodziewała, oboje byli zaprzętnięci sobą, podczas gdy ona zajmowała się swymi sekretnymi sprawami w każdym kościele po drodze.

Lecz teraz, gdy zbliżali się do przedmieść ruchliwego portu w Dumfries, Sara nie była pewna swego planu. A jeśli napotka pana MacDougala?

119

Ostatecznie, Dumfries nie jest takie duże, a on będzie zadawał te same pytania w tych samych miejscach, co ona.

•Och - jęknęła Mary, znów ziewnęła, wyprostowała się i wysunęła głowę przez okno. - Czy już dojechaliśmy?

•Tak - odpowiedziała Sara. - Ale nie pozostaniemy długo. Dzień lub dwa i wyruszymy w drogę powrotną.

Gdy dziewczyna znów wyjrzała, wyciągając szyję i jawnie starając się dostrzec Fleminga, Sara poczuła się winna. Choć dla swej wygody sprzyjała romansowaniu tych dwojga, nie chciała, by Mary zrobiła coś, czego nie powinna. Na własnej skórze poznała niebezpieczeństwa takiego lekkomyślnego zachowania. Dziewczyna pracuje dla niej i pozostaje pod jej opieką.

- Maiy. Myślę, że powinnaś wykazywać trochę rezerwy, jeśli chodzi o Fleminga. Nie ulegaj zbyt łatwo jego urokowi.

Dziewczyna usiadła wygodnie na siedzeniu, w skromnej pozie, stosownej dla pokojówki damy. Lecz jej brązowe oczy błysnęły szelmowsko.

- Proszę się nie martwić. Potrafię się pilnować przy takich jak on, pan no Saro. Lepiej niech pani ostrzeże jego, że Mary Douglass może złamać mu serce.

Sara powściągnęła uśmiech.

- Taka jesteś pewna siebie?

Mary skrzyżowała ramiona i otwarcie spojrzała na Sarę.

- Wiem, że stoi pani o wiele wyżej ode mnie, panienko. Ale pewne rzeczy się nie zmieniają, nieważne, czy się jest osobą z wyższych sfer, czy służącą. Mężczyzna jest mężczyzną. Oni wszyscy chcą tego samego i nie sądzę, bym musiała pani mówić, co to takiego. Jednocześnie kobieta jest kobietą. My kobiety najbardziej chcemy tego, co możemy kupić tylko wtedy, kiedy dobrze wydamy swoją fortunę-jeśli pani rozumie, o co mi chodzi.

Sara rozumiała. Podczas gdy dziewczyna trajkotała dalej, a powóz się toczył, Sara głęboko zastanawiała się nad tym, co powiedziała Mary. A gdy zatrzymali się w wygodnej gospodzie i Sara usiadła do ciepłego posiłku, musiała zadać sobie pytanie, czy już roztrwonila wielką część swego skarbu na nieodpowiedniego mężczyznę - i czy, gdyby znów się pojawił, rzuciłaby mu w ręce resztę żałośnie okrojonej fortuny.

120

Marsh był w podłym nastroju, odkąd opuścił Kelso. Podczas długiej podróży na wybrzeże spotykał za każdym razem rozczarowanie w poszukiwaniu aktu małżeństwa swoich rodziców. Czuł, jak narasta w nim frustracja. Na dodatek czuł to nieznośne uczucie fizycznego napięcia w łędźwiach.

Stał teraz na głównej ulicy Dumfries, przed kawiarnią bardzo podobną do londyńskich, i rozglądał się wokół. Obok przechodziły dwie kobiety, a za nimi szły ich pokojówki. Kobiety, młode i urodziwe, zapewne zamożne matrony, ubrane były według mód z Londynu i Paryża, lecz rude włosy i błyszczące brązowe oczy świadczyły o ich szkockim pochodzeniu. Jedna z nich zerknęła na niego, odwróciła wzrok, po czym znów zerknęła, uśmiechając się do niego. Marsh odprowadzał je wzrokiem, podziwiając pełne biusty i kołyszące się biodra, które uwydatniały ich dopasowane suknie.

Dlaczego nie pożałował czarującej Szkotki, takiej jak któraś z tych kobiet, zamiast trudnej, nadętej Angielki, takiej jak Sara Palmer?

Z ociąganiem oderwał wzrok od dwóch kobiet i uderzył rękawiczkami do konnej jazdy w otwartą dłoń. Prawda, Sara Palmer była może trudna, lecz musiał przyznać, że wcale nie była nadęta, przynajmniej gdy się ją dobrze poznało.

Znów trzepnął rękawiczkami, po czym zmarszczył brwi i przeszedł przez ulicę. Był dzisiaj w trzech kościołach i tyle samo musiał jeszcze odwiedzić. Ogarniało go coraz większe zniechęcenie. Czy to możliwe, że matka wymyśliła historię o ślubie, tak jak wymyśliła opowieść o śmierci ojca?

Kto mógłby mieć to jej za złe? Czy jakaś uczciwa osoba mogła winić ją o to, że chciała zapewnić przeżycie sobie i swemu małemu dziecku?

Udręczony, pociągnął za dzwonek przy drzwiach ładnej rezydencji i przy okazałym kościele św. Andrzeja. Marsh nie sądził, by taki łajdak jak Cameron Byrde przyprowadził swą kochankę do tak wspaniałego kościoła jak ten. Ale trzydzieści lat temu mógł nie być tak okazały.

Godzinę później, znów przygnębiony, wyszedł na ulicę. Zostały mu tylko dwa kościoły. Oczywiście, były inne miasta portowe, gdzie mógł spróbować. Lecz uczucie porażki towarzyszyło mu w dalszych poszukiwaniach.

Pół godziny później trafił do kościoła św. Jeremiasza. Mały, zniszczony budynek z poczernionymi mchem, kamiennymi ścianami, z wybrzuszonym dachem, z wyszczerbionymi i obluzowanymi płytkami łupkowymi prezentował się bardzo skromnie.

Marsh spróbował wyobrazić sobie ten kościół trzydzieści lat temu. Co mogła o nim myśleć prosta wiejska dziewczyna, której świat obracał się wokół Camerona Byrde'a? Nie zasługiwał na jej miłość ani na miłość swej drugiej żony i kolejnego dziecka.

121

Był zmęczony i niezadowolony, więc gdy siwiejący pastor sam otworzył drzwi probostwa, Marsh był mniej uprzejmy, niż powinien.

- Chciałbym zbadać parafialne rejestry ślubów - powiedział bez wstępow. - Chętnie zapłacę za ten przywilej.

Stary pastor zamrugnął, zaskoczony.

-Ja... och... właśnie siadałem do filiżanki herbaty, Ale... och... proszę wejść. Proszę wejść. - Cofnął się i gestem zaprosił Marsha do schludnego saloniku. - Przyłączy się pan do mnie, panie... panie...?

Marsh ściągnął czapkę, zawstydzony swym zachowaniem.

- MacDougal. Marshall MacDougal. I dziękuję za zaproszenie - do dał, zerkając wokół. Żadnego ognia w kominku. Jedna filiżanka na małej tacy, z jednym biszkoptem obok niej. - Dziękuję, ale już i tak przeszko dziłem panu w herbacie. Nie chciałbym przeszkadzać jeszcze bardziej.

Przynajmniej jego pieniądze przydałyby się tutaj bardziej niż w poprzednich parafiach.

- Och, ależ nie przeszkadzasz, mój synu. Naprawdę cieszę się z twoim rzystwa. Jestem ojciec Paterson - dodał. -1 służyć u Świętego Jeremiasza od wielu lat. A teraz, wpisu czyjego ślubu poszukujesz?

Małe biuro o niskim suficie było zawałone księgami i artefaktami. Ojciec Paterson zapalił lampę i odkurzył najpierw jedną, potem drugą półkę, aż w końcu wyciągnął stary, oprawiony w grube płótno tom. Ledwie czytelne litery na grzbiecie mówiły: 1754 do 1805.

Marsh wpatrywał się w księgę, chwiejącą się w drżących rękach starego pastora i przez długą chwilę nie mógł po nią sięgnąć. Chwycił go nagły strach przed prawdą i chociaż wiedział, że w innych portach były do przeszukania inne kościoły, bał się tego, czego mógł się dowiedzieć z tej książki. Przemógł się jednak, wziął księgę i położył ją na zagraconym stole, koło lampy.

Wpisy były bardzo staranne, w długich rzędach, z nazwiskami, wiekiem, miejscami urodzenia i aktualnymi miejscami zamieszkania. Marsh podniósł wzrok na starego człowieka.

- Od jak dawna pan jest tutaj?

Chudy pastor uśmiechnął się i wskazał na otwartą stronę, gdzie czyste proste pismo ustępowało miejsca pochyłemu, pełnemu zawijasów.

- O, tutaj. Kwiecień 1793. Już prawie trzydzieści pięć lat, choć ostatnio mamy mniej ślubów niż kiedyś. Rozumie pan, moja trzódka w wiek szości przekroczyła wiek, w którym zawiera się małżeństwa i...

Marsh nie słyszał pozostałych słów pastora. Nie mógł usłyszeć, gdyż nagłe, ciężkie bicie serca, a potem

szum krwi w uszach zagłuszały każdy inny dźwięk. Wpatrywał się w starannie zapisane nazwiska, w trzeciej linii od góry.

122

Cameron Byrde, lat 22, z Kelso i Maureen MacDougal, lat 20, urodzona w fzyemonth, obecnie zamieszkała w Kelso, 15 września 1796 rok.

Data była już niewyraźna i Marsh musiał bardziej wyteńczyć wzrok.

Piętnastego września 1796 roku. Sześć miesięcy przed jego urodzeniem.

Podniósł wzrok z uczuciem ucisku w piersi. Jego matka stała tutaj, prawdopodobnie w tym samym pokoju, tak jak on teraz. Stała tutaj obok Camerona Byrde'a i oboje wiedzieli o dziecku, które poczęli. Stała tutaj i przysięgała mężczyźnie, którego kochała, mężczyźnie, który złożył ślub, nie mając zamiaru go dotrzymać.

Jak długo trwało, zanim wysłałaśamądo Ameryki?

Ile kłamstw jej powiedział, by ją przekonać, by wyjechała do Ameryki bez niego?

Marsh podniósł wzrok na pastora, który spoglądał na niego z uśmiechem na pomarszczonej twarzy.

•Czy znalazł pan to, czego szukał? Marsh skinął głową.

•Czy to pan... czy to pan udzielił im ślubu?

Pastor pochylił się i, mrużąc oczy, przeczytał wskazany mu wiersz.

- Musiałem, bo to mój wpis.

-Pamięta ich pan?

Pastor nadal wpatrywał się we wpis, usiłując coś sobie przypomnieć. Lecz gdy podniósł na Marsha wyblakłe oczy, odpowiedź była jasna.

- To było dawno temu, chłopcze. Przykro mi. Czy powiedziałaś, że jesteś MacDougal, tak jak ona?

Marsh nie mógł odpowiedzieć od razu, przynajmniej głośno. Tak, jestem z nią spokrewniony. Jestem MacDougal, tak jak ona i zawsze będę. Teraz, z dowodem potwierdzającym jego pretensje do nazwiska Byrde, Marsh przysiągł sobie, że nigdy nie będzie go używał. Nigdy.

W czasie boksterskiej kariery używał nazwiska matki- MacDougal. Boże, wydawało się, że było to całe wieki temu. Teraz znów stanie się MacDougałem, w hołdzie dla matki.

Skinął małemu pastorowi głową i na koniec poprosił go o jeszcze jedno.

- Chciałbym spisać ten akt małżeństwa i poprosić, by pan poświadczył i podpisał ten dokument jako prawdziwą kopię z pańskich ksiąg parafialnych.

Potrzeba było tak niewiele czasu, by to zrobić. Po miesiącach podróży i poszukiwań, Marsh miał dowód, którego pragnął, złożony i bezpieczny w wewnętrznej kieszeni kurtki. Poklepał się po piersi, gdy ojciec Pater-son go odprowadzał.

- Chciałbym podziękować ojcu i złożyć datek na kościół. — Wyciągnął skórzaną sakiewkę, którą trzymał na takie okoliczności, poczym dołożył

123

kilka monet z portfela. - Dziękuję - powtórzył. - Po czym pod wpływem impulsu zapytał: - Czy mógłbym na kilka minut zostać sam w kościele?

- Ależ oczywiście, mój synu. — Pastor przeniósł wzrok z Marsha na ciężką sakiewkę w jego ręku, po czym znów spojrzął na Marsha. Był zaintrygowany, lecz wyraźnie zadowolony. - Zostań tak długo, jak zechcesz.

Sam w małym kościele, Marsh rozglądał się wokół: na jedno okno z barwionego szkła, na poźółkły i połatany obraz ołtarzowy.

Odpowiedni kościół do modlitwy za moją matkę, pomyślał, klękając na nierównej podłodze. Ona nigdy nie pragnęła bogactw czy tytułów, czy nawet okazałego domu, jaki chciał dla niej zbudować. Maureen MacDougal całe życie pozostała miłą i skromną kobietą, której nie zmieniły przeciwności losu, jakie sprowadziła na nią zdrada Camerona Byrde'a.

Choć wiedział, że w kościele nie ma miejsca dla zemsty, Marsh nie był gotów przebaczyć swemu ojcu. Modlił się więc za matkę.

Dzięki ci, że uczyniłeś ją moją matką, to wszystko, co mógł powiedzieć. Dzięki ci, że pozwoliłeś mi ją mieć przez te wszystkie lata.

Uspokojony i wyczerpany opuścił kościół. Stanął na małym ganku, włożył kapelusz i rozejrzał się po słonecznej ulicy.

Dokonał właśnie tego, co postanowił, znalazł dowód na potwierdzenie swoich roszczeń.

Teraz nadszedł czas, by wyrównać rachunki w Kelso i Byrde Manor. Musiał tam wrócić. Również do Sary Palmer.

Sara dostrzegła Marshalla MacDougala, gdy stał po drugiej stronie ulicy. Od razu skuliła się przy witrynie sklepu krawieckiego, mając nadzieję, że jej nie zauważy.

Jednak wyczuł jej zdumione spojrzenie, podniósł wzrok i utkwiał go w niej. Zatrzymał się w pół kroku i tylko chwilę wahał się, zanim zmienił kierunek i ruszył w jej stronę. Miała tylko kilka sekund, by odetchnąć i postać Mary, by zaczęła z Flemingiem w powozie.

Od razu poznała, że coś się zmieniło. Miał wojowniczy wyraz twarzy, ajego ciemne oczy błyszczały gniewem. Nie zaskoczyło jej to.

Amerikanin przemówił do niej otwarcie, nie bawiąc się w towarzyskie uprzejmości.

- Cieszę się, że jesteś tutaj, Saro. Nie będę musiał cię szukać.

124

Odwróciła oczy od jego poważnego spojrzenia i spojrzała na nędzny kościółek, z którego właśnie wyszedł. Ten sam kościół, do którego ona właśnie zmierzała.

Czy to możliwe, że znalazł dowód, którego poszukiwał? Serce zaczęło jej bić mocno. Dlaczego nie przysła tam godzinę wcześniej?

Jednak cóż mogłaby zrobić? Zniszczyć dowód? Nie była pewna, czy zrobiłaby coś tak nikczemnego, nawet dla matki i siostry.

Więc z lękiem czekała na to, co miało nadejść.

Ku jej zaskoczeniu ujął ją za ramię i poprowadził ulicą.

- Muszę się napić, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

-Napić? W zajeździe?

- W zajeździe. Nie martw się, Saro. Jest mało prawdopodobne, by twoi przyjaciele z towarzystwa kiedyś się o tym dowiedzieli. Dla nich Dumfries jest zbyt oddalone od ubitego szlaku. - Zaśmiał się ostro i sztucznie. - Mój ojciec miał rację. Jego pierwszy ślub w małym kościółku, w da

lekim Dumfries prawdopodobnie nigdy nie zostałby odkryty, gdyby jego syn nie postanowił się zemścić.

Tego właśnie się obawiała. Sara potknęła się, lecz jego ręka mocniej zacisnęła się na jej ramieniu. Po chwili przycisnęli się przez niskie drzwi zajazdu do słabo oświetlonej sali, w której siedziało kilku mężczyzn. Poprowadził ją do stolika w rogu i zmusił ją, by usiadła. Dał znak barmanowi i złożył zamówienie, po czym odsunął krzesło i usiadł na nim okrakiem.

- Tak - powiedział, zwrócony do niej twarzą z tą samą wojowniczą miną. - Mam dowód. Moi rodzice zawarli małżeństwo tutaj, w kościele Świętego Jeremiasza, w Dumfries, 15 września 1796 roku. Rok przed drugim ślubem, z twoją matką. - Zamilkł, lecz jego słowa zdawały się odbijać w uszach Sary groźnym jak uderzenia młota echem. - Przyjmuję, że rozumiesz wagę tego jednego, niepodważalnego faktu - ciągnął, zadając ostateczny cios. Niemal ją ogłuszył.

Lecz Sara nie należała do tych, którzy pozwalają innym upajać się ich porażką. Zebrała odwagę, zadarła podbródek i napotkała jego ciemne, uważne spojrzenie.

- O, tak. Rozumiem, co to znaczy. Ma pan swój dowód i zamierza pan go użyć, by upokorzyć moją rodzinę i nas zrujnować. Czy słusznie mniemam?

Mięsień drgnął mu w twarzy.

- Rozumiem, dlaczego tak na to patrzysz. Choć zastanawiam się, czy jesteś zdolna zrozumieć mój punkt widzenia. Moją matkę pozbawiono jej praw, mimo że była prawdziwą żoną Camerona Byrde'a. Ja zostałem pozbawiony moich praw, mimo że jestem prawowitym dziedzicem. Czy

125

możesz mnie winić o to, że chcę zabrać to, co zawsze mi się należało? - Pochylił się do przodu i wbił się w nią oczami. - Nie chcę sprowadzić na twoją siostrę wstydu. Chcę tylko tego, co mi się prawnie należy.

Usiadł wygodnie, gdy przyniesiono im szklanki i butelkę bursztynowego płynu. Choć Sara nigdy przedtem nie była w zajazdzie, a teraz siedziała bez przyzwyczajenia z mężczyzną, którego się bała, nie sprzeciwiła się, kiedy on nalał jej szklankę czegoś, co pachniało jak brandy.

Podniosła szklankę, ściskając ją mocno, gdyż tak bardzo drżała jej ręka, i jednym haustem wypila zawartość. Zapiekło ją w gardle i oczy zaszyły łzami, lecz nawet się nie otrząsnęła. Zawiodła swą rodzinę, a teraz ten człowiek — z którym również zachowała się obrzydliwie - zamierzał zrujnować ich życie.

Wszyscy na tym ucierpią. Kiedy matka i Olivia cierpiały, ona także to czuła. Oto, co znaczy być rodziną.

Więc gdy on wychylił swą szklankę i ponownie ją napełnił, Sara wiedziała, że musi zrobić wszystko, by odeprzeć niebezpieczeństwo od ludzi, których kochała najbardziej.

Wyciągnął ku niej butelkę, a ona podniosła szklankę, w nadziei, że alkohol doda jej odwagi. Skup się na Olivii, nie na nim, powiedziała sobie. Marshall MacDougal potrafi zatroszczyć się o siebie. Lecz potem postawiła szklankę na stole i odsunęła ją na bok. Mocny alkohol dałby jej tylko złudne poczucie siły. Nie pomógłby rozwiązać problemu.

Wzięła głęboki, powolny oddech i spojrzała mu prosto w twarz.

- Dobrze, panie MacDougal. Przyjmijmy, że istotnie ma pan jakiś do wód na poparcie swoich roszczeń - dowód wystarczający, by podać w wątpliwość małżeństwo mojej matki z tym... tym przeklętym człowiekiem. - Zacisnęła usta, znów wzięła uspokajający oddech. - Przyjmując, że istotnie nie chce pan sprowadzić na moją siostrę wstydu, proszę, by mi pan

powiedział: czego pan naprawdę chce?

Patrzyła, jak on zaczyna wiercić się na krześle, obejmuje palcami pustą szklankę i powoli zatacza nią kręgi na porysowanym stole.

- Chcę tego, do czego każdy pierwszy syn miałby tytuł.

- Nie ma żadnego tytułu - przerwała mu. - Już to panu mówiłam.
Uderzył szklanką o stół.

- A ja ci mówiłem, że nic mnie nie obchodzą tytuły! - Pochylił się do przodu, patrząc na nią spod gniewnie ściągniętych brwi. - Nic mnie nie obchodzą angielskie tytuły. Chcę mieć Byrde Manor. Dom, ziemię, żywy inwentarz. Prawo głoszenia, że to moje.

Sara zamyśliła się przez chwilę.

- Czy chce pan powiedzieć, że zamierza się tam wprowadzić?

126

- Może. - Po chwili zaś dodał: - Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałem.

Potrząsnęła głową.

- Nie ma pan pojęcia, co to jest odpowiedzialność za taką posiadłość, jak Byrde Manor. Chodzi nie tylko o ziemię, pola i stada owiec. Chodzi o rodziny, które tam pracują. Chodzi o dzierżawców gruntów, służbę do mową i robotników polowych.

Teraz ona pochyliła się do przodu.

- Chodzi o historię odpowiedzialności jednej rodziny za inne, a tego nie da się wycenić.

Wbił w nią wzrok.

-Tak samo jestem częścią tej historii i rodziny jak wy!

Było to gniewne oświadczenie i na chwilę zaskoczyło Sarę.

- To może prawda - zgodziła się. - Ale... ale przywiązanie, jakie pan ma dla Byrde Manor, bierze się wyłącznie z chęci zemsty. A Olivia kocha to miejsce. To miłość - powtórzyła. - Utrata Byrde Manor złamie jej serce, gdy tymczasem dla pana to tylko łup w jakiejś wojnie z tym straszonym człowiekiem, który spłodził was oboje.

Mimo jej słów wydawał się nieporuszony. Na nowo napełnił swą szklankę i powoli wypił alkohol.

- Twoja lojalność wobec siostry...

-Naszej siostry!

- Jest godna podziwu. Powiedziałem ci to już przedtem, Saro. Ale to niczego nie zmienia. Mamy więc problem, bo nie opuszczę Szkocji, nie odebrawszy tego, co mi się należy.

"Nie odebrawszy tego, co mi się należy".

Jego ostatnie słowa odbijały się echem w głowie Sary. Przyjechał do Wielkiej Brytanii, by odebrać Olivii jej majątek. Jak już to osiągnie, prawdopodobnie odjedzie, pozostawiając jakiemuś agentowi zarządzanie

posiadłością. Ostatecznie, wystarczająco często wyrażał pogardę dla systemu klasowego w jej kraju. Wszystko, czego naprawdę chciał, to dochód, jaki zapewniałby Byrde Manor, oraz zemsta na jej rodzinie.

Jej dłoń zacisnęła się wokół szklanki. Chodziło mu o pieniądze.

Wtedy przyszło jej do głowy rozwiązanie. Spłaci go.

Jej ojciec pozostawił ją bardzo dobrze zabezpieczoną na przyszłość. W istocie nawet nie znała w pełni rozmiarów swego dziedzictwa: zyskowne opłaty dzierżawne; dobrze oprocentowane inwestycje i kwartalne kieszonkowe, które zawsze było większe niż roczne sumy jej siostry.

Z pewnością było tego dość, by kupić milczenie Marshalla MacDou-gala. Nawet gdyby sięgnęła do inwestycji w celu zapłacenia mu pełnej

127

wartości Byrde Manor, nadal niczego by jej nie brakowało. Zrobiłaby to, gdyby miała pewność, że on na zawsze zostawi ich w spokoju. Choć reszta rodziny może się sprzeciwić, ona nie miała żadnych obiekcji, by w ten sposób wydać te pieniądze. Jej drogi ojciec, który uwielbiał Liwie, na pewno pochwaliłby jej plan.

Biorąc powolny oddech dla odzyskania równowagi, uśmiechnęła się, znów pewna siebie, po czym podniosła do ust szklankę - tylko by zaczerpnąć łyček.

-Tak, istotnie mamy problem. Jednak chciałabym przedstawić jeszcze jedno rozwiązanie.

Rozsiadł się na krześle ze skrzyżowanymi ramionami.

- Jeszcze jedno rozwiązanie? Słucham.

Wzięła głęboki oddech, zbyt niespokojna o to, jak on zareaguje na jej propozycję. James będzie wściekły, kiedy się o tym dowie, lecz nie dbała o to w tej chwili.

- Jestem bardzo bogata, panie MacDougal. O wiele bogatsza niż Oli via. Zapewne już się pan przekonał, że bardzo kocham matkę i siostrę. Tak jak pan kocha swoją matkę -dodała. -Jeśli naprawdę nie chce pan skrzywdzić mojej rodziny i ukarać nas za występki pańskiego ojca, to sądzę, że mam rozwiązanie wszystkich tych przykrych nieporozumień.

Marsh starał się być opanowany. Wiedział, co ona powie, lecz nie chciał tego usłyszeć. Nie miał pojęcia, co jej odpowiedzieć. Jak szuler karciany, nie spuszczała z niego oczu.

- Jestem gotowa zapłacić panu pełną wartość Byrde Manor, w mone tach, w banknotach lub w innej formie, w jakiej pan zechce. Pełną war tość, panie MacDougal, jeśli zgodzi się pan natychmiast wrócić do Ame ryki i przyrzeknie, że nigdy więcej nie zagrozi mojej rodzinie.

Siedziała naprzeciw niego, tak samo wytworna jak za pierwszym razem, kiedy jego oczy spoczęły na niej, otulonej czerwoną, przybraną sobolami peleryną. Tak jak wtedy, Marsh mógł tylko na nią patrzeć. Zamierzała go spłacić. Teraz, kiedy wysunęła tę propozycję, był zdziwiony, że zrobiła to tak późno.

- To byłoby bardzo kosztowne zobowiązanie - powiedział, by zyskać na czasie. Co ma jej odpowiedzieć?

Wyraz jej twarzy stał się bardziej surowy, a błękit oczu chłodniejszy. Pełne usta zacisnęły się w napiętą linię.

- Mogę doliczyć jeszcze pańskie wydatki na podróż. Jej słowa zabrzmiały w ciszy między nimi.

Gdy cisza ta zaczęła się przedłużać, zobaczył, że ona przełyka ślinę. Był to tylko lekki ruch, falowanie mleczonej skóry jej szyi pod zawiązaną tam atłasową wstążką.

Przyszły mu do głowy dwie myśli. Pierwsza, że ona nie jest tak pewna siebie, jak stara się być, druga, że chciał pocałować tę szyję, rozwiązać zębami tę wstążkę, i pojąć jej ciało.

Na samą myśl o tym krew napłynęła mu do łędźwi. Ta miękka, blada skóra byłaby jeszcze bledsza i bardziej miękka w miejscach obecnie skrytych przed jego wzrokiem.

Zduślił przekleństwo, gdy jego męskość wyprężyła się niemal do bólu.

Błędnie odczytując jego milczenie, pochyliła się do przodu z poważną twarzą.

- Powiedział pan, że nie zamierza pan ich skrzywdzić. Teraz ma pan okazję, by tego dowieść. Będzie pan miał swoje dziedzictwo - każdy jego pens - a oni nigdy nie dowiedzą się, jaką krzywdę przyrzadził wasz ojciec. Ale musi pan mi obiecać, że nigdy się do nas nie zbliży.

Marsh nie planował tej odpowiedzi.

- Zastanowię się nad twoją propozycją, Saro.

- Naprawdę?

Znów przełknęła ślinę i wzięła głęboki oddech. Napór jej ślicznych piersi na muślinowy stanik sukni doprowadzał go do szaleństwa.

- Zastanowię się - powiedział, przenosząc wzrok na jej twarz. - Ale jest między nami inna niedokończona sprawa. Sprawa, którą chciałbym zamknąć.

Spojrzał na nią uważnie i kiedy krew napłynęła jej do policzków i zabarwiła je żywym kolorem, było widać, że zrozumiała jego aluzję.

- Pan... nie może pan mieć namyśli... Nie. Nie może pan.

- Ależ mam. - Wziął ją za rękę, wiążąc te ciepłe, smukłe palce w swoich. - Wezmę twoje pieniądze zamiast Byrde Manor. Wrócę do Ameryki i zniknę z waszego życia. Sekret pierwszego małżeństwa mojego ojca zostanie ze mną, a one nigdy nie poznają prawdy - chyba że będziesz chciała im kiedyś powiedzieć. Ale chcę spędzić jedną noc z tobą.

Odetchnął ciężko. Pod stołem był tak twardy, że nie mógłby wstać, nawet gdyby chciał.

Siedzieli teraz, ręka w rękę, ze splecionymi palcami. Widział przerażenie w jej oczach, ale próbował je zignorować.

- Spędź ze mną noc, Saro, a dokończymy to, co ledwie zaczęliśmy w twoim powozie tamtej nocy na drodze.

Ulegnij mi, gdyż jest to jedyny sposób, by się mnie pozbyć.

9 - Nieodparty j nieznośny 129

17

V^/głuszona jego słowami, Sara nie mogła się ruszyć.

Przy stole za nią dwaj mężczyźni głośno śmiali się z czyjegoś żartu. Ciężki kufel walnął o jakiś stół, a niskie drzwi wejściowe zatrzasnęły się za klientem, który właśnie wyszedł. Słyszała wokół siebie krzątanie, lecz nie zważała na nią.

Marshall MacDougal wypowiedział niesłychane słowa. Właśnie przedstawił jej nieprawdopodobną propozycję.

Niewiele brakowało, by wyrwał jej się z piersi histeryczny chichot. Propozycja. Co za właściwe słowo. Czy to umowa handlowa, czy lubieżna sugestia? Prawdopodobnie jedno i drugie.

Patrzyła na niego, zgorziona tą propozycją, jak i swoją reakcją na nią. Czuła narastające podniecenie, ale starała się opanować.

- Nie zaszczycę odpowiedzią takiej prostackiej sugestii - mruknęła, prawie dławiąc się słowami.
- Rozumiem, że pani odmawia. — Zamilkł na długą, pełną napięcia chwilę. - Jesteś tego pewna, Saro?
- Całkiem pewna! - Stała na drżących nogach. Jak on mógł być taki ordynarny- i spokojny zarazem? Niepewnie zaczerpnęła powietrza. - Każę swemu prawnikowi spisać dokumenty.
- W jakim celu?
- W celu sporządzenia polecenia wypłaty pieniędzy.
- Ale my nie zawarliśmy umowy.
- Zawarliśmy - odpowiedziała. - Co do wszystkiego, oprócz tego ostatniego... absurdalnego punktu.

Powoli i wyraźnie pokręcił głową, po czym rozparł się na krześle. Sarę ogarnęło straszne przecucie.

- Wobec tego nie ma umowy.

Wpatrywała się w niego, niezdolna do odpowiedzi. Nogi się pod nią uginały, więc z powrotem usiadła.

- Pan nie mówi poważnie.
Drwiąco uniósł jedną brew.

• Zupełnie poważnie, Saro. Proszę mnie, bym zrezygnował z prawdy o moim pochodzeniu, i chociaż twoja oferta jest kusząca, pieniądze nigdy nie wynagrodziłyby mi utraty mojej dalszej rodziny.

• Pańskiej dalszej rodziny! - wykrzyknęła, odzyskawszy w końcu głos. - Przyjechał pan do Szkocji, by odnaleźć ojca i zemścić się na nim.

130

Niech pan nie udaje, że było inaczej. Dalsza rodzina? Ha! Ha! Powinien być pan zadowolony z bogactwa, z którym pan stąd wyjedzie.

- Niepotrzebne mi twoje pieniądze.

Oparła się o krzesło, zdumiona wściekłością w jego głosie.

- Nigdy nie chodziło o pieniądze - ciągnął cichym, lecz pełnym pasji tonem. - Ale ty tego nie rozumiesz, prawda? Jesteś tylko rozpuszczonym dzieckiem, mówisz o lojalności, ale nie rozumiesz, co ona oznacza. Lojalność lub poświęcenie. Wiesz tylko, co to bogactwo i status, i pozycja w społeczeństwie. To wszystko, o co każdy z was, wyrachowanych Brytyjczyków, dba. Jednak moja matka rozumiała. Przez całe życie była lojalna wobec męża i wszystko dla mnie poświęciła. Ale mimo to nie była dość dobra dla mojego ojca. O, nie. Nie miał nic przeciwko zabawianiu się z nią, ale nie miał zamiaru wprowadzać jej do rodziny. Cóż, teraz nie jest inaczej. Nie chcę poznać twojej rodziny, jaśnie panienko. Chcę się tylko z tobą zabawić!

Sara była zbyt zdumiona jego ostrymi słowami, by zareagować. W okropnej ciszy wstał i rzucił na stół monetę za butelkę.

- Oto umowa. Decydujesz się lub nie. Daję ci tydzień do namysłu. - Po czym skłonił się lekko, włożył kapelusz i powiedział: - Do zobaczenia w Keiso.

Marsh drżał, gdy sztywnym krokiem wychodził z zajazdu. Dłonie zacisnął w pięści i gdyby ktoś krzywo na niego spojrział, powaliłby drania. Lecz brukowana ulica była pusta.

Gwałtownie trzepnął rękawiczkami o udo. Niech ją diabli!

Chciał wykrzyczeć swój gniew i frustrację do księżyca. Zamiast tego musiał zachowywać się, jakby nic się nie stało.

Ależ nic się nie stało, zwrócił mu uwagę cichy głos rozsądku. Wygrałeś. Bez względu na to, jaką decyzję podejmie, wygrałeś.

Dlaczego więc nie czuł smaku zwycięstwa?

Dlaczego czuł się podle?

Ponieważ tak na niego zareagowała, jakby był nie dość dobry dla takich jak ona.

Lecz był dość dobry, sprytny i mądry, by ją pokonać. Wygrał i ona o tym wiedziała.

Więc po co to wstrętne żądanie rzucone pod koniec rozmowy?

Gdy zdał sobie sprawę, że mija gospodę, w której wziął pokój, zmienił kierunek. Czuł jednocześnie niesmak, przygnębienie i rozradowanie. Opanowało go tak wiele sprzecznych uczuć, iż czuł, że zaraz wybuchnie. Pod wpływem impulsu wziął ze stajni swego konia, zostawił Dufry'emu informacje, że wraca do Kelso, po czym wypadł galopem z miasta. Musiał się wyładować, inaczej pękłby z frustracji.

131

Lecz nawet szalona gonitwa przez wieś nie mogła zagłuszyć oskarżeń, które błąkały mu się po głowie. Po co złożył jej tę propozycję? Po co ją tak dręczył?

Dotarł do Lockerbie i zrozumiał swoje zachowanie. Wniósł to ordynarne zastrzeżenie do ich umowy, ponieważ chciał Sary. I wiedział, że nie dostanie jej w żaden inny sposób.

Sara dotarła do Byrde Manor po dwóch bardzo ciężkich dniach spędzonych w podróży. Spała mało, jadła jeszcze mniej i kiedy wysiadła z karety po zmroku, pani Hamilton skakała wokół niej jak kura wokół chorego kurczęcia. Lecz Sara zignorowała wszelkie starania zmartwionej kobiety i poszła prosto do łóżka.

Pani Hamilton natychmiast zabrała się do wypytywania biednej Mary, co się wydarzyło, ale pokojówka nic nie wiedziała. A jeśli chodziło o Sarę, ani Mary, ani nikt inny nie dowie się prawdy. Nawet pani Hamilton. Gdyby stara służąca dowiedziała się, że pan MacDougal jest prawdziwym dziedzicem Camerona Byrde'a, chciałaby wiedzieć, dlaczego ten człowiek nie ogłosił jeszcze tego całemu światu. A wtedy Sara musiałaby powiedzieć o jego propozycji i o pieniądzach, które mu oferowała.

Prawda i tak wyjdzie na jaw, gdyż James na pewno dowie się o tej transakcji. Lecz Sara nie chciała, by prawda wyszła na jaw przed wyjazdem Marshalla MacDougala do Ameryki. Gdyby pani Hamilton poznała fakty teraz, mogłaby spotkać się z panem MacDougalem. A gdyby to zrobiła, on mógłby wspomnieć o dodatkowym punkcie ich umowy.

Na samą myśl o tym żołądek jej się kurczył. Gdyby ktoś się dowiedział, czego on od niej zażądał, to szybko sformułowałby odpowiedź. Gdyż Sara czuła, że jest tylko jedna odpowiedź. Jakiej może udzielić. Nie pozwoliłaby mu zrujnować jej matki i siostry. Zatem musi mu pozwolić na poniżenie siebie.

W desperacji Sara wparła stopy w podłogę, zacisnęła dłonie w pięści i skupiła się na swoim kłopotliwym

położeniu. Czy kobieta jest poniżona, jeśli nikt o niczym nie wie?

Leżała na łóżku ubrana i wpatrywała się w sufit. Nikt nie oczekiwał po mężczyźnie, że przed ślubem nie będzie miał intymnych kontaktów z kobietami. Co więcej, istniało ciche przyzwolenie na to, by był wystarczająco doświadczony, by nauczyć swą żonę intymnych sekretów małżeńskiego łoża.

132

Powstaje pytanie, czy podczas jej nocy poślubnej przysły małż będzie mógł stwierdzić, że kiedyś miała kontakt z innym mężczyzną?

Jęknęła i usiadła, po czym zaczęła rozsznurowywać buciki. Była już dotykana przez mężczyznę tak, jak nikt oprócz męża nie powinien jej dotykać. Czy zrobienie tego ostatniego kroku byłoby jeszcze gorsze?

Samo rozważanie tej możliwości sprawiło, że przebiegł ją cudowny, straszliwy dreszcz. Skupiła się więc na pomnym wyrazie jego twarzy i okrutnych słowach przy pożegnaniu.

"Chcę się tylko z tobą zabawić".

Co za potworny człowiek! Co za wstrętny, ordynarny... wstrętny Amerykanin. Był nie lepszy od Penleya, który wymuszał pieniądze od swej zamężnej kochanki. Pan MacDougal nie chciał od niej pieniędzy. Ona już mu je zaoferowała. Zażądał jej niewinności.

Sara miała ochotę rozplakać się z frustracji, jednak łzy nie chciały popłynąć. Położyła się wygodnie, słuchając w ciszy nocy własnego oddechu i marząc, by jej matka lub siostra były tutaj. Nawet obecność brata byłaby dla niej wielką pociechą.

Lecz nie było ich i wiedziała, że tak jest najlepiej. Sama musiała stoczyć tę bitwę z Marshałem MacDougalem. Powiedzenie rodzinie prawdy oznaczało, że wszystko zostanie rozgłoszone. A tak, okropną prawdę można będzie zachować w całkowitej tajemnicy.

Poza tym, może jeszcze skłoni go do zmiany zdania.

Miała w głowie jedną myśl, zanim zmorzył ją sen. Kiedy znów będzie miała o nim wiadomość? Ostatecznie pozostało tylko pięć dni.

Adrian siedział okrakiem na odwróconym wiadrze i patrzył, jak stangret Sary zmywa błoto z podwozia starej karety podróźnej. Coś wisiało w powietrzu i Adrian chciał wiedzieć, co to było. Lecz wypytywanie długoletniego służącego rodziny, który znany był ze swej lojalności, było nierozsądne. Patrzył więc spod przymrużonych powiek na stangreta i powiedział niedbale:

- Pomóc panu? Mogę zetrzeć kurz z siedzeń i wytrześć zasłony.

- Dziękuję, chłopcze, ale poradzę sobie. Adrian zamyślił się.

- Ile lat ma ten powóz? Maluje go pan i czyści, ale i tak wiem, że nie jest nowy.

Stangret uśmiechnął się z dumą.

- Jest starszy niż ty, ale nie wygląda na swoje lata.

133

Adrian wzruszył ramionami.

- Powinien wyglądać jak nowy, bo mało kto go jeszcze używa.

- Hm. Tak mówisz? Myślisz, że całe to błoto wzięło się z tego, że kareta stała w powozowni?

Adrian wzruszył ramionami. -Nie wiem.

•No, to pojedź nad ocean i z powrotem, a zobaczysz, jaki czysty będzie twój powóz.

•Nad ocean? Ma pan na myśli Ocean Atlantycki?

- Znasz jakiś inny? - zażartował pochłonięty pracą stangret.

-Nigdy nie widziałem oceanu - powiedział Adrian.

- Hm. Sam go mało widziałem, bo przy dwóch dniach do Dumfries, dwóch dniach z powrotem i ledwie odrobinie czasu, żeby się pokręcić...

Dumfries. Adrian zapomniał o pragnieniu, by pewnego dnia odbyć podróż aż nad Atlantyk. Sara popędziła jak szalona do Dumfries i całkiem zapomniała o planach wybrania się z nim na ryby. Po czym szybko wróciła. Dlaczego?

Wstał i kopnął stół, czym zasłużył sobie na gniewną minę stangreta. Lecz nie dbał o to. Sara opuściła Byrde Manor dzień po wyjeździe Marshalla MacDougala. Wróciła ostatniej nocy - a pan MacDougal dziś rano. Wiedział to, ponieważ w porze lunchu usłyszał matkę rozmawiającą zjedną ze swych przyjaciółek o tym, że służący tego człowieka jest z powrotem w mieście. Jeśli wrócił służący, to wrócił i pan. Ta myśl sprawiła, że Adrian pobiegł prosto do Byrde Manor, dowiedzieć się czegoś więcej.

Jego Sara uganiała się za mężczyzną, którego nie powinna zaszczylić nawet spojrzeniem. Później zachowywała się tak, jakby go nienawidziła. Co się działo między nimi?

Adrian długo jeszcze błądził po Byrde Manor. Lecz w miarę jak popołudnie gasło, a Sara nie opuszczała domu, chłopak postanowił, że dowie się prawdy.

Sara zmarnowała jeszcze dwa dni, czekając na wiadomość od Marshalla MacDougala. Czy też spędziła te dwa dni, ukrywając się przed nim? Kiedy pani Hamilton przyparła ją do muru, musiała skłamać.

-Niczegojeszcze nie znalazł. Musimy go tylko przeczekać.

134

Pani Hamilton nie spodobała się ta odpowiedź. Lecz Sara siedziała jak na szpilkach, nie mając komu się zwierzyć i wiedząc, że w Kelso pan MacDougal oczekuje jej odpowiedzi.

W niedzielę rano postanowiła wziąć udział z panią Hamilton w nabożeństwie w mieście. Tym bezpiecznym sposobem mogłaby się dowiedzieć, co się działo z Amerykaninem.

Jednak gdy otwartą dwukółką wyjechały do miasta, od razu natknęły się na Marshalla MacDougala. Sara poczuła, że serce podchodzi jej do gardła!

•O, nie. Tylko nie on - mruknęła, po czym zerknęła na panią Hamilton.

•A więc to on - zauważyła służąca, z ciekawością wpatrując się w Marsha. Sara uświadomiła sobie, że stara kobieta widzi go po raz pierwszy.

- Niech pani będzie uprzejma - mruknęła, gdy się zbliżyły. -1 nie zdradzi, że wie o czymkolwiek.

Pan MacDougal zwolnił, po czym zatrzymał się i to samo zrobił ich stangret.

- Dzień dobry, panno Palmer - powiedział miło i przyjaźnie. - Piękny dzień na przejażdżkę, prawda?

Sara zmusiła się do uśmiechu, podczas gdy wszystko w niej się trzęsło.

- Jedziemy do kościoła. To jest pani Hamilton, długoletnia służąca ro

dziny i lojalna przyjaciółka.

W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia, lecz przeniósł wzrok na panią Hamilton.

Gdy wymieniano uprzejmości, Sara wzięła głęboki oddech i dopiero wówczas uświadomiła sobie, że go wstrzymywała. Pani Hamilton zachowywała się wobec tego mężczyzny tak miło, jakby był adoratorem, który przyszedł z wizytą.

Wbrew rozsądkowi, Sara przesunęła po nim spojrzeniem. Miał nienagannie zawiązany halsztuk, dobrze wymodelowane ramiona i mocne uda. W butach do konnej jazdy z hiszpańskiej skóry prezentował się doskonale.

Sara szukała skazy i w desperacji zdecydowała, że jest zbyt wymuskany jak na prawdziwego dżentelmena. Był zbyt czujny, zbyt skupiony i niebezpieczny.

Ręka pani Hamilton na ramieniu Sary uświadomiła jej, że ktoś do niej mówi.

- Słucham? - Odwróciła się do pani Hamilton.

- Pan MacDougal uprzejmie zaproponował, że będzie nam towarzyszyć w kościele.

W oczach starej kobiety zaiskrzyło się światło. Znając bezwzględną lojalność pani Hamilton wobec Augusty i Olivii, Sara uznała, że był to

135

błysk bitewny. Wykorzystując to, że była odwrócona twarzą od pana MacDougala, wypowiedziała bezgłośnie upomnienie:

- Proszę nic nie mówić.

Dopiero gdy pani Hamilton lekko skinęła głową, Sara zwróciła się w jego stronę.

- Jestem pewna, że wszystkim nam dobrze zrobi czas spędzony na modlitwie.

Godzinę później nie była tego taka pewna. Wiele głów odwróciło się, gdy we troje weszli do małego kościoła. Gadatliwa matka piekarza kiwnęła głową i zaczęła coś mówić. Pani Liston uniosła brwi niemal do linii włosów i uśmiechnęła się znacząco. Estelle Kendrick spojrzała, po czym znacząco odwróciła głowę. Lecz siedzący obok niej mężczyzna obserwował ich z szerokim uśmiechem, a MacDougal skinął mu głową, gdy przechodzili.

Sara chciała odwrócić się i wyjść. Wsunęła się w rodzinną ławkę z panią Hamilton po jednej stronie i Marshalllem MacDougalem po drugiej i bardzo starała się skupić na kazaniu pana Listona. Lecz było to prawie niemożliwe.

Upłynęło pięć dni od ich pamiętnego spotkania w obskurnym zajeździe w Dumfries. Jednak świadomość jego obecności tutaj była dla Sary dręcząca. Jego noga znajdowała się o kilka centymetrów od jej nogi, cienka tkaninajego biyczesów wyraźnie kontrastowała z muslinem w roślinne wzory, który okrywał jej postać. Jego ręce spoczywały na kolanach i Sara przyjrzała się najpierw jednej, potem drugiej. Były opalone i silne. Kwadratowe dłonie, kształtne palce, schludne paznokcie. Ciemne włoski na rękach nadawały im dziwną, męską atrakcyjność, której nie chciała zauważać.

Lecz podczas gdy pan Liston wygłaszał kazanie, stopy wiernych szurały niecierpliwie, a kaszel dyskretnie tłumili uniesione dłonie, Sara wpatrywała się w jego ręce, przypominając sobie chwile, gdy przesuwali się po jej udach.

Niemal się udusiła, po czym zaczęła kaszleć i przestała dopiero, gdy pani Hamilton uderzyła ją w plecy.

- Przepraszam - mruknęła, nie podnosząc oczu znad splecionych dłoń

ni. - Przepraszam. -Na szczęście msza się skończyła, pani Liston zagrała na organach *Święty, święty, święty* i wszyscy wstali do śpiewu.

Pierwszymi ludźmi, których spotkali potem, byli Estelle i jej towarzysz. Człowiek ten, uświadomiła sobie Sara, był służącym pana MacDougala.

- No, no. Czyż to nie wybuchowy pan MacDougai? - powiedziała Estelle. Uśmiechnęła się do Sary, cały czas przyciskając pierś do ramienia swego towarzysza. - Czy jeszcze komuś dał z twojego powodu cięgi?

Sara obdarzyła ją kwaśnym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie. Czy Adrian jest tutaj? - dodała, zmieniając temat.

136

Estelle odpowiedziała z uśmiechem.

-Nie widzę go.

Sara chciała spoliczkować tę kobietę. Lecz nie mogła zrobić tego tutaj, więc lekko skinęła głową, przycisnęła się obok niej i wyszła na otwarty plac.

- Ostatnio nikomu nie dałem cięgów z twojego powodu - rozległ się tuż przy niej spokojny głos pana MacDougala. Dostosował się do jej kroków. - Ale chciałbym.

-No więc! -zawołała spiesząca za nimi pani Hamilton. -Chciałabym podziękować panu za wspianą pstrągą, którego nam pan dostarczył. Czy od tamtej pory łowił pan ryby?

Sara poczuła ulgę, gdy on znów skierował uwagę na panią Hamilton.

-Niestety, nie miałem czasu.

- Och, wielka szkoda. Ledwie dwa dni temu pan Hamilton złowił w rzece ogromną rybę. To stworzenie stoczyło z nim zaciętą walkę.

Sara miała ochotę jęknąć. Choć pouczyła panią Hamilton, by zachowywała się wobec niego przyjaźnie, stara służąca była zanadto przyjazna.

•To bardzo miły sposób na spędzenie popołudnia - powiedział, kiedy dotarli do powozu. - Czy mogę jeszcze raz liczyć na pani hojność?

•Bez wątplenia - zgodziła się pani Hamilton, ignorując znaczące spojrzenia Saiy. - Jestem pewna, że siostra Sary, Olivia, nie miałaby nic przeciwko temu - dodała. - Wie pan, to jej posiadłość.

Mimo niezadowolenia, Sara chętnie ucałowałaby panią Hamilton za tę ostatnią uwagę i za subtelną złośliwość, jaką ona zawierała.

- Tak mi powiedziano - odpowiedział pan MacDougal. Pomógł pani Hamilton wsiąść do powozu. Kiedy obszedł dwukótkę, by pomóc wsiąść Sarze, szepnął: "Przynajmniej Olivia myśli, że wciąż jest jej". Zanim Sara zdążyła odpowiedzieć, zapytał głośno: - Czy miałaby pani ochotę wybrać się ze mną na ryby, panno Palmer?

48

A

drian patrzył spod kępy krzaków w górze rzeki, jak Sara i ten przekłety Amerykanin podchodządo brzegu. Mężczyzna niósł dwa wędziska i kosz ze sprzętem, Sara mniejszy koszyk i koc.

Gałązka z liśćmi trzasnęła w jego zaciśniętych palcach, uciszając wiewiórki. Strzelił oczami w stronę MacDougala. Do diabła, zobacz go!

137

Lecz płynąca woda i szeleszczące liście musiały stłumić ten dźwięk. Niestety, utrudniały Adrianowi również rozróżnianie słów.

Patrzył, jak mężczyzna klęka i zaczyna składać swój sprzęt wędkarski. Sara cofnęła się, nadal ściskając koc w ramionach. Przebrała się w suknię brzoskwińowego koloru, a słomkowy kapelusz z szerokim rondem osłaniał jej twarz przed słońcem. Gdyby jej nie znał, Adrian mógłby ją wziąć za prostą wiejską dziewczynę, niewiele starszą od niego.

Z tego co widział, Sara nie była zadowolona, że jest sama z panem MacDougalem.

Dlaczego więc mu towarzyszyła?

Mężczyzna podniósł wzrok i coś powiedział do niej, i nawet ze swej ukrytej altanki Adrian dostrzegł, jak jej twarz różowieje.

Jeszcze jedna gałązka trzasnęła w jego rękach. Impertynencki drań! Co on jej powiedział? Adrian mógł się założyć, że coś nieprzyzwoitego.

Sara rzuciła koc, postawiła obok koszyk. Pogroziła temu mężczyźnie palcem, "...wstrętne propozycja..."¹, tyle usłyszał Adrian z jej odpowiedzi i zamrugał ze zdumienia. Czy ten człowiek posunął się do tego, by jej zaproponować małżeństwo?

Z pewnością nie, zdecydował. Sara była zbyt dobrze wychowana, by określić oświadczyń jako wstrętne. Czy Amerykanin mógł zaproponować coś innego?

Adrian ze świstem wciągnął powietrze.

Spiorunował wzrokiem mężczyznę, który zarzucił wędkę do rzeki, nic sobie nie robiąc ze słów Sary.

To nie miało sensu. Dlaczego Sara z własnej woli zносиła towarzystwo tego łajdaka? Jeśli nie chciała z nim rozmawiać, to dlaczego to robiła? Czy to możliwe, że obawiała się tego człowieka?

Myśli kłębiły się Adrianowi w głowie. A może ten nikczemny łajdak szantażował ją z powodu czegoś, co zrobiła? Ostatecznie jej przyjazd do Kelso był nieoczekiwany, a pan MacDougal pojawił się w tym samym czasie.

Czy przyjechał tutaj za nią?

Adrian oparł się plecami o pień drzewa i zaczął zastanawiać się nad tą możliwością. Znał się na szantażu. Jego matka uzupełniała hojny zasiłek, który dawał jej stryj Neville, podarunkami od mężczyzn, którzy czasami zaglądali późną nocą do ich domku. Podarki miały skłonić ją do milczenia, co do ich potajemnych wizyt. W zeszłym miesiącu burmistrz opłacił rachunek jej modystki, a rzeźnik dobrze zaopatrywał ich w wieprzowinę, wołowinę i baraninę.

Drgnął mu mięsień w policzku. Tak, wszystko wskazywało na to, że *ten* człowiek szantażuje Sarę. Inaczej nie znosiłaby jego obecności. Ale

138

czym ten człowiek mógł szanować taką dobrze wychowaną młodą kobietę, jak Sara Palmer?

Adrian skrzywił się, gdyż odpowiedź była oczywista. Amerykanin zapewne tym samym trzymał w szachu Sarę, czym jego matka burmistrza i rzeźnika.

Na tę myśl zamknął oczy. Nie słodką, piękną Sarę. Musieli zostać kochankami, może jeszcze w Londynie. To dlatego podczas wieczoru tanecznego ten człowiek pobił biednego Guineę na miazgę. Był o nią zazdrosny.

Czy ten łobuz chce od niej pieniędzy? A może chce ją zmusić do poślubienia go i tym sposobem zyskać całej fortuny!

Niech to diabli! Czy ten człowiek naprawdę jest taki podły?

Na skroni Adriana zaczęła pulsować żyłka. Miłość do pieniędzy jest źródłem wszelkiego zła. Kiedy pewnego razu pan Liston wygłosił o tym kazanie, Adrian drwił sobie z jego słów. Teraz dobrze rozumiał, co pastor miał na myśli.

Lecz ten perfidny Amerykanin źle ocenił sytuację, jeśli myślał, że może zastraszyć taką słodką kobietę jak Sara Palmer. Sara ma przyjaciół i wielbicieli, którzy dla niej gotowi są wszystko.

Adrian spiorunował wzrokiem Amerykanina, który walczył z rybą i ręce zacisnęły mu się w pięści. Tak, Sara ma przyjaciół, którzy dla niej zrobiliby wszystko.

Sara wpatrywała się w biedną rybę, rzucającą się na wszystkie strony, podczas gdy pan MacDougal usuwał jej haczyk z pyszczka. Umieścił ją w zanurzonej koszyku, po czym ponownie zarzucił wędkę, Sara miała ogromną ochotę uwolnić nieszczęsne stworzenie.

Lubiła jeść pstrągi, łososie i inne ryby. Lecz dzisiaj widziała w pstrągu nie wykwintny posiłek, a raczej schwytanego w pułapkę drugiego zakładnika, który ma tylko jedno wyjście: zostać zjedzonym. Pan MacDougal i jej, i pstrągowi rzucił przynętę. I mimo ich ostrożności, każde dało się złapać. A teraz muszą za to zapłacić.

To dlatego Sara, pod pozorem przyjacielskiej wyprawy na ryby, przysła z nim nad rzekę. Postanowiła zgodzić się na jego propozycję.

- To piękny kawałek rzeki - zauważył, przerzucając żyłkę ponad spokojnym nurtem. - Czy oba brzegi należą do Byrde Manor?

Spojrzała na niego gniewnie.

- Jestem pewna, iż pan już wie, że tak. Uśmiechnął się do niej przez ramię.

- To prawdziwy raj - powiedział. - Człowiek mógłby szczęśliwie spędzać dni, łowiąc ryby w tej rzece, jeżdżąc konno po tych wzgórzach i licząc czynsz.

139

- Niektórzy ludzie tak - ucięła. - Ale nie pan. Wbił w nią wzrok, odwrócił się i odłożył wędkę.

-A może ja. Wszystko zależy od ciebie. A więc... - Zrobił kilka kroków w jej stronę, po czym zatrzymał się z szeroko rozłożonymi ramionami. Wydawał się całkowicie spokojny, podczas gdy ona trzęsła się z oburzenia. - Czy masz dla mnie odpowiedź, Saro?

Tak, mam.

- Nie. - Sara wydusiła z siebie to słowo. Wybrała się tutaj, żeby się zgodzić. Lecz wstyd, że tak łatwo przysła jej ta odpowiedź, zmusił ją do zmiany zdania. Potrafiła tylko wpatrywać się w niego ze strachem, po dziwnym i z przerażającym wyczekiwaniem.

Dziś wydawał się bardziej przystojny niż kiedykolwiek. Niedbale ubrany, z rozwianymi włosami, bez kurtki

i z podwiniętymi rękawami robił na niej wrażenie. Choć potrafił nosić wytworny strój dżentelmena, to ten obraz uśmiechniętego i zadowolonego człowieka był prawdziwszy. I o wiele bardziej ją pociągał.

Lecz on nadal jest niebezpieczny. Nadal jest tym samym człowiekiem -synem Camerona Byrde'a. Jest tak samo bezlitosny jak jego ojciec.

- Zostały ci dwa dni, Saro. Ale ostrzegam cię, jeśli przysłaś dziś ze mną na ryby w nadziei, że zmienię zdanie, to tracisz czas.

Ruszył wzdłuż brzegu, po czym zatrzymał się na odległość ramienia od niej.

- A może przysłaś, żeby dać się przekonać? Czy trzeba cię uwieść, tak żebyś później mogła się pocieszać, że nie miałaś wyboru, jak tylko ulec moim żądaniom?

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć? Czy chciała, by znów ją uwiódł? Sara wzdrygnęła się na tę myśl.

- To tylko pana pobożne pragnienia - powiedziała z pogardą.
-Tym razem to nie ja będę uwodził, Saro. Jeśli chcesz ubić ze mną ten

interes, to musisz przyjść do mnie z własnej i nieprzymuszonej woli.

-Z własnej i nieprzymuszonej woli?-Roześmiała się sztucznie.-Ma pan w rękach los mojej rodziny. Przedstawia mi pan tę żenującą propozycję. A potem mówi pan, że muszę do niego przyjść z własnej i nieprzymuszonej woli? Ha! Ha!

Marsh spowaźniał.

- Wiesz, co mam na myśli.

- O, tak. Obawiam się, że wiem. Tak jak pański ojciec, znajduje pan przyjemność w gubieniu niewinnych kobiet, w niszczeniu wszystkiego, czego pan dotyka. - Strach nadał jej głosowi ostrzejszy ton. A jej słowa raniły go.

140

- To nie to samo - odparował. - Zaproponowałaś mi interes - pieniądze w zamian za mój wyjazd. Ja dodałem tylko punkt do umowy. Jeśli nie podobają ci się moje warunki, możesz je odrzucić.

-A potem co? Mam stać z boku i patrzeć, jak pan niszczy Liwie i matkę?

-Niszczysz? Nie bądź taka melodramatyczna. Co im się stanie? Wyrzucą je na ulicę, bez środków do życia i umierające z głodu? Zmuszą do służby w domach dawnych przyjaciół? - Zaciśnięte szczęki, a oczy błyszczały mu z nienawiści. - Obie mają do pomocy mężów i rodzinę. Jeśli jesteś dość bogata, by mnie spłacić, to na pewno jesteś dość bogata, by im pomóc, gdyby ich mężowie je porzucili. - Gniewnie przeciął pięścią powietrze. - Ale nie było nikogo, kto by pomógł mojej matce. Nikogo! Zniszczyła ją podłość jej męża. W przeciwieństwie do niej, twoja matka i siostra odczułyby zaledwie niewygodę.

Stał, trzęsąc się z gniewu. Od zwierzeń przeszedł do niepohamowanej wściekłości tak szybko, że Sara cofnęła się o krok. Chciała się cieszyć, że tak łatwo wyprowadziła go z równowagi. Na nieszczęście wszystko, co powiedział, było prawdą. Cokolwiek by się stało, Liwie i Augustie nigdy nie brakowałoby niczego.

Lecz inni nie byliby tak uprzejmi. A pomijając reputację matki i Liv-vie, pozostawała jeszcze kwestia osobistej urazy, jaką by odczuwały. Mimo błędów Camerona Byrde'a, Augusta wciąż go kochała, a on miał bzika na punkcie swej córeczki.

Sara stanęła naprzeciw pana MacDougata, zdecydowana z nim walczyć, bez względu na to, jak

przekonująca byłaby jego argumentacja.

~ Nie zamierzam dyskutować z panem o tym, kogo Cameron Byrde skrzywdził bardziej. Teraz powstaje pytanie, kogo pan krzywdzi teraz?

•Nikogo, jeśli przyjmiesz moje warunki.

•Och! - tupnęła nogą. - Tymi warunkami przynosi pan dumę swemu ojcu. Jestem pewna, że biłby panu brawo, gdyby tutaj był. Ale zastanawiam się - dodała ostrym tonem - czy pańska matka podziwiałaby takie zachowanie u swego ukochanego syna.

Zesztywniał, niemal jakby uderzyła go w twarz.

- Zostaw ją w spokoju.
Lecz Sara naciskała dalej.

-Czy była tak rozgoryczona życiem, do jakiego ją zmuszono, że kazałaby panu karać za to inne kobiety? Kobiety takie jak ona, łatwo ulegające kaprysom bezwzględnego mężczyzny?

•Nie porównuj się z nią! - Chwyił Sarę za ramiona i potrząsnął nią mocno. -Nie waż się mówić o niej w ten sposób. Nie o nią tutaj chodzi.

•A właśnie, że o nią!

141

Przerwał jej gwałtownym pocałunkiem, równie brutalnym, jak bolesnym. Uciszył ją uściskiem, w którym rozgniół ją o swój mocny, męski tors. Sarze zaparło dech w piersi, a wraz z nim zniknął jej opór.

Powinna z nim walczyć. Powinna go nienawidzić. Powinna się go bać. Zamiast tego przywarła do niego, tonąc w fali pożądania, pozwalając mu wyładować na sobie trzydzieści lat wściekłości.

Zachwiała się w tej burzy uczuć, jednak chwycił ją mocno, by nie mogła upaść. Sekundy mijały wśród ogłuszającego bicia ich serc.

Było coś poważnego w sposobie, w jaki wziął w posiadanie jej usta, w sposobie, w jaki otoczył stalowym ramieniem jej talię. Nie wiadomo jak, każde jej uczucie zmieniał w pożądanie.

Gniew, Strach. Nawet współczucie z powodu bólu, jaki odczuwał, stawało się pożądaniem. Popychał ją do krańców, do jakich nie zdołał jej popchnąć żaden mężczyzna.

Drugą ręką objął jej głowę, wplątując palce w jej włosy. Jego wargi poruszały się miękko, pieszcząc i jeszcze ciaśniej łącząc ich usta. Jego język sondował, żądał, kusił. A ona dawała się kusić. Oddawała pocałunki z bezwstydem, do którego nie chciała się przyznać. Coś w nim sprawiało, że czuła się szalona, lekkomyślna.

Lekkomysłna.

Odwróciła głowę na bok, łapiąc powietrze, lecz nie odsunęła się od niego. Wiedziała, że powinna, lecz nie chciała. Och, była skazana. Nie potrafiła opierać się fizycznym pragnieniom, które w niej wzbudzał.

On pierwszy przerwał ich uścisk. Spojrzał na nią gniewnie, jakby zrobiła coś niewybaczalnego.

- Znasz moje warunki - rzucił ochryplym głosem. - Pozostały ci dwa dni na odpowiedź, Saro. Dwa dni! - Odwrócił się, podniósł wędkę i sztywnym krokiem odszedł w stronę rzeki.

Sara znów się zachwiała, z jedną ręką przyciśniętą do piersi, drugą do ust. Znała już odpowiedź, lecz nie mogła wydobyć z siebie słów teraz, kiedy on znów był na nią zły. Oboje zdawali się znajdować wspólny grunt tylko wtedy, gdy poddawali się fizycznemu pociągowi, który tak palił się w ich ciałach i umysłach.

Sara wpatrywała się w jego plecy i w sztywne barki. Musiała zapanować nad sobą, złapać oddech.

Odwróciła się więc od niego i na niepewnych nogach zaczęła wspinać się po pochyłym brzegu, zmierając ku cieniowi starej wierzby. Nie widziała, jak Marsh zamyka oczy i kiwa głową nad przewrotnością swego zachowania. Nie widziała też, jak nienawiść tężeje w młodym człowieku, który skulił się między młodymi drzewami.

142

Marsh po raz pierwszy zważył w słuszność swych żądań. Adrian uroczyście ślubował zrobić wszystko, co konieczne, by ochronić Sarę przed tym Amerykaninem.

Marsh wypuścił jedyną rybę, którą złapał. Zamiast zwrócić sprzęt wędkarski z powrotem do Byrde Manor, przywiązał go do siodła, gdyż nie chciał widzieć Sary. Jeszcze nie teraz.

Oczywiście, musi jej powiedzieć. Miał czas zastanowić się nad swym odrażającym zachowaniem i postanowił przyznać jej rację. Był taki, jak jego ojciec. Tak jak Cameron Byrde, który zawiódł Mauren MacDougal, tak teraz on zawodził własną matkę.

Czuł niesmak do samego siebie. Nie był już nawet pewien, czy powinien przyjąć propozycję Sary odkupienia od niego Byrde Manor. Choć prawnie dwór należał do niego, to nie czuł do niego prawa.

Prowadząc konia, szedł brzegiem rzeki, widząc wszystko, jednak naprawdę nie widząc niczego.

Poniósł klęskę. Chciał się zemścić na człowieku, który już nie żyje. Uległ urokowi kobiety, która należała do znenawidzonej przez niego rodziny.

Lecz co za różnica? Między nimi zapłonęła iskra, piekielny ogień! Marsh wiedział, że może sprawić, by mu uległa. Jednakże stali po przeciwnych stronach. W jej oczach on zawsze będzie zagrożeniem dla jej matki i siostry. To, że była lojalna, by kupić ich bezpieczeństwo, tylko pogarszało sprawę.

Pogarszało jego samopoczucie.

Pewnie nie uwierzyłaby mu, gdyby po prostu wyjechał. Nie uwierzyłaby, że dotrzyma słowa. Zatem pozwoli jej spłacić go, jeśli nadal będzie tego chciała. Nie zaciągnie jej siłą do swego pokoju. Potem wyjedzie. Zdaje się, że nie ma wyboru.

Zatrzymał się w cieniu kołyszącej się wierzby i potarł ręką konar. Wpatrywał się w rzekę tuż pod czubkami swych butów, obserwując końce wierzbowych gałązek. Musiał przygotować się do powrotu do Ameryki. Dobrze byłoby znaleźć się w domu, powiedział sobie.

Tylko że nie będzie to już prawdziwy dom, bo nie ma matki. Oprócz niej nie miał innej rodziny - z wyjątkiem przyrodniej siostry, o której istnieniu nigdy nie wiedział.

Uczuł pustkę w piersi. Nie chciał, by Cameron Byrde miał inne dziecko, i jak tylko dowiedział się o siostrze, wcale nie chciał jej poznać. Nie

143

był pewien, czy teraz chce. Jeśli wyjedzie, zrezygnuje z tej rodziny, którą ma w Szkocji.

Zrezygnuje także z Sary.

Już stracił przeszłość - ojca, którego nigdy nie poznał, matkę, którą nie dość cenił. Teraz miał wrażenie, że traci także przyszłość.

Coś za nim zaszeleściło. Trzasnęła gałązka, jakby ktoś na nią nastąpił.

- Sara? - Odwrócił się, ogarnięty nadzieją, do której nie miał prawa. Zobaczył jednak wybuch światła i

dymu, który odrzucił go do tyłu, do lodowatej rzeki.

Gdy wszystko zamknęło się nad nim, w głowie została mu jedna myśl. Jedna twarz. Jedno imię.

Tylko jedna osoba aż tak go nienawidziła.

Sara.

19

Sara wzdrygnęła się, gdy usłyszała wystrzał. Co za głupiec poluje tak blisko Byrde Manor? I to nad rzeką, gdzie ktoś może łowić ryby?

Chwytał jąokropny strach. Strzał padł zbyt blisko Byrde Manor i zbyt blisko miejsca, gdzie zostawiła pana MacDougala. Zaczęła biec w stronę rzeki, do Marshalla MacDougala.

Za sobą słyszała wołania z Byrde Manor, krzyk pani Hamilton i zatrwożoną odpowiedź pana Hamiltona. Wiedziała, że ktoś przyjdzie zobaczyć, co się dzieje, ponieważ pan Hamilton był zarządcą ziem i nikt nie mógł polować tutaj bez jego pozwolenia. Lecz oni byli tak daleko, a ona, bez względu na to, jak szybko starała się biec, zdawała się poruszać zbyt wolno.

Wypadła z liściastych zarośli, poślizgnęła się i zatrzymała. Gdzie on jest?

Jej niepokój wzrósł.

- Marsh? Marsh! - Rozpaczliwie przeszukiwała oczami górę i dół rzeki.

Wołając go, pod wpływem impulsu zwróciła się w dół nurtu, w stronę Kelso. Lecz nie było odpowiedzi i z każdym krokiem narastała w niej panika. Coś było nie w porządku!

Po czym dostrzegła coś w rzece.

Marsh!

Boże drogi? Czy ktoś go postrzelił?

144

Bez namysłu skoczyła do rzeki. Tak jak przedtem, poruszała się nie dość szybko, spowalniana jeszcze przez przemoczone spódnice. Właśnie gdy ciało podryfowało ku środkowi nurtu, rzuciła się do przodu i chwyciła go za stopę. Jakoś przedostała się do jego głowy i z wysiłkiem przewróciła go na plecy.

Oddycha?

Stała w sięgającej bioder wodzie, w tym samym miejscu, gdzie Olivia uczyła ją pływać.

- Marsh? Panie MacDougal? - Serce tłuło jej się w piersi. Nie żyje? Proszę, Boże, nie.

Musiała przenieść go na brzeg.

Powoli, szukając oparcia dla stóp, Sara posuwała się ku brzegowi, unosząc go na wodzie, starając się utrzymać jego głowę nad powierzchnią. Poślizgnęła się i upadła - lecz woda była tutaj płytsza.

Kiedy pan Hamilton i jeden z chłopców stajennych ją znalazł i, ciągle siedziała w wodzie, tuląc go w ramionach.

•Myślę, że ktoś go postrzelił. - Łkała i nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. - Wpadł do rzeki i tonął. Myślę, że ktoś go postrzelił- powtarzała w kółko. - Myślę, że ktoś go postrzelił.

•Któż zrobiłby coś takiego?! - wykrzyknął pan Hamilton, brnąc przez wodę. - Pomóż mi, chłopcze. Pomóż

mi!

- Czy on nie żyje? - Chłopak cofnął się i głos mu zadrżał.
Sara spojrzała na niego gniewnie.

-Nie!

Razem wyciągnęli bezwładnego Marsha na brzeg; po czym, kiedy pan Hamilton, dysząc ciężko, padł, chłopak pobiegł do domu po pomoc.

- Marsh? Panie MacDougal? - Przetoczyła go na bok, mając nadzieję, że woda, którą wciągnął, wypłynie z jego ust. Choć szukała rany od kuli, wiedziała, że musi zmusić go do oddychania. Uklękła przy nim i otwartą dłonią zaczęła walić go w plecy.

- Oddychaj - powtarzała pomiędzy uderzeniami. - Oddychaj!
Jęknął i zaczął kaszleć, a woda trysnęła mu z ust.

- Oddychaj! - Wciąż pochylała się nad nim, sama ciężko dysząc. Do piero wtedy zauważyła plamę krwi na jego rękawie.

Rzeczywiście został postrzelony!

Szukając rany, starała się być delikatna. On mimo to krzywił się i jęczał, po czym zaklął cicho.

- Do diabła! To boli!

Był przytomny! Sara doznała takiej ulgi, że nie miała mu za złe przekleństwa. Pochyliła się nad nim.

10 - Nieodparty i nieznośny

145

- Marshallu MacDougal! Słyszysz mnie pan?

Znów zakaszłał, przewrócił się na plecy, tak że jego twarz znalazła się o kilka centymetrów od jej twarzy.

•Słyszę. Co się, do wszystkich diabłów, stało? - Zdrową ręką sięgnął do zranionego ramienia. - Łajdak!

•Usłyszeliśmy wystrzał. Myślę... że został pan postrzelony.

Jego oczy spotkały się z jej oczami. W oddali usłyszała wołających do nich ludzi, którzy nadchodzili z pomocą. 1 usłyszała krzyk pana Hamiltona. Lecz słowa, które pozostały w niej - słowa, które zmroziły ją do kości - to były słowa, które wymruczał pan MacDougal.

- Tak, zostałem postrzelony. - Zakaszał i jęknął. - I przychodzi mi na myśl tylko jedna osoba, która byłaby szczęśliwa, gdybym umarł.

Dopiero wtedy odwrócił wzrok. Odepchnął się zdrowym ramieniem, krzywiąc się z bólu i ciągle walcząc o oddech. Pan Hamilton ukląkł obok nich.

-Nie próbuj wstawać, chłopcze. Sprowadziłem pomoc.

Sara przysiadła na piętach. Dobrze, że pan Hamilton nie usłyszał tego okropnego oskarżenia. Jednak jej spojrzenie nadal szukało oczu pana MacDougala. Czy on naprawdę w to wierzył? Podejrzanie, jakie zobaczyła w jego ciemnych oczach, dotknęło ją do żywego.

Naraz brzeg rzeki zaroił się od ludzi. Ogrodnik, dwóch robotników polowych, lokaj Fleming, kucharka i nawet pani Hamilton, wszyscy przybiegli zobaczyć, co się stało.

•Dobry Panie! Co się stało?

•Utopił się?

•Ktoś go postrzelił!

•Gdzie jest pan ranny? - To była pani Hamilton, dysząca od nadzwyczajnej aktywności, mimo to spokojna i rozsądna jak zawsze. - Odsuń się, kucharko. Niech zobaczą. Gdzie jest rana?

Ku uldze Sary pani Hamilton wzięła sprawy w swoje ręce. Sama drżała zbyt mocno, by komuś pomagać. Lecz to nie chłód wprawiał ją w drzenie. Raczej zdarzenie z ostatnich kilku minut. Była przerażona i wściekła.

Pani Hamilton zdjęła panu MacDougalowi kurtkę i oderwała rękaw, by zbadać jego ranne ramię.

- Okazuje się, że to rana mięśnia. Kula przeszła na wylot. - Owiązała mu ramię rękawem jego kurtki. Mimo protestów pana MacDougala, ogrodnik i Fleming pomogli mu wstać. Po czym, podtrzymując go między sobą, ruszyli do dwukółki, którą sprowadził jeden z chłopców.

Dopiero wtedy Sara wstała z kolan. Jednak nogi drżały jej tak gwałtownie, że się zachwiała. Obawiała się, że mogłaby upaść, gdyby pani Hamilton nie odwróciła się i nie chwyciła jej za ramię.

146

•Kochana dziewczyna! Proszę, siadaj. Posiedź jeszcze chwilę. Przeżyłaś okropny wstrząs.

•Nie. Nic mi nie jest. Tylko... jestem trochę zdenerwowana.

•Nie dziwię się. - Stara kobieta otoczyła ramieniem jej talię, a Sara z wdzięcznością oparła się o nią. — Och, i przemokłaś do nitki, dziecko. -Pani Hamilton ścisnęła ją jeszcze mocniej. - Uratowałaś go, Saro. Gdybyś nie skoczyła do rzeki, to kto wie, czy pan MacDougal by nie utonął? Ale kto mógł go postrzelić?

Było to pytanie, nad którym również Marsh rozmyślał w łóżku, w jednym z pokojów w Byrde Manor. Pod sprawnym nadzorem surowej ochmistrzyni został rozebrany z mokrego ubrania, umyty, wysuszony, opatrzony, zabandażowany i ubrany w koszulę nocną.

Podczas tych zabiegów to samo pytanie błąkało mu się po głowie. Kto go postrzelił?

Nie był pewien, czy to Sara. To ona przybiegła mu na ratunek i wyciągnęła go z rzeki, potem podtrzymywała mu głowę, aż nadeszła pomoc. Pani Hamilton opowiedziała mu wszystko ze szczegółami.

Oczywiście pani Hamilton mogła kłamać albo przesadzać. Była przecież lojalną służącą rodziny.

Musiał poznać prawdę i musiał usłyszeć ją od Sary.

-Chciałbym pomówić z panną Palmer - powiedział, unosząc się i spuszcżając nogi z łóżka.

•Powiem jej. - Pani Hamilton podała mu łyżkę mikstury o wstrętnym zapachu. - Proszę to wypić! I wejść pod okrycia.

•Muszę ją wiedzieć teraz.

- A ja powiedziałam, że jej powiem.

-Tak, ale...

- Jeśli musi pan wiedzieć, Sara bierze kąpiel. Doznała wstrząsu. Ale zrobiła to, co musiała. - Kobieta spojrzała na niego surowo. - Uratowała panu życie. Wie pan o tym, prawda?

Zmarszczył brwi.

- Wiem.

Przyglądała mu się jeszcze chwilę, po czym skinęła głową.

- Powiem jej, że pyta pan o nią. Tymczasem proszę to wypić.

-Co to jest?

- To specjalny lek. Sama go robię. Przyspiesza zdrowienie - dodała, kiedy się zawałał.

W końcu wypił miksturę i niemal się udławił.

- Boże wszechmogący! Lekarstwo gorsze od choroby.

147

- Co to za gadanie u takiego byczka jak pan? Niech się pan uciszy i położy. Pójdę zobaczyć, czy panna Sara jest gotowa odwiedzić pana.

Marsh rozparł się na poduszkach. Raczej nie mógł krążyć po domu odziany tylko w koszulę nocną.

•Gdzie jest moje ubranie? - zapytał, zanim ochmistrzyni zamknęła drzwi.

•Pańska kurtka i koszula zostały zniszczone. Reszta się pierze. Posłałam człowieka do gospody, żeby pański człowiek przyniósł trochę rzeczy. Szeryf również został wezwany.

•Szeryf?

•Ktoś pana postrzelił, młody człowieku. Przecież nie możemy pozwolić komuś takiemu włóczyć się po okolicy, prawda?

Zanim szeryf i Duffy Erskine przybyli, Marshowi zamykały się oczy. Nie, nie widział napastnika.

Nie, nie ma pojęcia, kto chciałby go skrzywdzić. Pominąwszy Sarę Palmer i każdego w jej rodzinie.

- Stracił sporo krwi - usłyszał głos pani Hamilton. - Co więcej, dałam biednemu młodzieńcowi coś, co pozwoli mu odpocząć. Jutro poczuje się lepiej. Wtedy będziecie mogli z nim porozmawiać!

Gdy wszyscy wyszli, wtedy zadał najważniejsze pytanie.

- Gdzie jest Sara? - powtórzył, choć język miał sztywny, a głos niewyrażny.

Pani Hamilton z zainteresowaniem uniosła siwe brwi.

- Sara, co? Hm. Sądzę, że wkrótce nadejdzie, młodzieńcze. Tymczasem niech pan odpoczywa.

Gdy tylko znów opadł na poduszki, pani Hamilton pokręciła głową i powoli ruszyła przez hol do alkierza Sary. Niepokoiła ją ta sytuacja. W domu nic nie zostało zrobione, odkąd rozległ się ten wystrzał. Pan Hamilton odkorkował świeży dzban whisky, by ukoić nerwy i podawał ją wokół, by ukoić także nerwy pozostałych ludzi. Kolacja nie była przygotowana i stara służąca wcale o to nie dbała.

Najbardziej martwiło ochmistrzynię milczenie Sary i jej odmowa odwiedzenia pana MacDougala. Pani Hamilton przekazała jej wiadomość od tego człowieka, lecz Sara tylko się odwróciła.

Pani Hamilton przystanąła przed jej drzwiami i potarła bolące miejsce w krzyżu. Co działo się między tym dwojgiem? Myślała, że wie, lecz teraz nie była taka pewna. I kto postrzelił pana MacDougala?

Zapukała do drzwi Sary i weszła, nie czekając na odpowiedź. Sara siedziała przy słabym ogniu, czesząc mokre włosy. Z rozpuszczonymi włosami, ubrana w blad różowy szlafrok z koronką przy kołnierzu i mankie-

148

tach wyglądała niemal tak młodo jak wtedy, kiedy pierwszy raz przybyła do Byrde Manor. Ledwie dwunastoletnia, słodka, jednak pełna życia, miała prawdziwy talent do pakowania się w tarapaty.

A teraz ta strzelanina...

Pani Hamilton wzięła się pod boki.

-To staje się zbyt niebezpieczne, Saro. Najwyższy czas, żebyś napisała do Liwie i Neville'a i powiadomiła ich, co właściwie się tutaj dzieje.

Sara pogrążona była w swych mrocznych myślach, lecz na oświadczenie starej kobiety odwróciła się gwałtownie.

-Nie. Jeszcze nie.

•To wymknęło ci się z rąk, dziecko. Nie widzisz tego?

•Nie. - Sara wstała. - Wmieszanie Liwie i Neville'a nic nie pomoże. Proszę, pani Hamilton. - Ujęła kobietę za rękę. - Nie wiem, kto postrzelił pana MacDougala, ale wiem, że on i ja w końcu zawarliśmy porozumienie.

•Porozumienie? Chcesz powiedzieć, że on zrezygnuje z dowiedzenia swych praw do Byrde Manor?

Sara odwróciła wzrok od czujnego spojrzenia służącej. Będzie musiała powiedzieć pani Hamilton prawdę o pierwszym małżeństwie Camerona Byrde'a z matką Marshalla MacDougala i o swej propozycji kupienia milczenia pana MacDougala.

Podniosła wzrok na lojalną służącą jej matki.

- Nie byłam całkiem szczerą, kiedy powiedziałam pani, że on niczego się nie dowiedział w Dumfries.

Pani Hamilton wysłuchiwała wszystkiego i trochę zbladła. -1 tak - zakończyła Sara -zgodził się przyjąć ode mnie równowartość Byrde Manor. Kobieta pokręciła głową.

•Ten Cameron Byrde. Co za drań! Sądzę, że mamy wielki dług wobec pana MacDougala za to, że zgodził się nie zhańbić Liwie i Augusty. Ale, Saro, to tak dużo pieniędzy!

•Tak. Ale jakież może być lepszy użytek z moich pieniędzy niż chronienie mojej siostry i matki? Mam aż za dużo pieniędzy, i tylko jedną rodzinę.

Pani Hamilton westchnęła.

•Dobrze powiedziane, dziecko. Dobrze powiedziane, ł powiadasz, że się zgodził?

•Tak. Tam... tam nad rzeką omawialiśmy szczegóły naszego porozumienia. Wie pani, jak przekazać fundusze i tak dalej. Ruszyłam z powrotem do domu, a on wrócił do łowienia ryb, kiedy usłyszałam strzał.

Pani Hamilton zadrżała, po czym wzięła Sarę w miążdzące objęcia.

149

•Dzięki Bogu, że już cię tam nie było. Równie dobrze mogli cię postrzelić.

•Tak - mruknęła Sara. Bała się, że ktoś umyślnie postrzelił pana Mac-Dougala, że ktokolwiek to był, poczekał, aż ona odejdzie. Lecz kto chciałby zrobić coś takiego? Nikt w Kelso nie miał powodu go skrzywdzić.

Z wyjątkiem pana Guinei. Ale było to mało prawdopodobne. Czy to możliwe, by ktoś inny przyjechał tutaj za MacDougalem? Ktoś z jego przeszłości, kto miał do niego urazę?

- On pyta o ciebie - powiedziała pani Hamilton, gdy wreszcie puściła Sarę. - Pewnie chce ci podziękować za to, że wyciągnęłaś go z rzeki.

Sara wiedziała, że musi stanąć z nim twarzą w twarz, lecz myśl o jego strasliwym oskarżeniu obezwładniała ją. Gdyby to był inny mężczyzna, byłaby oburzona takim niedorzecznym podejrzeniem. Myśl, że uważają za morderczynię, była miazdząca. Wiedziała, że musi go przekonać do siebie, ale nie była do tego gotowa.

•Zobaczę się z nim później.

•Lepiej zaczekaj do jutra. To jego ramię będzie go rwało całą noc. Dałam mu dawkę laudanum i miętowej herbaty z miodem, żeby mógł szybko zasnąć. Sen sprzyja zdrowieniu, czyż nie? No, chodź — dodała, prowadząc Sarę do drzwi. - Zejdziemy do kuchni i coś zjemy.

Sara jadła, gdyż był to jedyny sposób na uspokojenie pani Hamilton. Lecz po zjedzeniu pół miski duszonej baraniny i kawałka chleba z masłem przeprosiła i wróciła do swego alkierza. Przysunęła krzesło do okna, usiadła z książką na kolanach, patrząc na zachodzące słońce. Zmierzch ociągał się, co było typowe dla wiosny w północnych krajach. Jedna po drugiej pojawiały się gwiazdy, cicho rozsypując się po niebiosach i w pewnej chwili Sara zasnęła.

Tak znalazł ją Marsh.

Obudził się półprzytomny i zdezorientowany w łóżku, którego nie rozpoznał. Jednak zmiana pozycji i przenikliwy ból sprawiły, że wszystko sobie przypomniał. Swoje starcie z Sarą nad rzeką; jej odejście; huk wystrzału.

Gdy patrzył na nią teraz, trudno mu było uwierzyć, że ona miała coś wspólnego z tym strzałem. Stał w otwartych drzwiach jej alkierza i po prostu wpatrywał się w nią. Osunęła się na krzesło przy oknie i spała. Lampa zaczęła się dopalać, lecz wystarczyło jej mizernego światła, by oświetlić Sarę.

Włosy spłynęły jej na ramiona i piersi.

Jej gęste rzęsy tworzyły na białych policzkach niewinne cienie w kształcie półksiężyca. Jej usta, przeciwnie, kusiły go każdym różowym kapryśnym wygięciem.

150

Mimo bólu w ramieniu, wątpliwości w głowie i utrzymujących się skutków laudanum poczuł wyraźny przypływ pożądania. Jeśli kiedykolwiek pociągała go kobieta, to była nią Sara. Jedyna kobieta, od której powinien uciec, a przy której chciałby trwać. Nawet teraz, kiedy nie był pewien, czy ona jest przyjacielem, czy wrogiem, pozostawała jedyną kobietą, dla której skłonny był zmienić wszystkie plany.

Tylko że nie mógł jej mieć, szczególnie w sposób, jaki okrutnie jej zaproponował.

Boże, cóż z niego za odrażający drań! Każdy mężczyzna, który zaproponowałby coś tak plugawego, zasługiwał na to, by go zastrzelić.

Wszystko, co mógł teraz zrobić, to zgodzić się na jej pierwotną propozycję. Pozwolić jej wykupić wolność jej rodziny od groźby, jaką im przedstawił. Ze względu na swą matkę - lecz przede wszystkim ze względu na Sarę - wiedział teraz, że musi dać jej tę wolność.

Musi opuścić Szkocję na zawsze. Ukłękł przed nią i położył zdrową rękę na jej kolanie.

- Saro. Saro?

Poruszyła się, zaczęła się wiercić na krześle i lekki grymas zachmurzył jej pogodny rys.

•Odejdź. Po prostu odejdź... - wymamrotała i urwała.

•Pójdę sobie. Jak tylko sfinalizujemy nasze porozumienie. - Potrząsnął jej kolanem, nieznośnie świadomy ciepła i jędrności jej ciała. Niechętnie cofnął rękę. - Saro, obudź się. Musimy porozmawiać.

Choć jej oczy pozostały zamknięte, uśmiechnęła się lekkim wygięciem ust, które sprawiło, że krew napłynęła mu do łędźwi. To był piękny, szczerzy uśmiech. Po czym otworzyła oczy i przez chwilę spoglądała na niego.

•Pan MacDougal.

•Marsh. Chcę, żebyś nazywała mnie Marshem.

•Marsh - powtórzyła, wciąż się uśmiechając.

Przysunął się, po czym skrzywił, czując ból w ramieniu. Jej uśmiech natychmiast zaczął blednąć. Jej oczy przejaśniły się, a on uświadomił sobie, że ona śniła. Kiedy się uśmiechnęła i wypowiedziała jego imię, nie była całkiem przebudzona.

Lecz teraz była. Usiadła prosto na krześle, mrugając oczami.

•Nie postrzeliłam pana. Jakże chciał w to uwierzyć!

•Nie wynajęłam też nikogo, żeby to zrobić.

Usiadł na piętach i starał się nie zauważać jej splątanych przez sen włosów i cienkiego, przylegającego szlafroka, który rozchylił się na biuście.

- Czy wiesz, kto to zrobił?

151

Pokręciła głową.

- Nie. Co pan robi tutaj, w moim pokoju w środku nocy?
Wstał.

-Nie przyszedł do mnie.

- Nie bez powodu - odparła.
Pochylił głowę, godząc się z tym.

- Moje oskarżenie było pochopne.
Uniosła wyniosłe podbródek.

•Gdybym chciała, żeby pan zginął, nie skoczyłabym do rzeki, by pana ratować.

•Chyba że twoje sumienie wygrało z wściekłością - warknął, sprowokowany jej arogancką postawą. Choć tak niedbale odziana, skulona na tym krześle jak dziecko, to jednak potrafiła wzbudzić w nim poczucie, że jest prostakiem.

•Ma pan czelność mówić mi o sumieniu?

•Nie przyszedłem sprzeczać się z tobą. - Pochylił się nad nią, kładąc zdrową rękę na oparciu krzesła i skutecznie więżąc ją na nim.

•Więc po co pan przyszedł?

Dzieliły ich ledwie centy metry, jej twarz zwrócona była ku niemu, jej oczy walczyły z jego oczami. Przyszedł dowiedzieć się, czy to ona go postrzeliła i dlaczego go uratowała. Lecz przede wszystkim przyszedł dowiedzieć się, czy może mu wybaczyć wstrętne żądanie, jakie jej postawił. Przyszedł uzyskać odpowiedzi na wszystkie te pytania - i na żadne, uświadomił sobie z nagłą jasnością.

W istocie przyszedł tylko dlatego, że musiał. Wszystko, co ciągnęło ich ku sobie, było niewłaściwe. Wiedział o tym. Mimo to było zbyt silne, by się opierać.

Więc pochylał się niżej, coraz niżej, aż jej ręka uniosła się i dotknęła jego piersi. Serce biło mu tak gwałtownie, iż był pewien, że ona je słyszy, gdyż nigdy w życiu tak bardzo nie podnieciła go kobieta.

- Przyszedłem po to - powiedział, zbliżając twarz do jej twarzy. - Przyszedłem po ciebie.

20

/~) ara wpatrywała się zdumiona w pana MacDougala, który dla niej był po prostu Marshalllem.

152

Czuła na policzku jego ciepły oddech i czuła jego serce, bijące mocno pod jej ręką. Jej serce biło tak zaciekle, jakby przebiegła całą drogę z Kelso.

On zamierzał ją pocałować.

Zamknęła oczy, gdyż wszelkie myśli o oporze umknęły. On zamierzał ją pocałować, a ona wiedziała, że musi mu oddać pocałunek. Sama jego bliskość, samo oczekiwanie, położenie dłoni na jego odkrytej cienką tkaniną piersi wystarczyły, by znikły resztki rozsądku, jakie jeszcze posiadała.

Mogła go odsunąć lub odwrócić twarz - a nawet krzyknąć ze strachu.

Lecz oczywiście nie zrobiła tego. Była wystarczająco lekkomyślna, by chcieć pocałować Marshalla MacDougala i niech diabli wezmą konsekwencje.

Jej wargi przywarły do jego warg, gdy w końcu dotknął jej ust. Jej oddech zmieszał się z jego oddechem. Nawet bicie ich serc, tak szybkie i gorączkowe, zdawało się znajdować wspólny szalony rytm.

Gdy odsunął się od niej, Sara wydała słaby, wymowny jęk i jej palce zacisnęły się na starym jedwabiu jego szlafroka.

Wymruczał coś. Zabrzmiało to przy jej ustach jak "tak". Jeśli powiedział coś więcej, ona nie usłyszała tych słów, gdyż chciała go pocałować. A on przyjął jej pocałunek.

Wszelkie wahanie z jego strony także znikło, gdyż tym razem jej głowę przycisnął do oparcia. Uczucia wylały się z nich swobodnym strumieniem. Jego ręka zaplątała się w jej włosy. Jego usta rozchyliły się; jego język sondował; a ona całkowicie otworzyła się przed nim.

On jakimś sposobem zmienił ich pozycję i posadził ją sobie na kolanach. Ona chciała mu się oddać bez reszty.

Jej ramiona owinięte wokół jego szyi; jej nogi przerzucone przez poręcz krzesła; i jej pośladki nieprzystojnie wtulone w jego twarde uda i jeszcze twardszą męskość.

Czuła straszliwe pragnienie, by dowiedzieć się więcej o jego ciele.

Wydał z siebie gardłowy pomruk i natarł na jej pośladki. Po czym poczuła, jak jego ręka prześlizguje się po jej boku, od talii aż do lewej piersi.

Chcicie wciągnęła powietrze. Marsh, jakby obawiał się, że ona zamierza wypowiedzieć jakiś sprzeciw, szybko znów przywarł do jej ust, tym razem wnikając głębiej, wsuwając i wysuwając język, pieszcząc wrażliwe wnętrze jej warg, doprowadzając ją do szaleństwa. Po czym objął

153

dłonią jej pierś, ważąc jej ciężar, i kciukiem przesunął po naprężonym sutku.

Myślała, że umrze z rozkoszy.

Musiał wiedzieć, jak bardzo na nią działa ten prosty ruch, gdyż nie przerywał cudownej pieszczoty, aż zaczęła się skręcać z bezprzytomnej namiętności. Używał warg i języka, by sprawić rozkosz jej ustom, a dłoni, by sprawić przyjemność jej piersi.

Jednak to znacznie niżej, w dolnej części jej brzucha i w ciepłym trójkącie między nogami skupiła się największa część jej przyjemności. Wszystko, co robił, czyniło ją tam gorętszą i wilgotniejszą. Każde dotknięcie, każdy ruch, każdy oddech, który z nią dzielił, rozpałały piekło w jej brzuchu. I pamiętała jeszcze, jaki wybuch potrafił wyzwolić u niej tam, w dole.

Zadrżała z niecierpliwego wyczekiwania - w strachu i tęsknocie. Teraz nie może się zatrzymać. Czyż się nie zgodziła na warunki jego umowy?

Uniosła się pod dotykiem jego ręki, niemal mdlejąc, gdy poczuła, jak jego ciepła dłoń zatacza erotyczny krąg, spłaszczając jej pierś i każąc jej mocniej przytulić się do niego.

Nocne powietrze aż gotowało się między nimi. Było jej za gorąco we własnej skórze. Jego kciuk znów musnął jej sterzący sutek i Sara jęknęła w rozkosznej męce. Oszołomiona ogromną przyjemnością odchyliła głowę do tyłu.

-Marsh...

- Jestem tutaj - wymruczał, przesuwał ustami po jej szyi, całując, gryząc, pożerając ją całą. Jego ręka rozchyliła rozpięte już wycięcie przy szyi jej szlafroka i Sara poczuła jego dłoń przesuwaną się najpierw po jednej, potem po drugiej nagiej piersi. Żadnego miękkiego muślinu do ochrony jej skóry przed jego skórą. Żadnej śliskiej tkaniny, która łagodziłaby drapanie jego kciuka po jej naprężonym, bolącym sutku.

- Jestem tutaj — powtórzył. Po czym przechylił ją jeszcze bardziej nad poręczą krzesła i przywarł ustami do jej piersi.

Jej ramiona zsunęły się z jego szyi i zacisnęły na ramionach.

- Marsh!

Okrzyk ten był błaganiem, i on zdawał się to rozumieć. Szerzej rozchylił szlafrok i objął dłońmi obie jej piersi. Przenosił usta z jednej na drugą, ssąc, gryząc i ściskając, aż zaczęła drzeć pod nim, roztopiać się, oddana mu całkowicie. Należała do niego, a on o tym wiedział.

Znał także wrażliwość sekretnych części jej ciała, które ona przecierała ręcznikiem, lecz przy których nigdy nie zatrzymała się dłużej. Lecz on

154

się przy nich zatrzymywał. Przy jej piersiach i uszach, przy zagłębieniu jej szyi; wgłębieniu wzdłuż obojczyka. Jego usta i palce zatrzymywały się przy każdym z tych sekretnych miejsc.

Jednak nie zauważał miejsca, które najbardziej błagało o jego uwagę. Choć wierciła się i ocierała pośladkami o jego sztywną męskość, jego ręce nigdy nie zeszły w dół, w roztopiające się gorąco między jej nogami.

Czy on nie wiedział, co robi? Czy nie widział, jak ona pragnie, by ją pieścił jak przedtem? W desperacji

jej palce przemknęły po brzuchu do tego bolącego miejsca między nogami.

Lecz on chwycił jej rękę.

- Sara - wydyszał jej imię.

Otworzyła oczy i napotkała jego ciemne, badawcze spojrzenie. Choć siedziała przerzucona przez jego kolana, w rozchylonym szlafroku, ukazując mu każdą część ciała, to nie własna nagość niepokoiła ją najbardziej. Raczej powaga jego spojrzenia. Jego dłoń objęła jej dłoń, wplatając palce między jej palce, otwierając jej dłoń dla swych ust, i podczas gdy ona patrzyła — a ich oczy pozostawały w najbardziej intymnym związku - zaczął całować środek jej dłoni.

Przycisnął usta do jej otwartej ręki, jego język zatoczył tam powolne, gorące koło, a ona wybuchła tak jak tamtej nocy w powozie.

Było to przerażające i cudowne, i nawet bardziej intensywne, ponieważ on śledził każdą jej reakcję. Choć chciała zamknąć oczy i schować się przed nim, to nie była zdolna tego zrobić. Jej ciało zeszywniało, przebiegło przez nie drżenie; jej skóra wydawała się cała drgać; a on patrzył i widział to wszystko.

Dopiero gdy drżenie ustało, a jej ciało stało się bezwładne, uwolnił jej rękę - i oderwał od niej spojrzenie.

Lecz to nie był koniec, gdyż jego ręce zaczęły się przesuwac po niej, od kolan i ud przez brzuch, po bokach, potem po jej ramionach, jeszcze raz do szyi.

- Zbyt długo mnie torturowałaś - wymruczał. - Zbyt długo. - Po czym wsunawszy jedną rękę pod jej kolana, drugą przełożył wszy przez jej plecy, podniósł się i poniosł ją do łóżka.

Przywarła do niego. Przypomniała sobie o jego rannym ramieniu, gdy kładąc ją na łóżko, jęknął.

- Twoje ramię! Och, Marsh, zapomniałam. Czy cię boli?

Opadł na atłasową kapę, wyciągając się obok niej.

-Cierpię męki.

-Och, nie! -Mimo bezwładu, w którym jeszcze trwała po tym intymnym wybuchu, podniosła się na kolana. - Jak mogę ci pomóc?

155

- Rozchyl mój szlafrok.

Zaczęła rozwiązywać jego szlafrok, rozchyliła go i zaczęła delikatnie ściągać z jego ramion, aż zobaczyła obandażowane ramię. Przynajmniej rana nie krwawiła.

- Po prostu spróbuj się odprężyć - wymruczała.

-Nie mogę.

Sara przygryzła wargę.

- Co mogę zrobić?

-Rozsuń dół mojego szlafroka.

Jej spojrzenie powróciło do jego twarzy, po to tylko, by spalił je żar w jego oczach.

•Rozsuń go - powtórzył.

•Ale... ale twoje ramię.

•To nie ono mnie boli, Saro. Rozsuń szlafrok. - Jego pierś unosiła się i opadała z każdym oddechem. — Rozsuń go i ukój mój ból.

Ukoić jego ból. Sara oblała się ciemnym rumieńcem, gdy wreszcie zrozumiała. Ukłękła nad nim w rozchylonym szlafroku. Jej ciało wciąż wibrowało od przyjemności, którą jej dał. Teraz kolej na nią.

Powoli, drżącymi rękoma rozsunęła poły jego szlafroka. Po czym patrzyła na potężną męskość, która na nią czekała.

Z wahaniem wyciągnęła rękę i dotknęła jej koniuszkami palców. Przeniosła wzrok na jego twarz. Zamknął oczy i wyglądał, jakby znalazł się gdzieś między absolutną przyjemnością a nieznośnym bólem.

Impulsywnie mruknęła:

-Spójrz na mnie.

Kiedy spojrzał, znów go dotknęła i znów. Postępując od czubków palców i kciuka, doszła do pieszczoty całą ręką. I przez cały czas wpatrywała się w jego czarne oczy.

Choć nigdy czegoś takiego nie robiła, Sara jakimś sposobem wyczuła, kiedy on znalazł się na granicy wytrzymałości. Poczuła, że sama znów znalazła się bardzo blisko niej.

Chwyliła twardy, gorący, niewiarygodnie jedwabisty trzon jego męskości, chcąc zobaczyć resztę, zobaczyć, jak on wybucha.

Lecz on miał inne plany. Zdrową ręką chwycił jąza nadgarstek i szybko przewrócił na łóżko.

- Nie tym razem - mruknął, kładąc się na niej. Stłumił jej protest na głym pocałunkiem.

Jego udo rozsunęło jej uda i poczuła jego sztywne gorąco naciskające władczo na jej brzuch. Znowu była tak podniecona jak przedtem, wilgot-

156

na i spragniona tego jedyne go intymnego aktu, wokół którego, jak dotąd, tańczyli. Chciała poczuć go w sobie. Chciała poczuć wszystko.

Otoczyła ramionami jego szyję i nagle wygięła się pod nim w łuk. Po chwili jego drugie udo rozsunęło szerzej jej nogi i poczuła, jak on przesuwają się niżej. Dumny czubek jego męskości ześlizgnął się po bolącym punkcie jej pożądania do miejsca poniżej, które pulsowało pragnieniem.

Oparł się na łokciu, przerywając pocałunek.

- To może trochę zabołec - ostrzegł, patrząc na nią.
- Nie boję się- szepnęła, napotyka jąć jego spojrzenie.

Nie odrywając od niej wzroku, wchodził w nią, za każdym pchnięciem trochę głębiej. Każde pchnięcie rozniecało ogień, który palił jej ciało. Wbijał się, dotykając jej mocniej, wypełniając ją głębiej, aż jedynym potężnym ruchem sforsował barierę jej dziewictwa.

Ostatni ruch naprawdę ją zabolął, ale żałowała tego tylko krótką chwilę.

Wciągnęła powietrze, po czym wypuściła, kiedy on naprężył w niej swą męskość.

- Ojej.

Uśmiechnął się, po czym zaczął się wycofywać.

-Nie. Zaczekaj...

Wsunął się z powrotem.

Jej oczy jeszcze się rozszerzyły.

-Ojej.

- Ojej - powtórzył jak echo, z szerokim uśmiechem. Po czym podjął rytm wsuwania i wysuwania się, w który ona szybko się włączyła. To było jak taniec. On prowadził, a ona podążała za nim.

Poruszali się, jak doskonała para tancerzy. Jedno się unosiło, drugie wychodziło na spotkanie. Opadali, kołysali się i pędzili wyżej i szybciej. W rytm jakiejś nieziemskiej muzyki: melodia wzywała ich, a oni odpowiadali. Tańczyli swego nocnego walca na prześcieradłach, w cieniach jej pokoju, aż rytm stał się zbyt gorączkowy, zbyt gwałtowny, aż Sara mogła tylko trzymać się go i ponaglać.

Po czym nastąpił wybuch.

Wykrzyknęła, a on uciszył ten krzyk tak silnym pocałunkiem, że ogłuchła na wszystko oprócz niego i jego okrzyk fizycznego wyzwolenia. Ona eksplodowała; on eksplodował; i wybuch trwał i trwał. Był jedną, nieskończoną chwilą kapitulacji i triumfu.

Potem upadli, a ich ciała połączone były na zawsze. Sara była pewna, że już nigdy się nie poruszy. Pochłonęła ją wielka fala bezwładu, zmęczenia, spełnienia i zadowolenia. A wszystko za sprawą tego mężczyzny, tak ciepłego i ciężkiego w jej ramionach.

157

Uśmiechnęła się w ciemność, zadowolona z siebie, po czym westchnęła, kiedy on przewrócił się na bok, nie wypuszczając jej z objęć. Choć jakaś część niej wiedziała, że powinna tego żałować, teraz nie chciała o tym myśleć. Jak mogłaby kiedykolwiek żałować takich potężnych uczuć? W tej doskonałej chwili była pewna, że nigdy nie pożałuje.

Cały był obolały i nigdy nie czuł się tak dobrze.

Marsh przesunął się, wzdrygając od rozdzierającego bólu w ramieniu. Obok niego miękkie, pachnące ciało kobiety także się poruszyło, a ich nagie ciała lepiły się w ciepłej pościeli.

Jeszcze przez chwilę upajał się intymnym dotykiem jej nagiej skóry, po czym westchnął.

Prawdę o swej sytuacji odczuł jak mocny policzek i jego zadowolenie raptownie znikło. Odwrócił głowę na bok i zapatrzył się w uśpioną twarz Sary. Szczegóły wczorajszego dnia - i ostatniej nocy - nagle powróciły.

Bolało go ramię, ponieważ został postrzelony.

Był cały obolały, bo uprawiał dziką miłość z Sarą. Ona była jego wrogiem i najrozkoszniejszą, najwrażliwszą kochanką, jaką kiedykolwiek miał.

Czy to ona go postrzeliła lub kazała postrzelić?

Odsunął się od niej, tłumiąc jęk bólu. Dziwne, nie czuł żadnego bólu, gdy się kochali. Lecz teraz ramię piekielnie go rwało.

Słusznie postanowił, że nie będzie obstawał przy swoim żądaniu. Mimo to, przy pierwszej sposobności bezwzględnie wykorzystał Sarę.

Boże, co z niego za łajdak. Zabawił się z nią, jak to ordynarnie nazywał. Teraz pozostało mu tylko przygotować dokumenty prawnicze, a jej przekazać pieniądze na jego rachunek.

Marszcząc brwi, zsunął kapę. Był nagi, w jej łóżku, nie swoim. Zaciskając zęby, spuścił stopy na podłogę. Otrzymał wszystko, czego chciał. Dlaczego więc miał wyrzuty sumienia? Dlaczego czuł się tak, jakby uderzył kogoś w twarz?

Dostrzegł szlafrok, podniósł go i włożył na siebie, zamierzając wycofać się do swojego alkierza. Wtedy przyszło mu do głowy, że znajduje się w Byrde Manor. Był w domu swego ojca, w domu, który przez wszystkie te lata powinien był należeć do niego.

158

A kobieta wciąż śpiąca w swym łóżku, ze wspaniałymi spletanymi włosami, właśnie kupiła go od niego swym słodkim niewinnym ciałem.

Nozdrza rozděły mu się z odrazy. Zrezygnował dla niej ze swego dziedzictwa, z czegoś, co, jak sobie przysiągł, odzyska. Jednakże uległ Sarze Palmer. Dlaczego? Była rozpieszczoną angielską arystokratką, która sądziła, że swymi pieniędzmi kupi każdego.

Znów zacisnęła szczęki. Wiedział, że musi wziąć na siebie część winy za to, co zrobili razem. Ostatecznie to on dodał to zastrzeżenie do umowy, którą ona zaproponowała. Dlaczego tak gwałtownie reagował na nią? Dlaczego jej pożądał, kiedy tyle innych, mniej skomplikowanych kobiet było do wzięcia? Dlaczego ona?

Jakby szydząc z niego, westchnęła i przetoczyła się na plecy, ukazując, nawet w słabym świetle migocącej świecy, perłową skórę ramienia. Jego przewrotne pragnienie zaostrzyło się niemal do bólu.

Lecz między nami wszystko skończone, powiedział sobie. Wszystko skończone.

Wycofując się z pokoju, trwał przy tej przerażającej myśli. Teraz wszystko między nimi było skończone. Zdobył ładną sumkę pieniędzy i spędził noc w jej łóżku.

Lecz jego oczy przywarły do kobiecego ciała, wyciągniętego na łóżku. Nie odiywał od niej spojrzenia, aż drzwi zamknęły się między nimi. Nawet wtedy, gdy ruszył cichym korytarzem, zwycięstwo nie smakowało szczególnie słodko.

Sara obudziła się wcześniej. Słońce było na niebie i usłyszała głosy na dziedzińcu. Lecz jeszcze żadna pokojówka nie weszła do jej pokoju.

Przewróciła się, przeciągając się sennie - po czym uświadomiła sobie, że jest naga.

Po czym uderzyła ją wiele okrutniejsza myśl. Nie była już dziewicą.

Całkiem rozbudzona teraz i drżąca, podciągnęła narzutę do podbródka i rozejrzała się ostrożnie. Gdzie jest Marshall MacDougal, mężczyzna, który przyszedł do niej zeszłej nocy? Marshall MacDougal, którego zaprosiła do swego łóżka?

Jednak nie było go w jej pokoju. Przeszywające rozczarowanie pozostawiło pustkę w jej piersi. Choć powinna odczuwać ulgę, jej pierwszą reakcją na jego nieobecność był zawód.

Pokojówka nie może zobaczyć jej nagiej.

159

Ze stosu na podłodze u stóp łóżka wyłowiła szlafrok. Włosy splotła w nieporządną warkocz, związała go wstążką i wsunęła ranne pantofle.

Lecz coś było nie w porządku. Coś...

Obejrzała prześcieradła i zobaczyła plamę i nikłą smugę krwi. To była jej krew.

Serce zaczęło jej bić coraz szybciej. Chwyciła myjkę i, używając wody z dzbanka, namaczała i szorowała, aż krew znikła. Po czym osuszyła wymowną plamę ręcznikiem i narzuciła na nią prześcieradła i kapę.

No proszę, była bezpieczna.

Lecz nadal była niespokojna. Było coś jeszcze. Nie potrafiła określić co, lecz wiedziała, że każdy, kto by wszedł do tego pokoju, domyśliłby się, co się tutaj stało. Próbując się uspokoić, wzięła głęboki oddech i już wiedziała.

Jej alkierz pachniał inaczej. Pachniał kłębiącymi się uczuciami i nagimi ciałami.

O, nie!

W jednej chwili rozsunęła złociste adamaszkowe zasłony i szeroko otworzyła wąskie skrzydła okien. Czy może zrobić coś jeszcze - poza tym, że umrze z upokorzenia?

Ze spuszczoną głową oparła się o parapet i próbowała myśleć. Kiedy uniosła głowę i dostrzegła Marshalla MacDougala stojącego tuż przy stajni, jej zdenerwowanie powróciło.

Zachłysnęła się oddechem, gdyż na sam jego widok mięśnie jej ciała zdawały się tężeć. Oto mężczyzna, z którym dzieliła każdy intymny sekret. Mężczyzna, który sprawił, że krzyczała, jęczała i wzdychała z rozkoszy. Choć powinna odwrócić od niego wzrok, nie mogła tego zrobić. Wprost pożerała go oczami, wyprostowanego, w bryczesach, białej koszuli i ciemnoniebieskim surducie. Stojąc tam, wydawał się tak doskonały.

Ale przecież był wiejskim dziedzicem, przypomniawszy sobie. Z urodzenia był dziedzicem Camerona Byrde'a, a zatem szkockim ziemianinem. A teraz, dzięki umowie, którą z nim zawarła, będzie jeszcze bardziej zamożny.

Zaczęła się cofać, starając się oderwać od niego spojrzenie. Lecz on, jakby wyczuł na sobie jej wzrok, odwrócił się i spojrzał wprost w jej okno. Nie mogła się poruszyć. Zobaczyła jego rękę na temblaku. Zaczęła drżeć - nogi, brzuch i każdy skrawek jej skóry. Drżała i bardzo starała się przełknąć ślinę.

W końcu będzie musiała stanąć z nim twarzą w twarz. Może powinna po prostu się ubrać, zejść tam i skończyć z nim wszelkie kontakty.

Jeden z jego towarzyszy powiedział coś do niego, a on odwrócił od niej spojrzenie. Sara głośno wypuściła powietrze. Jej palce zacisnęły się na parapecie, gdyż od spojrzenia Marsha zrobiło jej się słabo. Jak mężczyzna mógł tak bardzo na nią działać?

160

Odpowiedź była równie zniechęcająca, jak oczywista. Tylko tacy mężczyźni jej się podobali.

Odwróciła się od okna i oparła plecami o ścianę. Mężczyźni o dobrych sercach byli zbyt nudni dla niemądrej, lekkomyślnej Sary Palmer. Ona musi wybierać tajemniczych, brutalnych mężczyzn. Ten pociąg zawsze sprowadzał na nią nieszczęście.

Lecz przynajmniej oszczędziła matce i siostrze bólu i upokarzającej konieczności wyjawienia prawdziwej tożsamości Marshalla MacDouga-la. Zrobiła to, co postanowiła zrobić.

Przycisnęła dłoń do piersi i nakazała swemu pulsowi zwolnić. Po czym uniosła podbródek, odepchnęła się od ściany i zdecydowanym krokiem ruszyła do szafy, by się ubrać.

Zatrzymała się z prostą suknią w rękę, krzywiąc się na myśl, która przyszła jej do głowy. On chciał się z nią zabawić i zrobił to. Byłaby głupia, gdyby myślała, że dla niego było to coś więcej.

Ale ja jestem głupia, pomyślała w duchu.

Wyprostowała ramiona i przygotowała się na nadchodzącą ciężką próbę. Zobaczy się z nim, porozmawia i raz na zawsze przestanie mieć z nim do czynienia. Po wszystkim, przez co przeszła, stanięcie z nim twarzą w twarz nie może być takie trudne.

Dopiero kilka minut później, kiedy Sara przemierzała dziedziniec, kierując się ku grupce mężczyzn,

zauważyła między nimi burmistrza i szejfę. Pan Hamilton trzymał konia Marsha, podczas gdy Erskine, służący, siódłał zwierzę. Szeryf i inni mężczyźni zdjęli kapelusze, kiedy ją dostrzegli.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, lecz wzrok miała utkwiony w korpulentnym szeryfie. Było to głupie, oczywiście, lecz bała się patrzeć na Marshalla MacDougala, bała się, że jeśli spojrzy, to jakimś sposobem wszyscy się dowiedzą. Coś w jej twarzy zdradziłoby ją i wyjawilo, co ona z nim robiła.

— Nie! -Niemał zakrztusiła się tym słowem.

•Nie? - Szeryf zmarszczył czoło, patrząc na nią.

•Nie. Chciałam powiedzieć "wie" — poprawiła się, płacząc i szukając jakiegoś ratunku w podobnym słowie. - Czy ktoś wie, kto... kto postrzelił pana MacDougala? - zdołała w końcu wydusić z siebie.

Obaj, burmistrz i szeryf, potrząsnęli głowami.

— Dlatego tutaj jesteśmy, żeby zobaczyć, czy pan MacDougal ma jakieś pomysły, czy zna powody, dla których ktoś może chcieć jego śmierci.

Sara nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć w stronę Marsha. Oboje wiedzieli, że ona jedyna miała powody. Lecz Sara nigdy nie posunęłaby się tak daleko, by go postrzelić.

Lecz czy on o tym wiedział?

11 - Nieodparty i nieznośny

161

Ich oczy spotkały się i zatopiły w sobie na długą, niepokojącą chwilę. Po czym on znów skierował uwagę na dwóch miejskich urzędników.

•Tak jak panom powiedziałem, nikt mi nie przychodzi do głowy.

•A może chodzi o pieniądze - odparł szeryf, trzymając się za klapy i kołyszając na obcasach.

Marsh wzruszył swym zdrowym ramieniem.

-Pieniądze? Być może. Lecz strzelanie w biały dzień do człowieka dla kilku monet wydaje się mało prawdopodobne. Chociaż mówiono mi, że w tych stronach są rozbójnicy.

Znów zerknął na Sarę, po czym odwrócił wzrok. Lecz spojrzenie trwało wystarczająco długo, by ona odczuła ciężar oskarżenia. Czy on nadal ją podejrzewał?

Po raz pierwszy Sara zaczęła zastanawiać się nad tym, z czego Marsh zrezygnował. Lecz przy szeryfie nie było czasu zagłębiać się w ten temat. Szeryf wypytał ją o to, co słyszała i widziała, a także wyraził uznanie dla jej opanowania i szybkości działania w wyławianiu pana MacDougala z rzeki.

Przyjęła jego pochwałę z taką łaskawością, na jaką mogła się zdobyć. Gdyby szeryf znał jej prawdziwą naturę, byłby przerażony. Zanim obaj mężczyźni odjechali, szyja i ramiona rozboleły ją z napięcia, a w skroniach zaczął pulsować nieznośny ból.

•Czy możemy przez chwilę pomówić? — zapytał Marsh, gdy tylko znaleźli się sami. Wziął ją za ramię i poprowadził z dala od czujnego pana Hamiltona i Erskine'a. Starła się być opanowana. Puścił jej ramię, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu obu służących.

•A więc - powiedział chłodnym tonem. - Zdaje się, że sporny punkt naszego porozumienia przestał być problemem.

•Tak właśnie jest. - Sara patrzyła wprost przed siebie. Każdemu obserwatorowi zapewne wydawali się dżentelmenem i damą spacerującymi, by umilić sobie czas w pogodny wiosenny poranek. Jakżeby chciała, żeby tak było. - Przypuszczam, że teraz pozostaje omówić szczegóły przekazania pieniędzy z

mojego rachunku na pański.

Odchrząknął.

- Każę memu agentowi skontaktować się z tobą w tej sprawie.
Skinęła głową lecz milczała. Pszczoła okrążyła ich, po czym odleciała.

Prawie doszli do niskiego kamiennego muru, który oddzielał wschodnie pole od gruntów wokół domu.
Milczenie między nimi stało się niemal bolesne.

•Skąd mam wiedzieć, że dotrzyma pan umowy? - zapytała w końcu. Spojrzał na nią i poczuła gorąco jego gniewu.

•Masz moje słowo. Będzie musiało wystarczyć. Wewnątrz drżała.

162

•Kiedy wraca pan do Ameryki?

•Dzisiaj, najszybciej jak się da.

Drżenie ogarnęło jej ręce. Zaciśnęła je w jedną wielką pięść.

•Dzisiaj. Tak pewnie będzie najlepiej.

•Jedyne, co mnie wstrzymuje, to ustalenie tożsamości mojego napastnika.

•Ja także chciałabym wiedzieć, kto nim jest. - Podniosła na niego wzrok. - Nie miałam nic wspólnego z tym tchórzliwym atakiem na ciebie, Marsh... Chciałam powiedzieć, panie MacDougal. - Z trudem przełknęła ślinę. - Mam nadzieję, że pan to wie.

•Marsh. - Jego głos był cichy i chropawy. - Myślę, że po wszystkim, co zaszło między nami, możesz przynajmniej nazywać mnie Marshem. -Jego oczy były ciemne i poważne. Zbyt poważne.

Potrząsnęła głową i przygryzła wargę.

- Nie miałam z tym nic wspólnego — ciągnęła. - Ktokolwiek to jest, stał się zagrożeniem dla nas wszystkich i musi zostać ukarany.

Nie odpowiedział i przez długi czas stali obok siebie, patrząc w górę, na wielkie pastwisko usiane chudymi, niedawno wystrzyżonymi owcami.

•Co im powiesz? - zapytał w końcu.

•Komu? - Lecz wiedziała, o kim mówił. - Ma pan na myśli moją siostrę i matkę. - Przygryzła wargę. -Nie wiem. Może nic. Szczególnie matce.

•Jak wytłumaczysz wycofanie tak wielkiej sumy pieniędzy z twoich rachunków?

Spojrzała na niego. Dlaczego go to obchodzi?

•Coś wymyślę.

•Wiem, że w Anglii samotna kobieta — nawet dziedziczka — ma ograniczony dostęp do swojej fortuny.

- Dostanie pan pieniądze! - warknęła, rozwścieczona jego ciągłym mówieniem o pieniądzach, gdy tyle zaszło między nimi. Lecz to, co ona uważała za ważne, dla niego nic nie znaczyło.

Spojrzała na niego gniewnie.

•Będzie pan miał to, co ceni najbardziej - spory rachunek bankowy -a ja zatrzymam to, co ja cenię

najbardziej - szczęśliwą rodzinę. Dał mi pan twardą lekcję, panie MacDougal- powiedziała, przeciągając jego nazwisko, aż zabrzmiało niemal jak obraza. - Nigdy nie będę uważała mojej rodziny za coś oczywistego. Nigdy. Ona jest dla mnie ważniejsza niż pieniądze.

•A ty myślisz, że tylko to jest dla mnie ważne? Do diabła! - zaklął, przeciągając palcami zdrowej ręki po włosach.

Nagle zebrąło jej się na łzy.

163

- Cóż, czy tak nie jest?

Pokręcił głową, powoli, jakby była ciężka, a on bardzo zmęczony. -Nie. Nie, Saro. Zeszłej nocy przyszedłem do ciebie... Zesztywniała, zaciskając usta.

- Przyszedłem do ciebie, żeby ci powiedzieć... - ciągnął - żeby prze prosić za umowę, jaką próbowałem zawrzeć z tobą.

Były to słowa, jakich najmniej się po nim spodziewała i przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Przedtem nie tak pan to nazwał.
-Co?

- Powiedział pan... - Drżała, podbródek jej się trząsał, zęby dzwoni ły.-Powiedział pan, zechce... się ze mną zabawić.

Jęknął głośno.

- Żałuję tego. Bardziej niż możesz sobie wyobrazić.

- Teraz pan tak mówi.
Znów pokręcił głową.

-Nie planowałem tego, co się stało zeszłej nocy. Postanowiłem zwolnić cię z tej obrzydliwej umowy, do której cię zmusiłem. Zamierzałem ci to powiedzieć. Ale potem, kiedy zobaczyłem cię uśpioną na krześle... -Znów jęknął. - Nie mogę cofnąć tego, co się stało między nami, Saro. Bóg wie, że chciałbym. Ale nie mogę.

Przez długą chwilę ich spojrzenia zatopione były w sobie. Jemu naprawdę jest przykro, pomyślała. Jednak nie czuła ulgi. Jemu było przykro z powodu cudownych, pory wających rzeczy, które z nią robił. Chciałby to cofnąć. Podczas gdy ona... ona już nie wiedziała, czego chce.

Między nimi trwała cisza, długa, burzliwa. Przeształ z nogi na nogę.

- Ja... nie jestem całkiem pewny, jakie tutaj są zwyczaje, ale w Amery ce, jeśli się... cóż, jeśli się zgubi kobietę... Nie, żeby myślał, że jesteś zgubiona- dodał. -Ale cóż Jeśli sądzisz, że powinniśmy wziąć ślub...

Jeśli powiedział coś jeszcze, Sara tego nie usłyszała. Wpatrywała się w niego, wstrząśnięta. -Wziąć ślub? Pan i ja? Zmarszczył brwi, a jego szczęki zaciskały się i rozluźniały.

- Uważałem tylko za słuszne złożyć propozycję.

Słowa te jak sztylet przebiły jej serce. Oczywiście, że proponował jej małżeństwo. ICaždy mężczyzna, który przemierzyłby ocean, by uczynić ze swej matki uczciwą kobietę, czułby się także zobowiązany postąpić jak należy z kobietą, którą zgubił.

Sara pokręciła głową.

-Nie... nie sądzę, żeby to było mądre.

Zaśmiał się krótko.

-Chyba nie powinienem być zaskoczony. Cóż. -Odetchnął i złożył jej lekki ukłon. - Skoro nasze sprawy zostały zakończone, może lepiej opuszczę cię teraz.

Bez słowa odwrócił się i odszedł. Sara patrzyła za nim. Wyjeżdżał na zawsze. Wracał do Ameryki, do domu. Jednak zamiast odczuwać wielką ulgę, Sara czuła się zdruzgotana.

Wyjeżdżał, a ona mogła tylko podążać za nim oczami.

- Żegnaj! - szepnęła do oddalającego się mężczyzny. Do mężczyzny, który zabrał jej niewinność, ale także serce.

22

W statniej nocy Adrian nie spał w domu. Jego matka wcale się tym nie przejmowała. Bez wątpienia nie brakowało jej towarzystwa; ostatnio zabrała się do tego krzywonożego gościa, który pracował dla Amerykanina.

Jak ona mogła?

Czy on nikogo już nie obchodził? Nikt by nie zauważył, gdyby już nigdy nie wrócił!

Mimo ciepłego poranka zadrżał. Po wczorajszych wydarzeniach nad rzeką ukrywał się przed ludźmi. Obserwował bieżącą wokół Byrde Manor. Widział, jak Sara wyciąga Amerykanina z rzeki, po czym przyglądał się, jak wszyscy przychodzą mu z pomocą.

Przez całą noc kulił się w krzakach przy drodze, patrzył i nasłuchiwał. Ulżyło mu, gdy się dowiedział, że ten człowiek przeżył.

Teraz burmistrz i szeryf prowadzili dochodzenie i serce Adriana mocniej zabiło. Czy Amerykanin go widział? Czy widział, kto posłużył się tą starą dubeltówką? Czy teraz wszyscy będą go szukać?

Chłopiec zacisnął szczęki, by powstrzymać ich drżenie. Zaciskał je, aż zaczęły boleć. Wcale nie miał zamiaru zabić Amerykanina. Chciał tylko, by znalazł się daleko od Sary. Było jasne, że ten człowiek ją szantażował. Lecz Adrian nie zamierzał go zastrzelić.

Tak, zamierzałeś.

Adrian zacisnął powieki przed oskarżycielskim głosem, który nie chciał go opuścić. Przez całą noc słyszał ten głos. Ukradłeś strzelbę panu Hamiltonowi, wytropiłeś Amerykanina, podniosłeś strzelbę, wycelowaleś i strzeliłeś do niego.

Dreszcz wstrząsnął jego ciałem. W cieniu studni Adrian objął się ramionami. Po raz pierwszy w życiu był zadowolony, że nie ma ojca, gdyż ojciec zabierałby go na polowania i nauczył lepiej strzelać. Wówczas może nie byłoby dziury w ramieniu Amerykanina, za to byłaby w jego piersi.

Żołądek podszedł mu do gardła, a w ustach poczuł gorzki smak żółci.

Ale wszystko jest w porządku, powiedział sobie. Amerykanin przeżyje.

Lecz teraz, gdy Adrian patrzył, jak ten człowiek odchodzi od Sary, w piersiach znów wezbrał mu strach. Sara uratowała tego człowieka, a mimo to on wyraźnie był na nią wściekły. Dlaczego? Czy podejrzewał, że to ona kazała Adrianowi go zabić?

Adrian czał się za krzewami, aż Amerykanin dosiadł konia i odjechał, a Adrian mógł spokojnie spojrzeć na Sarę.

Stała nieruchomo tam, gdzie ten człowiek ją zostawił, omijając wzrokiem dwór i długi podjazd. Omijając wzrokiem drogę, którą pojechał pan MacDougal.

Choć wiedział, jakie podejmuje ryzyko, choć wiedział, że powinien uciekać i nigdy tu nie wracać, Adrian ruszył w jej stronę. Wydawała się taka drobna i słaba na tle wielkich otwartych pól za nią. Taka delikatna. Musiał się upewnić, że nikt jej nie wini za to, co się stało.

Idąc do niej, obciągał wymięty płaszcz i strzepywał liście i gałązki, które jeszcze przywierały do jego bryczesów. Splunął w dłonie i próbował przygładzić rozczochrane włosy. Przez cały czas nie spuszczał Sary z oczu.

Miał okropne przeczucie, że ona i Amerykanin zostali kochankami. Nie podobała mu się ta myśl - nienawidził jej, tak jak nienawidził flirtów swej matki. Lecz dawno temu nauczył się, że nie ma na matkę wpływu. Teraz Amerykanin wyjechał i Sara może będzie go potrzebować. Nie zamierzał jej zawieść.

Stojąc przy starym murze, Sara zacisnęła ręce na płaskim kamieniu. Zaciskała je mocno, wyczuwając dłońmi każdą szczelinę.

Tętent kopyt dawno ucichł. Żadna chmura kurzu nie wisiała nad podjazdem; żadne głosy nie dobiegały od drogi. Zniknął z jej życia po cichu, prawie bezszelestnie.

Lecz zostawił ślad w jej sercu. Wielką, otwartą ranę.

Po co było to wszystko? Po co tutaj przyjechał? Dlaczego musiał wyjechać?

166

Mogłaś sprawić, by pozostał. Mogłaś przyjąć jego propozycję i wziąć z nim ślub.

Poślubić mężczyznę, który tak naprawdę nie chciał się z nią ożenić? Mężczyznę, który nienawidził jej rodziny? Mężczyznę, który mógł zniszczyć życie dwóch kobiet, które kochała najbardziej na świecie?

Zaczęła drzeć i jak stara kobieta założyła ręce na piersi. Podskoczyła, gdy w niskiej trawie za sobą usłyszała kroki.

Wrócił?

Odwrociła się i kiedy ujrzała Adriana, nie potrafiła ukryć rozczarowania.

Natychmiast odwróciła spojrzenie.

-Nie przejmuj się jego wyjazdem, Saro. - Głos chłopca był cichy i błagalny. - On cię tylko unieszczęśliwia. Mam nadzieję, że nigdy nie wróci.

Jego szczerość wywołała smutny uśmiech na jej twarzy.

•Sądzę, że nie masz się już czego obawiać, Adrianie. On wyjeżdża do Ameryki. I ja się z tego cieszę - dodała, bardzo przekonująco. - On naprawdę tutaj nie pasuje.

•Więc dlaczego przyjechał? Odkąd się pojawił, masz same kłopoty. Straszyl cię, pobil biednego Gumeę. Will mówił, że on był bokserem w Ameryce. Cała służba tak mówi. - Twarz chłopca przybrała ponury wyraz. - Pospolity awanturnik nie powinien dręczyć takiej damy jak ty.

•On nie jest bokserem - odparowała Sara, choć uważała, że jest to bardzo prawdopodobne. To tłumaczyłoby jego atletyczną budowę. -Wznosi mosty i budynki. Ma własne przedsiębiorstwo i wielu ludzi pracuje dla niego. Ale nieważne, co on robi - dodała i machnęła ręką. -Nieważne, po co tutaj przyjechał. Już go nie ma. - Odetchnęła i uśmiechnęła się. - Och, już prawie południe, a ja nic nie zrobiłam. Powiedz mi, co cię tutaj sprowadza? - Oczy jej się zwęziły, gdy zauważyłajego niechlujny wygląd. -O, mój Boże! Gdzie spałeś tej nocy, Adrianie? W stodole?

Oczy mu błysnęły, po czym zwróciły w inną stronę.

- Czy twoja matka wie, gdzie jesteś?
Prychnął.

-Nie. Ją obchodzą tylko pieniądze, które mój stryj Neville daje jej na mnie. Wyciągnęła rękę i ścisnęła mu ramię.

•Neville i Liwie bardzo cię kochają, Adrianie. I ja także. Z trudem przełknęłam ślinę.

•Ja także cię kocham, Saro. Naprawdę kocham.

Wyciągnął ręce, by ją objąć, lecz ona się cofnęła. Nastąpiła długa chwila niezręcznej ciszy.

167

Nie zamierzała nadać swym słowom takiego znaczenia, w jakim on je najwidoczniej odebrał. Wielkie nieba, czy niczego nie potrafi zrobić tak, jak trzeba?

- Przykro mi, Adrianie.

-Nie. Hm... - Potrząsnął głową z wyrazem oszołomienia na twarzy. Znow zobaczyła walkę między chłopcem, którym był, a młodzieńcem, którym się stawał. Wcisnął pięści do kieszeni. -Muszę iść-mruknął. Po czym, tak jak Marsh, odwrócił się i odszedł sztywnym krokiem.

Sara z ciężkim sercem patrzyła, jak odchodzi. Gdyby była młodsza — i niewinna - to zasługiwałaby na podziw takiego chłopca, jak Adrian. Oddałaby wszystko, by cofnąć się o trzy lata, by znow wchodzić w świat i dla odmiany wszystko robić jak należy.

Nie powinna czuć tej pustki w sercu.

Najlepiej, jeśli skupi się na szczegółach porozumienia z Marshalllem MacDougalem.

Wyprostowała więc ramiona i ruszyła do domu. Musiała napisać list do swego plenipotenty, który po przeczytaniu go zapewne z wrzaskiem pobiegnie do jej brata.

Lepiej będzie, jeśli napisze list również do Jamesa.

Adrianowi nigdy tak bardzo nie brakowało ojca jak tego strasznego dnia. Stryj wiedziałby, co zrobić, gdyby był tutaj.

Ale gdyby stryj Neville się dowiedział, że Adrian opuścił Eton w środku trymestru, byłby tak zły, że nie chciałby go wysłuchać.

Czubkiem buta chłopiec kopnął kamień, leżący pośrodku drogi. Ze spuszczoną głową i przygarbionymi ramionami powlókł się do domu. Nienawidził Eton. Od pierwszego dnia marzył tylko o powrocie do domu, do Kelso. Lecz od przyjazdu tutaj nic nie zrobił tak, jak należy.

W czasie jego nieobecności matka stała się bardziej bezwstydną.

Myślał, że jest zbyt mądry dla tych rozpieszczonych, bogatych chłopców z ich pokojowcami i nauczycielami jazdy konnej! Lecz nagle przestał się uważać za mądrego. Był bękartem bogatego człowieka - bękartem zmarłego bogatego człowieka - i chociaż stryj był dla niego dobry, to jak długo można oczekiwać, że nadal będzie traktował go w ten sposób?

Szczególnie że jego zachowanie było tak jawnie złe.

Był idiotą. Głupcem. Był tak głupi, że nawet przekonał samego siebie, iż wytworna dama, taka jak Sara Palmer, może przywiązać się do niego.

Skrzywił się na samo wspomnienie tego miłosnego wyznania. Jaki głupi musi się jej wydawać. Jaki dziecinny.

Wciągał wielkie hausty powietrza, ale miał wrażenie, że nie może oddychać. Jak dotąd nikt go nie podejrzewa - przynajmniej szeryf i burmistrz nic nie powiedzieli Sarze. Mimo to wina ciążyła mu na sercu, niemal go miażdżyła, kiedy myślał, jak bliski był zabicia człowieka.

Czy naprawdę wierzył, że Sara będzie zadowolona, jeśli Amerykanin umrze? Dzisiaj wydawała się przygnębiona odjazdem tego człowieka.

Dotarł do Kelso i ponad mostem, który wznosił się łukiem nad rzeką Tweed, spojrzął w stronę domków, gdzie mieszkał razem z matką.

Nie chciał iść do domu.

Odwrócił głowę i spojrzął w stronę miasta. Czy ośmieli się pójść do Kelso? A jeśli Marshall MacDougal nadal tam jest? Wydawało się, że ten człowiek także go nie podejrzewa. Ale jeśli zobaczy go i zacznie przypominać sobie wszystko?

Choć Adriana przerażała myśl, że zostanie odkryty, nie mógł ominąć miasta. Coś go tam ciągnęło. Może poczułby się lepiej, gdyby został schwytany, oskarżony i wtrącony do więzienia.

Podbródek mu zadrgał i opadł. Właśnie na to zasłużył; by wrzucono go do małego miejskiego więzienia.

Gdy rozglądał się po mieście, porywisty wiatr sprawiał, że ciarki przebiegały mu po skórze. Miasto wyglądało tak jak co dzień. Ludzie chodzili do rzeźnika, piekarza, zielarza. Prostoduszna córka kapelusznika myła okno wystawowe. Kołodziej pracował w otwartych drzwiach swej stajni, a korpulentny burmistrz Dinkerson wypadł, trzaskając drzwiami, z biura szeryfa.

Adrian podskoczył, gdy ktoś go popchnął!:

- Gdzieś był? - zaświergotał chłopięcy głos.

- Nie twój interes- mruknął Adrian, odpychając swego towarzysza Willa i powstrzymując się, by go nie uderzyć. Serce waliło mu z niepokoju. - Jeśli jeszcze raz się do mnie podkradniesz, nie potraktuję cię tak łagodnie.

- Założę się, że wiem coś, czego ty nie wiesz - szydził mniejszy chłopiec, odskakując poza zasięg ręki Adriana.

- No to co? - Lecz strach jeszcze bardziej się wzmógł. Czy Will wie, co on zrobił?

- Ktoś postrzelił tego Amerykanina, pięściarza. Postrzelił i prawie zabił.

- Naprawdę? - Adrian starał się udawać zaskoczonego. - Jak to się stało? Zanim Will skończył opowieść, dopełniającego teorią Cyganach i rozbójnikach, Adrian upewnił się, że przynajmniej nikt go nie podejrzewa.

- Popatrz! - Will trącił go łokciem i pokazał palcem. - To on.

-Kto?

-Amerykanin.

I tak jak burmistrz, wychodził z biura szeryfa.

Adrian spojrzął na niego, na ramię w temblaku i gniewną twarz. Służący tego człowieka najpierw deptał

mu po piętach, potem szybko ruszył w stronę publicznej stajni. Amerykanin po prostu stanął i zaczął się rozglądać, jakby przyglądał się miastu - lub też kogoś szukał. Gdy jego spojrzenie spoczęło na Adrianie, chłopiec odskoczył do tyłu.

- Do diabła - mruknął Will i popędził w przeciwnym kierunku. Adrian także chciał uciec, lecz jego nogi jakby wrosły w ziemię. Nie mógł się ruszyć nawet o centymetr.

Przez długą straszliwą chwilę spojrzenie tego człowieka było wbite w Adriana. Lecz potem Amerykanin skinął lekko głową i odszedł.

Adrian patrzył za nim, aż mężczyzna skręcił na frontowy dziedziniec domu pastora. Przez cały czas strach ścisnął mu gardło. Sara się myliła. Amerykanin wcale nie wyjechał. Szukał osoby, która chciała go zabić. Kazał szeryfowi, burmistrzowi, a teraz i pastorowi pomóc w szukaniu tego drania. Może jeszcze nie wie, kto był sprawcą lecz w końcu dojdzie do tego.

Adrian z zakłopotaniem kręcił się w kółko, próbując podjąć jakąś decyzję. Wróci do Eton.

Nie. Ucieknie do Edynburga.

Nie. Wypłynie statkiem wielorybniczym na Morze Północne.

Znów miazdzący w piersi ciężar utrudniał mu oddychanie. Utkwił spojrzenie w wyblakłym szyldzie gospody Pod Kogutem i Łukiem, kołyszącym się na łańcuchach w rześkim porannym wietrze. Bez namysłu ruszył ulicą.

Musiał się przyznać.

Była to jedyna rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Musiał zaczekać na tego człowieka w jego pokoju, gdzie nikt ich nie usłyszy. Wyzna swą zbrodnię, a jeśli pan MacDougal zechce odprowadzić go do szeryfa, to pójdzie tam. Przyzna się do wszystkiego.

Chciał być mężczyzną.

Tylko kilku ludzi siedziało w jadalni i Adrian bez trudu prześlizgnął się niezauważony po schodach. Na drugim piętrze były cztery pokoje. Podszedł do czwartego i osunął się po zamkniętych drzwiach. Kolana mu się trzęsły, i było mu słabo ze strachu.

Gdy usłyszał kobiecy głos, a potem ciężkie kroki na schodach, skoczył na równe nogi. Nie zastanawiając się, wpadł do pokoju, a gdy kroki się przybliżyły, schował się pod łóżko.

Pokojówka została ledwie kilka minut, napełniając dzban, wymieniając świece i ścieląc łóżko. Palce jej stóp w zniszczonych pantoflach zna-

lazły się blisko twarzy Adriana. Rąbek jej spódnicy był wystrzępiony, a pończochy nie pasowały do reszty. Adrian wstrzymał oddech.

W co się znowu wpakował? Wreszcie pokojówka wyszła i znów mógł oddychać. Wyczołgał się ze swej kryjówki i przez kilka minut po prostu siedział, rozglądając się wokół. Skórzana torba leżała przy drewnianym biurku pod oknem. Mały kufer u stóp łóżka był częściowo spakowany.

Może Amerykanin wyjeżdża.

Na biurku leżał stos papierów; chłopiec podszedł do biurka i zaczął czytać.

Miał przed sobą listę kościołów. Jego oczy stały się czujne. Niemal połowa kościołów została przekreślona.

Zaciekawiony, uniósł róg strony, by zerknąć na kartkę pod spodem. Ta zawierała listę miast portowych. I znów niektóre zostały wykreślone.

Zmarszczył brwi. O co chodziło w tym wszystkim? Czy ten człowiek zamierzał odwiedzić wszystkie te miejsca? Powiedział, że jest na wakacjach. A kto w czasie wakacji odwiedza kościoły? I kto chciałby pojechać do Badensea? Adrian był tam kiedyś, pamięta paskudną dziurę, która śmierdziała zepsutą rybą.

Adrian potrząsnął głową. Może ten człowiek szukał kogoś w tych miejscach. Lecz co to mogło być?

Przeszukał resztę papierów. List polecony z bostońskiego banku, ręcznie narysowana mapa okolic Kelso, aż po Byrde Manor. Studiował ją dłuższą chwilę, zanim ją podniósł i znalazł list adresowany do pana Mac-Dougala. Jednak w liście rzuciło mu się w oczy inne nazwisko: Maureen MacDougal.

Czy Marshall MacDougal był żonaty z inną kobietą, podczas gdy uganiał się za Sarą?

Czy ona dlatego była taka nieszczęśliwa, że odkryła jego małżeństwo?

Lecz Maureen MacDougal nie była żoną Amerykanina. Była jego matką, a list pochodził od kogoś w Londynie, kto poszukiwał informacji o niej i o Cameronie Byrdzie.

Adrian usiadł wygodnie na krześle i zamyślił się. Cameron Byrde. To ojciec jego ciotki, Liwie. Lecz on od dawna nie żyje. Co Amerykanin mógł mieć z nim wspólnego?

Naraz wszystko zrozumiał.

Marshall MacDougal, który nosił nazwisko matki, jest synem Camerona Byrde'a.

Adrian rzucił list z powrotem na biurko. On także nosił nazwisko swej matki, zanim stryj zaczął nalegać, by wrócił do nazwiska ojca. Teraz był Adrianem Hawkiem.

171

A Marshall MacDougal musi być Marshall'em Byrde'em. Lecz co to wszystko znaczy? Czy Sara o tym wie?

- Co, do diabła, robisz w moim pokoju?

Adrian obrócił się tak szybko, że papiery rozsypały się po podłodze. W drzwiach stał Amerykanin, zagradzając mu drogę ucieczki. Ze strachu chłopiec zrobił okrągłe oczy i wbił obcas w podłogę, odsuwając do tyłu krzesło, aż zderzyło się z biurkiem. -Ja... ja...

•Wyduś to z siebie, chłopcze, zanim oberwę ci uszy. -Zbliżył się szybkim krokiem. - Co robisz w moim pokoju, przeglądając moje prywatne papiery?

•Ja... przyszedłem tutaj... przyznać się. - Jego głos zabrzmiał jak skrzek żaby.

•Przyznać się? Do czego?

Adrian nie odpowiedział. Opuścił oczy na zranione ramię tego człowieka, po czym powoli podniósł je znowu i napotkał podejrzliwe spojrzenie. Wiedział, że ten człowiek zrozumiał ten ruch.

- Ty diabelski pomocie! - Mężczyzna chwycił go mocno za ramię. - Ty mały bękarcie!

Przerażony Adrian uciekł się do jedynej broni, jaka mu została.

- Może jestem bękartem - wyjąkał w końcu. - Ale pan także nim jest, panie Byrde!

23

Dzięki Bogu, że drugie ramię miał uwięzione w temblaku. Inaczej, pomyślał Marsh, mógłby uderzyć bezczelnego smarkacza, którego unieruchomił na krześle.

To on go postrzelił. Jednak w tej chwili to nie tamto zdarzenie wzbudziło w Marshu taką wściekłość; raczej jego ostatnie słowa.

Kiedy nazwał chłopca bękartem, było to przekleństwo, wyraz gniewu. Lecz kiedy smarkacz odrzucił paskudny epitet w jego stronę, to znaczyło coś więcej.

-Nie jestem niczym bękartem - oświadczył przez zaciśnięte zęby. Zacisnął zdrową rękę na barku chudego młodzika i pochylił się do przodu, aż ich twarze znalazły się o kilka centymetrów od siebie. - Niczym!

Lecz chłopiec, który wyczuł czuły punkt Marsha, zaatakował.

172

•Jest pan bękartem Camerona Byrde'a. Niech pan nie zaprzecza. Przyjechał pan tutaj i próbuje wydostać od jego rodziny pieniądze. Dlatego Sara tak się pana boi!

•Ciepło, ale... — Marsh w porę się spostrzegł. Choć chciał powiedzieć prawdę, choć miał ją na końcu języka - nie mógł tego zrobić. Właśnie dobił targu z Sarą jej pieniądze i jej niewinność za jego milczenie. Choć nie chciał już jej przeklętych pieniędzy, musiał dotrzymać umowy. Czuł się jak kanalia przez to, że zmusił ją do porozumienia, które zawarł w gniewie.

Dobił targu. Teraz musi z tym żyć.

A jeśli Sara wysłała tego chłopca, by przeszukał jego papiery? A jeśli wysłała tego smarkacza, by go zastrzelił...

- Dlaczego tutaj przyszedłeś? Dlaczego się teraz przyznajesz? Zobaczysz z satysfakcją, że Adrianowi drży podbródek. Puścił ramię

chłopca i cofnął się, wciąż mu się przyglądając.

- Dlaczego próbowałeś mnie zabić?

Chłopiec kilka razy odetchnął głęboko i z trudem przełknął ślinę.

•Myślałem, że skrzywdził pan Sarę. Bała się pana. - W niebieskich oczach chłopca znów błysnął gniew. - A potem nad rzeką zobaczyłem, jak pan ją całuje.

•Szpiegowałeś nas? - Marsh potrząsnął głową. Jakkolwiek był wściekły, nie mógł odmówić chłopcu bystrości. Podejrzewał, że coś się dzieje, i nie pomylił się. Jak Marsh mógłby gniewać się na młodzika, kiedy ten był taki lojalny wobec Saiy? - Strzeliłeś do mnie, bo myślałeś, że ona się mnie boi, czy dlatego, że ją pocałowałem? - Piychnął, kiedy chłopiec przybrał buntowniczy wyraz twarzy. - Nie jesteś trochę za młody na ataki zazdrości?

-Nie jestem za młody, żeby wiedzieć, że ona się śmiertelnie pana boi -mruknął Adrian. -1 że pana nienawidzi.

Marsh jęknął i odwrócił się. Tak, Sara go nienawidziła, lecz i pożądała. A on może sprawić, żeby znów go zapragnęła. Tylko nie mógł tego zrobić, ze względu na ich umowę.

Ona dotrzymała słowa. On także musiał to zrobić.

Tymczasem przyszło mu rozwiązać kolejny problem. Zaczął przemierzać pokój, pocierając kark i starając się wymyślić, co zrobić z chłopcem.

Odwrócił się i utkwiał w Adrianie surowe spojrzenie.

- Strzeliłeś do mnie. Zamierzałeś mnie zabić. Co, według ciebie, powinienem zrobić?

Chłopiec poblądł i zaczął się wiercić na krześle. -Nie wiem.

173

- Myślę, że wiesz. Powiniennem wziąć cię za chudy kark, zaciągnąć do biura szeryfa i powiedzieć mu, żeby cię zamknął w więzieniu. Powiniennem stać w pierwszym rzędzie i patrzeć, jak cię wieszają. Wieszają! - Powtórzył z wściekłością. - Za usiłowanie morderstwa grozi strychezek, Adrianie. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Za każdym jego słowem chłopiec głębiej wciskał się w krzesło. Zwiesił głowę i milczał.

Marsh zacisnął szczęki.

- Powiniennem w tej chwili cię tam zaciągnąć. - Odetchnął głęboko. - Powiniennem przekazać cię szeryfowi i niech cię diabli, ale nie zrobię tego.

Chłopiec podniósł głowę. -Nie zrobi pan?

- Nie, jeśli szczerze odpowiesz na kilka pytań. Szczerze. Pamiętaj, że wiem, gdzie mieszkasz. Odnajdę cię i przekażę szeryfowi, jeśli się do mnie, że mnie okłamałeś.

•Ja nie kłamię. Dlatego tutaj jestem. Skinieniem głowy Marsh przyznał mu rację.

•Dobrze. Dlaczego mnie postrzeliłeś?

- Powiedziałem panu. Chciałem pomóc Sarze. Ale to nie był dobry sposób - dodał z żalem. - Teraz to wiem.

- Czy ona namówiła cię do tego?

-Nie!

•A co z tym? - wskazał rozsypane papiery. - Ze szperaniem w moich papierach. Czy namówiła cię do tego?

•Nie! Sara o niczym nie wie.

- Więc dlaczego przeglądałeś moje papiery?
Adrian westchnął.

•Czekałem na pana. Żeby panu powiedzieć, że to ja strzelałem. Byłem... byłem zdenerwowany. Więc kiedy usłyszałem pokojówkę, ukryłem się w pańskim pokoju pod łóżkiem.

•Moje papiery są na biurku.

Chłopiec znów westchnął i odwrócił oczy.

•Ja tylko rzuciłem na nie okiem. Nie powinien pan ich zostawić tam, gdzie każdy może je przeczytać.

•Tutejsza pokojówka nie umie czytać.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, Marsh przeciągnął ręką po włosach. Choć sprawiało mu to przykrość, wiedział, że musi opuścić Adriana i Kelso -i Sarę.

Jednak Sara powinna wiedzieć, co odkrył chłopiec. Gdyby się rozeszło, że Marsh jest synem Camerona Byrde'a, to kto wie, co jeszcze mo-

174

głoby wyjść na jaw? A gdyby istotnie tak się stało, nie chciał, by Sara myślała, że to on rozgłosił te

informacje.

Oczywiście, nie miało to sensu. Ona już go nienawidziła. Więc jeśli pewnego dnia znienawidzi go jeszcze bardziej...

Marsh odwrócił się i spojrzał na zgarbionego na krześle chłopca, rozpaczliwie starającego się przybrać nonszalancką pozę. Czy zachowałby w tajemnicy to, co wie o Cameronie Byrdzie? Być może zrobiłby to dla Sary.

- Chodźmy — polecił. Wziął papiery, złożył je i wcisnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Oczy chłopca rozszerzyły się, po czym zwęziły podejrzliwie. Zaciśnął palce na poręczach krzesła, lecz nie wstał.

•Dokąd?

•Do Byrde Manor. Złożyć wizytę Sarze.

Wyraźnie zaskoczony, chłopiec przechylił na bok głowę.

•Po co?

•Wyjeżdżam z Kelso. Dzisiaj, o ile to możliwe. Twoje domysły nie wyrządzą mi krzywdy, ale jej mogą.

•Nigdy nie skrzywdziłbym Sary. - Adrian poderwał się z krzesła, patrząc spode łba. -Nigdy!

•Jej to powiedz - wymamrotał Marsh. Może uwierzy w twoje dobre intencje; w moje nie uwierzy nigdy.

- Ma pani gości, panienko.

Sara podniosła wzrok znad pustej karty pergaminu, która leżała na biurku w jej alkierzu. Wpatrywała się w nią ponad godzinę, wbijając wzrok w cztery słowa, które dotąd napisała: "Mój najdroższy bracie Jamesie". To wszystko. Jeszcze nie obmyśliła sposobu wyjaśnienia wydarzeń, w jakie została uwikłana.

Może powinna wrócić do Londynu i powiedzieć mu o wszystkim? Lecz wtedy musiałaby również stanąć twarzą w twarz z matką. Liwie i Neville niebawem wrócą z Glasgow, wiedziała, że nie powinna opuszczać Kelso. Lecz musiała coś zrobić, by wytłumaczyć podjęcie sporej sumy ze swych lokat. List wydawał się najlepszym sposobem. Tylko nie wiedziała, jak zacząć.

Dlatego z wielką ulgą spojrzała na pokojówkę. Nie, żeby czuła się na siłach przyjmować gości. Jednak...

•Dwóch gości?

•Tak, panienko. Panicz Adrian i ten pan MacDougal.

175

Sara poderwała się, serce podeszło jej do gardła.

•Pan MacDougal?

•Tak, panienko. ~ Kącik ust dziewczyny uniósł się w lekkim, znaczącym uśmiechu. - Pani Hamilton wprowadziła ich do salonu. Czy mam im powiedzieć, że zejdzie pani za chwilę?

Wzburzenie Sary było zbyt wielkie, by zwrócić uwagę na reakcję dziewczyny. Nie było potrzeby, by się stroiła dla Marshalla MacDougala. Między nimi wszystko skończone.

Niemniej serce jej waliło i z trudem łapała oddech. Dlaczego przyszedł? Zawarli umowę. Chyba nie ma

zamiaru się z niej wycofać?

A już na pewno nie przyszedł ponowić swej propozycji zawarcia małżeństwa.

Starając się odzyskać panowanie nad sobą Sara zacisnęła usta, po czym wygładziła pomięte spódnice.

-Nie ma potrzeby zwlekać. Zobaczą się z nimi od razu. Każ kucharce przysłać tacę z herbatą dobrze?

Przybrawszy wyraz grzecznej obojętności, dziewczyna dygnęła, po czym zniknęła. Lecz Sara odczekała kilka minut, zanim poszła jej śladem. Wrócił, ale z Adrianem. Co to może znaczyć?

Szybko się dowiedziała.

Wyznanie Adriana wstrząsnęło nią. To on postrzelił Marsha.

-Ale dlaczego? Dlaczego, Adrianie?

Chłopak zwiesił głowę i patrzył posępnie na swe buty.

- Myślał, że cię chroni. Przede mną- powiedział Marsh. Oslupiałe spojrzenie Sary zwróciło się ku niemu.

Była taka siła w tym zapierającym dech przyciąganiu się ich oczu. Takie intymne sprzężenie. Zbyt intymne. Złączyła i zacisnęła palce, po czym, kiedy on przemówił, musiała zamrugać powiekami, by odpędzić nierozsądne, palące łzy.

- Nie mogę go winić za to, że cię chciał bronić, Saro. To był głupi postępek. Postępek chłopca, nie mężczyzny. - Utkwił w Adrianie surowe spojrzenie. - Lecz przychodząc do mnie, przyznając się do tego, dowiódł, że jest już mężczyzną a nie chłopcem.

Jego spojrzenie powróciło do Sary. -Nie zamierzam donosić o tym szeryfowi.

Sara z trudem mogła uwierzyć w słowa Marsha. Nie chciał się mścić na chłopcu. To takie podobne do niego, pomyślała.

- Dziękuję - wydusiła z siebie. Po wyrazie ulgi na twarzy Adriana po znała, że on też był wdzięczny. - To tak wiele dla mnie znaczy - zdołała dodać. — I dla Adriana.

176

•Niestety, jest jeszcze coś - powiedział poważnie Marsh.

•Jeszcze coś? - Sara przeniosła spojrzenie z Marsha na Adriana, po czym znów spojrzała na Amerykanina.

•On odkrył mój sekret.

•Pański sekret?- Sara ze zdumieniem potrząsnęła głową.- Pański sekret. Chce pan powiedzieć, że...

•Że Cameron Byrde był moim ojcem - przerwał jej. - Że spłodził mnie, zanim poślubił twoją matkę.

Patrzył na nią uporczywie, jakby zamierzał nadać większą wagę wypowiedzianym przez siebie słowom. Sara zawahała się.

•On wie... wszystko?

•Prawie.

Sara zwróciła się do chłopca, starannie dobierając słowa:

- Jak się dowiedziałeś?
Adrian wzruszył ramionami.

-Czekałem w jego pokoju, żeby się przyznać. I wtedy zobaczyłem jakieś papiery i list i zacząłem czytać. On jest bękartem, tak jak ja. I jest bratem przyrodnim ciotki Liwie.

Sara rzuciła spojrzenie na twarz Marsha. Lecz on nie patrzył na nią. Wpatrywał się w chłopca z pozbawioną wyrazu twarzą. Słowa Adriana zdawały się wisieć nad nimi. "On jest bękartem, tak jak ja". Tylko oni oboje będą znali całą prawdę o jego pochodzeniu.

Kiedy Marsh zwrócił na nią spojrzenie, Sara nie miała wątpliwości, że można mu ufać. Jeśli mógł bez sprzeciwu ścierpieć te słowa, wiedziała, że dotrzyma sekretu.

Sara wzięła głęboki oddech. Miała uczucie, że z jej ramion nareszcie zdjęto ogromny ciężar. Sekret Liwie był bezpieczny; ten człowiek nigdy nie zagrozi jej dobremu imieniu.

Zarazem ogarnął ją niewytłumaczalny smutek. Przybył z tak daleka, po zemstę, po sprawiedliwość. Teraz odjeżdżał w pewien sposób znacznie uboższy. Wiedział, że ma drugą rodzinę, lecz nigdy nie będzie mógł się do niej przyznać. Sara dopiero w ostatnich tygodniach zaczęła rozumieć, jak bezcenna jest rodzina.

Teraz dobrze rozumiała, że bardziej miłość niż nienawiść przywiodła go do Szkocji. Dobrze rozumiała też, że on nigdy nie zraniłby umyślnie ani jej, ani jej rodziny. Jakże szanowała go za to, że osiągnął sukces cięż-kapracą, a nie dzięki rodzinnym powiązaniom.

Jakże chciała, by oni oboje mogli poznać się na nowo i zacząć wszystko od początku. Z trudem przełknęła ślinę. Och, jakże chciała, by mogli zacząć od początku!

12 - Nieodparty i nieznośny

177

Lecz nie mogli. Postąpił honorowo, proponując małżeństwo. Ona postąpiła honorowo, nie przyjmując tej propozycji. Nic więc nie powiedziała, a po chwili on odchrząknął.

•Tobie pozostawiam chłopca - powiedział. — Chciałem tylko, byś się dowiedziała, że nie złamałem naszej umowy.

•Wiem - usłyszała drżenie w swym głosie. Dlaczego to było takie trudne?-Wiem.

Skinął głową, po czym odwrócił się i wyszedł z pokoju. A w pustce, jaka pozostała po jego odejściu, Sara słyszała echa ostatnich kilku burzliwych tygodni. Echa, które chciała pamiętać, którymi chciała się rozkoszować przez resztę pustych dni. Gdyż wiedziała, że będą puste.

Gdy spojrzała na stojącego Adriana, zdała sobie sprawę, że musiała jeszcze uporać się z Adrianem.

Czytając w jej myślach, Adrian rzekł:

-Nie powiesz jej o nim, prawda? O tym, że ma brata.

Krzywiąc się, Sara stanęła z nim twarzą w twarz.

- Jeszcze nie teraz. Ale... ale w końcu tak. Myślę, że powinna wiedzieć.
Adrian zmarszczył brwi.

- Nie wiem, dlaczego chcesz z tym czekać. On wyjeżdża do Ameryki. Jeśli będziesz zwlekać, ona go nie zobaczy.

-Myślę... że on właśnie tego chce.

- Chcesz powiedzieć, że nie chce poznać swej siostry?

Chłopiec podszedł do okna i wyjrzał przez nie, lecz Marshalla MacDougala już nie było. Odwrócił głowę i spojrzał na Sarę. -Gdybym ja miał siostrę, chciałbym ją poznać.

- Cóż. Pan MacDougal jest człowiekiem nieprzewidywalnym. Udo wodnił to, nie mówiąc szeryfowi o tym, co zrobiłeś.

Adrian zrobił zakłopotaną minę, a Sara naciskała dalej:

- Spodziewam się, że zachowasz sekret pana MacDougala, Adrianie. To znaczy, że nikomu nie powiesz. Nigdy. Ja zachowam twój sekret przed szeryfem i wszystkimi ludźmi w Kelso, a ty dochowasz sekretu pana MacDougala i Olivii. Zgoda?

Oczywiście, zgodził się. Jednak później, gdy Adrian poszedł już do domu, a Sara została sama ze swymi posępnymi myślami, przyszlącej do głowy nieprzyjemna refleksja, że choć Adrian miał dochować jeden sekret, ona miała aż trzy.

Nie było trudno zataić tożsamość osoby, która postrzeliła Marsha. Trudniej byłoby zachować milczenie o tym, kim naprawdę jest ten Amerykanin. Lecz. byłoby prawie niemożliwe ukryć prawdę o tym, co zaszło mi-

178

dzy nią a Marshem. O starciu woli, wybuchu namiętności, a teraz, po jego odejściu, niezmiernej głębi jej uczuć.

Teraz, gdy siedziała sama w pustym salonie, jej największym sekretem była pewność, że oddała mu także swe serce.

Do diabła! Co ty tutaj robisz, chłopcze?

Nie dość, że Marsh miał pulsujący ból głowy, bolący bark i język szorstki od zbyt wielkiej ilości alkoholu, to jeszcze musiał go dręczyć chudy opryszczek, który przestrzelił mu ramię.

Patrzył gniewnie na spoconego chłopca stojącego w drzwiach pokoju, który wynajął w St. Boswell. Opuścił Kelso dwa dni temu. Właściwie powinien już być w Dumfries, uzgadniając rejs na jakimś statku. Lecz coś go wstrzymywało. Pierwszego popołudnia zatrzymał się tutaj i dalej nie ruszył.

Gdyby już wszedł na statek, po kilku tygodniach dotarłby do domu, do Ameryki. Lecz na tę myśl tylko potrząsnął głową. Nie byłby w domu, bo go nie miał. Dom to miejsce, gdzie ludzie się kochają ajego nikt nie kochał. Już nie. Miał przedsiębiorstwo i dach nad głową; kilku przyjaciół, którzy bardziej byli partnerami w interesach niż bliskimi mu ludźmi. To wszystko.

Został więc w tym nędznym zajeździe pocztowym, pijąc za dużo, rwąc się do bójek i o wiele za często myśląc o Sarze.

Zły na siebie, skupił gniew na chłopcu.

- Pytałem, co ty tutaj robisz? Dlaczego mnie śledziłeś? Nie masz bro ni, prawda? - warknął. - A może przyjechałeś mnie wykończyć?

Chłopiec nie odpowiedział. Zamiast tego zaczął otrzepywać zakurzonym kapeluszem bryczesy, jakby szukał odpowiednich słów. -Ja... uuu... chciałem porozmawiać z panem.

- Nie. - Marsh zaczął zamykać drzwi, lecz chłopiec przemknął obok niego i wpadł do pokoju. - Do diabła! Wynoś się stąd!

- Ja tylko chcę o coś pana zapytać.
-O co?

Chłopiec z trudem przełknął ślinę. Był zdenerwowany i Marsh zaczął mu współczuć. Łagodząc ton,

powtórzył:

•O co?

•Ja... ja wiem, że nic mi pan nie jest winien - zaczął chłopiec. - Chcę powiedzieć, że postrzeliłem pana i tak dalej. To ja jestem panu coś winien.

179

Więc... więc przyjechałem tutaj, bo pomyślałem, że może mógłbym popłynąć z panem, do Ameryki. Marsh zdumiony spojrzał na Adriana.

- Mógłbym pracować dla pana - ciągnął pospiesznie chłopiec, a uszy mu poczerwieniały. - Mógłbym robić wszystko, co by pan chciał...

-Najpierw chciałeś mnie zabić. A teraz chcesz dla mnie pracować? -Marsh znów pokręcił głową. -Nie rozumiem cię. Dlaczego chcesz wyruszyć tak daleko? Tutaj masz dom, rodzinę.

-Nie pasuję tutaj!

- A co z matką? Z ciotką i stryjem? I co z Sarą?

-Oni nie rozumieją.

-Nie rozumieją czego?

- Co to znaczy być bękartem!

Zdrową ręką Marsh potarł kark. Do diabła. Co miał mu odpowiedzieć? Tak jak Adrian, nigdy nie miał ojca. Lecz zawsze wierzył, że ma. Nawet teraz, wiedząc o drugim małżeństwie Camerona Byrde'a, czerpał pewną pociechę z tego, że nie jest niczym bękartem.

Lecz był to tylko papier. Nic więcej.

Adriana i jego łączyła więź. Byli chłopcami, którzy wychowywali się bez ojców.

Patrzył w pełne nadziei oczy stojącego przed nim młodzika i widział, jak ta nadzieja, w miarę jak mijały sekundy, zmienia się w zniechęcenie.

Westchnął.

- Usiądź, Adrianie. Pomyślmy o tym. - Wskazał dzban. - Poczęstuj się. Jesteś głodny? — Zamówił talerz jedzenia, a potem patrzył, jak chłopiec szybko je pochłania. Łatwo zaspokoić fizyczny głód i pragnienie Adriana. Trudniej jednak było poradzić sobie z głodem i pragnieniem jego duszy.

Przysunął krzesło i z łokciami na kolanach usiadł naprzeciw Adriana.

•Myślisz, że jeśli nasze położenie jest podobne - to ty i ja jesteśmy podobni. Ale nie jesteśmy, Adrianie. Moje życie jest w Ameryce, a twoje tutaj.

•Ależ nie. Próbowałem. Nienawidzę szkoły, do której posłał mnie stryj. A w domu - urwał, spoglądając z nachmurzoną miną na swe ręce. - Widział pan moją matkę - dodał ledwie słyszalnym głosem.

•To nie znaczy, że możesz ją opuścić.

•Jej to nie obchodzi. Znalazła już opiekuna. Marsh potrząsnął głową.

•Powiedziałaś matce, że wyjeżdżasz? Kiedy chłopiec milczał, Marsh podjął:

•Musisz wrócić do Kelso, Adrianie. Porozmawiać ze stryjem. Jeśli on chce płacić za twoje kształcenie, to byłbyś głupi, odrzucając jego pomoc. Porozmawiaj z tym człowiekiem. Znajdź inną szkołę. Za kilka lat będziesz gotowy, żeby pójść własną drogą. Ale jeszcze nie jesteś gotowy, synu.

•Jestem gotowy! - chłopiec zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

-Tak myślisz? - Marsh także wstał. - Jak sądzisz, jak pracę może otrzymać chłopiec bez wykształcenia? He może zarobić? Niewiele. A za kilka lat, kiedy będziesz chciał się ożenić, jaką przyszłość będziesz mógł zapewnić rodzinie? To, co zrobisz ze swym życiem teraz, zadecyduje, jakim mężczyzną będziesz później. Daj Boże, żeby lepszym, niż był twój ojciec.

Nie były to słowa, jakie Adrian chciał usłyszeć. Lecz Marsh spostrzegł, że wywarły na nim wrażenie. Dłonie chłopca zacisnęły się w pięści, podbródek drgał. Lecz Adrian nie miał gotowej odpowiedzi, a kiedy wreszcie przemówił, to nie we własnej obronie.

- Mam nadzieję, że myśli pan to, co mówi. I mam nadzieję, że jakiekolwiek odebrał pan wykształcenie, pewnego dnia uczyni ono pana do brym ojcem. Aie nie wydaje mi się, byśmy się kiedyś tego dowiedzieli, prawda?

Marsh spojrział na niego ze zmarszczonymi brwiami.

•Co to ma do rzeczy?

•A co z Sarą?

Marsh napiął mięśnie. Wiedział dobrze, dokąd zmierza Adrian. Sara odrzuciła jego propozycję małżeństwa, lecz to nie znaczy, że nie zmieni zdania. Szczególnie, jeśli miałyby coś wyniknąć z tej niewiarygodnej nocy, którą spędzili razem.

Kiedy Marsh nie spieszył się z odpowiedzią, chłopiec wysunął podbródek.

•Zrobił jej pan dziecko? -Nie.

•Tak pan mówi. Ale nie ma pan pewności.

Marsh z trudem przełknął ślinę. Ostatnie, czego by chciał, to zniszczyć reputację Sary. Mimo to coś w nim chciało powiedzieć całemu światu, co zrobili razem. Uświadomił sobie, że przez to zwleka z wyjazdem.

Widząc jego wahanie, Adrian uśmiechnął się triumfalnie.

-Nie wie pan, prawda? A jeśli pan wyjedzie, nigdy się pan nie dowie. Ale też - dodał chłopiec drwiąco - może nie chce pan wiedzieć?

Marsh zeszywniał.

- Pilnuj swego nosa - warknął na chłopca. W istocie, nie wiedział już, czego chce.

•Chce pan, żeby została z bękartem? - ciągnął Adrian. - Czy taki był pana plan?

•To śmieszne! - Marsh spojrział gniewnie na chłopca. - Jaki mam powód, żeby szukać zemsty na Sarze?

Adrian prychnął.

-Widziałem, jak pan na nią patrzył. Pan jej chciał. I zdaje się, że ją pan posiadał. Ale może nawet po tym ona nadal pana nie chciała, bo... bo nie jest pan dość dobry dla niej — powiedział. - Bo jest pan

bękartem.

Marsh z trudem powstrzymywał chęć wykrzyczenia prawdy. Nie jestem niczym bękartem. Jestem prawowitym dziedzicem Byrde Manor! Lecz nie mógł tego zrobić. Zawarł z Sarą umowę.

Ostatecznie zawarł umowę również z Adrianem.

Chłopiec wróci do Kelso, a po powrocie stryja Adrian odbędzie z nim długą rozmowę o swej przyszłości. W zamian Marsh pozostanie w Szkocji wystarczająco długo, by się dowiedzieć, czy Sara jest z nim w ciąży.

Marsh uświadomił sobie, że zamierzał to zrobić. Dlatego został w tej szczurzej norze. Po prostu nie mógł wyjechać do Ameryki, zanim się nie dowie, co z Sarą.

Tego popołudnia Marsh i Adrian wracali do Kelso, jadąc obok siebie, DutT na koźle powozu. Chłopiec nie ukrywał niechęci wobec służącego Marsha.

- Ale ja mam uczciwe zamiary - zaprotestował DutT, gdy Marsh na osobności wyjaśnił mu problem.

- Uczciwe?

Wobec sceptycznego tonu Marsha, Duff skrzywił się z niezadowoleniem.

- Estelle może nie prowadziła zakonnego życia, ale ma dobre serce. -
Błysnął swym szerokim uśmiechem. - Dobre serce pod parą sporych piersi.

- Ona jest matką tego chłopaka. -Wiem. Wiem.

- Więc uważaj przy nim na swój język.

- Dobra. Ale wie pan, wielmożny panie - powiedział Duff, zerkając na Marsha- zdaje mi się, że ja lepiej sobie radzę z moją panią niż pan ze swoją.

Marsh zesztyniał.

- Jeśli będę potrzebował rady, poproszę o nią.
Duff pokręcił głową.

- Gdybym był słynnym bokserem, powiedziałbym jej to. Damy lubią takie rzeczy - nawet wytworne damy.

Marsh miał ochotę warknąć na służącego i powiedzieć mu, by pilnował swego nosa. Zamiast tego potarł sobie kark.

- Chciałbym, żeby to było takie proste - mruknął.

182

Duff uśmiechnął się szeroko.

- Wiedziałem. Wiedziałem, że pan jest tym MacDougalem - ucieszył się.
-To już przeszłość -powiedział Marsh, przerywając Duffy'emu. -Bez

znaczenia, szczególnie dla Sary.

- O, nigdy nic nie wiadomo. Może jeśli pan oczyści atmosferę między wami, wie pan, wyjawi wszystkie swoje tajemnice, to może okaże się, że wszystko jest o wiele prostsze, niż pan myśli.

Lecz Marsh wiedział lepiej. Między nimi było zbyt dużo bolesnych tajemnic.

Odbyli kłopotliwą drogę powrotną. Marsh nie wziął pokoju w Kelso. Zamiast tego zatrzymał się w odległym o półtorej godziny Rutherford, w gospodzie, gdzie tamtej pamiętnej burzliwej nocy wpadł na Sarę.

Adrian obiecał poinformować Marsha, gdyby usłyszał coś o Sarze. Jednak z upływem dni Marsh czuł narastającą frustrację. Sto razy przeprowadzał obliczenia. Dwa tygodnie, zanim wypadnie jej miesięczna dolegliwość. Dziesięć dni. Tydzień.

Pogoda stawała się gorętsza. Farmerzy modlili się o deszcz. Marsh codziennie jeździł po wzgórzach. Lecz nigdy nie pojechał w stronę Kelso i Byrde Manor.

Duff jednakże jeździł. Co noc znikał, by się zobaczyć z Estelle, a Marsha dręczyła myśl o ich szczęśliwym związku, Co noc przypominał sobie wszystko o Sarze. Jej energię i determinację, ogień w jej oczach. Pamiętał również miękkość skóry i jędrność młodego kobiecego ciała. Namietność.

Przypominanie sobie jej niewiarygodnej pasji doprowadzało go do szaleństwa.

Były to niebezpieczne myśli. By je przegnać, zmuszał się do wyobrażania sobie swego życia jako dziedzica Byrde Manor. Uczenia się jazdy konnej i polowania u boku ojca. Jedzenia posiłków przy tym samym stole z obojgiem rodziców. Patrzenia, jak jego matka uśmiecha się do mężczyzny, którego kocha.

Myśli te były niemal tak niebezpieczne jak tamte. Przeszłości nie można zmienić.

Lecz noce były takie długie. Gdyby rodzice zostali małżeństwem, nie byłoby drugiej żony Camerona Byrde'a, przypominał sobie. Nie byłoby Olivii i szansy, że spotka Sarę Palmer. Nie byłby Amerykaninem, lecz brytyjskim poddanym.

Jakoś nie wydawało mu się to kuszące. Może jego matka byłaby szczęśliwsza, lecz co do niego...

Pewnej nocy nie mógł znieść wszystkich tych przykrych myśli. Upłynęło dość czasu. Co dzień oczekiwał jakichś wiadomości od Adriana.

183

Wzburzony potarł kark. Dlaczego nie miałby sam stanąć przed Sarą? Po prostu wjechać na podjazd, zażądać rozmowy z nią, po czym zadać jej pytanie.

Czy spodziewamy się dziecka?

I jaką odpowiedź chciałby usłyszeć?

Nie wiedział.

Chciał się dowiedzieć, że ona nie jest przy nadziei i tym samym pozbyć się poczucia winy. A jeśli istotnie nie było problemu, to nie ma sensu zostawać tu dłużej. To go przerażało.

Lecz jeśli onajest przy nadziei...

To także go przerażało.

Nie wiedział, jaką odpowiedź chce od niej usłyszeć. Doprowadzało go to do szaleństwa. Wyskoczył więc z pościeli, włożył bryczesy, koszulę, wciągnął buty. Pomaszerował do stajni, osiodłał konia i mszył do Kelso. Musiał się z nią zobaczyć, stawić jej czoło i zapytać ją wprost.

Ona może jeszcze nie wiedzieć. Lecz to go nie obchodziło. Musiał się ruszyć, zobaczyć Byrde Manor. Zobaczyć Sarę.

Było to szaleństwo. Powinien poczekać przynajmniej jeszcze tydzień. Lecz nie mógł. Musiał pojechać teraz.

Sam siebie już nie poznawał.

Sara leżała w swym zaciemnionym alkierzu. Za dnia mogła ignorować dowody, które z każdym świtem stawały się coraz bardziej dobitne. Jednak nocą, kiedy nic nie rozpraszało jej uwagi, jej demony ją torturowały.

Upłynęło sześć tygodni od jej ostatniej miesięcznej przypadłości. Pamiętała to, ponieważ zdarzyła się ona tuż przed jej ucieczką z lordem Pen-leyem. Odepchnęła go wówczas, aż skończy się jej kobieca przypadłość.

Zdawało jej się, że od tamtej pory upłynął rok, a nie zaledwie półtora miesiąca. Tyle się zdarzyło w tym czasie. Tyle się zmieniło. Szczególnie ona.

Jednak to, czego się obawiała, było o wiele większym problemem. Jej ręka zsunęła się i spoczęła lekko na brzuchu. Czy to możliwe, że spodziewa się dziecka? Jego dziecka?

Jeszcze raz przeliczyła tygodnie do tyłu; po czym przeliczyła miesiące do przodu. Marzec. Bardzo prawdopodobne, że do następnego marca zostanie matką. Przerazała ją to.

A mimo to, oprócz okropnego strachu czuła też radość. Dziecko Marshalla MacDougala. Cała samotność tych ostatnich tygodni, wszystkie

184

żale, całe nieszczęsne pragnienie, by znów go ujrzeć - wszystko to wydawało się łatwiejsze do zniesienia, jeśli istotnie nosiła w sobie dziecko.

- O, Boże. Wariujesz - mruknęła, wtulając twarz w poduszkę. - Całkiem tracisz rozum. Pomyśl o rzeczywistości. Zajście w ciążę bez męża to ostateczna zguba.

Na potwierdzenie tego wdarł się jej w myśli obraz Estelle Kendrick i Sara zdrzała. Czy to brak męża przy narodzinach dziecka zmieniły Estelle w taką nieszczęśliwą kobietę, która rozpaczliwie starała się o względy każdego mężczyzny?

Nawet przy swej nieszczęsnej matce i niefortunnych okolicznościach swych narodzin Adrian był wspaniałym chłopcem. Przy pomocy Liwie i Neville'a Adrian na pewno wyrośnie na uczciwego człowieka.

Znów przewróciła się na łóżku i obróciła twarzą do ciemnego sufitu. Jeśli jest w ciąży, będzie musiała wyjechać. Nie mogłaby tutaj zostać ani wrócić do Londynu. Gdy Neville i Olivia wrócą z Glasgow, będzie musiała wyjechać i wychowywać dziecko sama. Nie mogła zrujnować reputacji własnej rodziny. Lecz jej problemy w przyszłości były mniej ważne od sytuacji tu i teraz. Czy powinna powiedzieć o dziecku Mar-showi?

Usiadła. Miała wrażenie, że zaraz wyskoczy ze skóry. Jakże chciała pojechać za nim, powiedzieć mu wszystko! Chciała powiedzieć: Kocham cię. Proszę, wróć z Ameryki i ożeń się ze mną.

Lecz nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Prawdziwe nazwisko Marsha brzmiało Byrde. Gdyby wrócił do Kelso, stworzyłoby to kompromitującą sytuację dla jej rodziny.

Teraz to nie miało znaczenia. Prawdopodobnie był gdzieś na środku Atlantyku i nie mógł się doczekać, by wrócić do swego dawnego życia. Poza tym nie wiedziała na pewno, czy jest w ciąży. Może po prostu jej miesięczna przypadłość się spóźnia.

Zbyt niespokojna, by pozostać w łóżku, wstała i włożyła szlafrok, po czym po omacku przeszła przez ciemny i cichy dom i zeszła na dół. Na dworze było zimno, lecz to jej nie powstrzymało. W tej chwili nawet ubranie ją więziło.

Stała na otwartym dziedzińcu i rozglądała się po nierównych cieniach wokół domu. Z tyłu nadbiegł pies. Lecz rozpoznał znajomy zapach, obwąchał jej kostki, po czym, kiedy rozpoznał, że nie ma dla niego jedzenia, odszedł powoli za róg domu.

Jestem całkiem sama, powiedziała sobie. Sama z tym problemem, któremu Maureen MacDougal, Estelle Kendrick i niezliczone inne kobiety przez wieki stawiały czoło. Roześmiała się głośno. Ona przynajmniej ma

185

środky, by żyć bez chodzenia na służbę. Mogła stworzyć skromny dom dla siebie i swego dziecka. Skromne, uczciwe życie.

Nie pocieszała jej ta myśl. Nagle ciemności, które ją otaczały, wydały się jej niezmiernie groźne. Kuląc ramiona, zawróciła do domu.

Marsh patrzył, jak Sara odchodzi. Nie rozróżniał jej rysów ani żadnej części smukłej sylwetki na dziedzińcu, lecz wiedział, że to Sara. Kto inny jak nie jego namiętna, nierozważna Sara wędrowałaby przy księżycu, strasząc stare psy i dręcząc takich mężczyzn, jak on?

Patrzył, jak znika w ciemnych czeluściach domu i zacisnął usta. Przyjechał tutaj, by ją zobaczyć; mimo to z niepojętych powodów skamieniał ze strachu.

Koń pod nim grzebał kopytem w piaszczystej ziemi. Zza domu znów wybiegł pies, szczekając w jego stronę.

Marsh powoli zawrócił konia. Szczekanie psa stało się głośniejsze; Marsh zostawił za sobą Byrde Manor.

Bękart, bękart, wydawał się ujadać pies. Bękart.

Może nie był bękartem, ale na pewno był i tchórzem. Nie lepszym niż jego ojciec, który wykorzystał kobiety, po czym zostawił ją z konsekwencjami tego czynu. On właśnie zrobił to Sarze.

Nigdy nie będzie w stanie zwrócić jej niewinności. Lecz mógł zwrócić jej pieniądze. Mógł także zaczekać, aż ona będzie miała pewność co do dziecka.

A wtedy?

A wtedy, jeśli nosi jego dziecko, ożeni się z nią. Bez względu na konsekwencje i więzi, jakie wtedy połączą go z rodziną ojca, ożeni się z Sarą Palmer.

Mógł to zrobić.

25

Saro! — Olivia wpadła do pokoju siostry i nie pozwalając jej wstać z krzesła, uściśnęła ją mocno. - Och, Saro! Kiedy pani Tillotson powiedziała mi, że od ponad miesiąca jesteś w Szkocji, nie mogłam w to uwierzyć! List, który wysłałaś mi do Glasgow, musiał zagać. - Odsunęła się, przechyliła na bok głowę i badawczo przyjrzała się młodszej siostrze. - To znaczy, zakładając, że naprawdę do mnie napisałaś.

186

Sara była zbyt szczęśliwa, że widzi starszą siostrę przyrodnią, by ukrywać prawdę.

- Przepraszam, przepraszam - powtarzała, ściskając dłonie Olivii. Po ciągnęła ją i posadziła na krześle obok. - Powinam napisać do ciebie i jest mi przykro, że oszukałam panią Tillotson. Prawdę mówiąc, matka zesłała mnie tutaj za to, że planowałam ucieczkę z pewnym człowiekiem, który okazał się łajdakiem. Musiałam dowieść jej i Jamesowi, że potrafię

radzić sobie ze swoim życiem lepiej, niż robiłam to dotąd.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem na widok miny Olivii.

- Wiem. Wiem. Myślisz, że jestem lekkomyślna. Ale uczę się, Liwie. Naprawdę się uczę. Nie jestem już niemądrą londyńską panną. Wyrosłam z tego wszystkiego. - Ucisnęła ręce ukochanej siostry. - I jestem taka szczęśliwa, że cię widzę.

Patrzyły na siebie przez długą chwilę.

- To taka radość mieć cię tutaj - powiedziała Olivia. - Nie będę zaskoczona, jeśli okaże się, że w twojej historii jest o wiele więcej, niż wyjawiaś, ale będziemy miały mnóstwo czasu, żeby o tym pomówić. Chodź. Chcę, żebyś się zaraz spakowała i pojechała z nami do Woodford Court. Neville jest w domu, naradza się z zarządcą. Ale dzieci są na dole, z panią Hamilton i nie mogą się doczekać, żeby cię zobaczyć.

Umilkła i znów przechyliła głowę.

- Dobrze się czujesz?

Sara zmusiła się do uśmiechu.

•Oczywiście. Och, ostatniej nocy niezbyt dobrze spałam, więc może wyglądam na zmęczoną. Wyglądam? Ale chodź - powiedziała szybko. - Muszę zobaczyć dzieci.

•Tymczasem pokojówka cię spakuje.

Godzinę później były już w drodze do Woodford Court.

Wszystko będzie dobrze, powiedziała sobie Sara, gdy przekroczyły rzekę Tweed i skręciły w stronę wiejskiej posiadłości Olivii i Neville'*,. Jakkolwiek ceniła wiejski urok Byrde Manor, dom ten krył w sobie teraz zbyt wiele wspomnień. Szczególnie jej alkierz na piętrze, ten, do którego nocą przyszedł Marsh. Tej nocy, kiedy się kochali.

Nieproszony dreszcz przebiegł jej po plecach i jak gorący supełek zagnieździł się głęboko w brzuchu. Zaciśnęła zęby i wyjrzała przez okno powozu Olivii. Jak długo będzie to czuła? Jak długo będą ją dręczyć wspomnienia o Marshallu MacDougalu?

Ukradkiem zsunęła rękę na brzuch. Do końca twego życia, padła odpowiedź. Jeśli istotnie jesteś w błogosławnym stanie, to nigdy nie uciekniesz od wspomnień o Marshu.

187

Na szczęście, gdy tylko przybyły do Woodford, Sara szybko została wciągnięta w życie domowe całej rodziny swej siostry. Pani Tillotson zaproponowała piknik nad rzeką, a dzieci - Catherine i Philip - okrzykami oznajmili swój zachwyt. Olivia zgodziła się, ogłaszając piknik lunchem na cześć Sary, a Neville przyłączył się do nich.

•Nie brak ci wszystkich tych balów i przyjęć? - zapytał Neville, siedząc ze swym czteroletnim synem na kocu.

•Myślę, że wyrosłam z nich. Ostatecznie, miałam dwa poprzednie sezony - odparła Sara, obracając w palcach źdźbło trawy. Cudowne było to, że jej odpowiedź była prawdziwa. Wcale nie brakowało jej Londynu.

•Proszę. Weź kawałek kurczęcia - zaproponowała Olivia. - Prawie nic nie zjadłaś.

Sara machnęła odmownie ręką.

•Dziękuję, ale naprawdę nie jestem głodna. - Śniadania również nie chciała i na samą propozycję posiłku zbladła. Choć była głodna, myśl o jedzeniu, a zwłaszcza jego zapach, były po prostu odpychające. - Za dużo jest wrzawy z tego powodu -dodała z promiennym, całkowicie fałszywym uśmiechem. Unikała oczu siostry.

•Będziesz teraz z nami mieszkać? - zapytała Catherine. Miała prawie siedem lat, ciemne oczy ojca i słodki uśmiech matki.

Sara odwzajemniła uśmiech.

- Przez jakiś czas.
Olivia zachichotała.

-Nawet jeśli chcesz zrezygnować z Londynu -aja rozumiem, dlaczego - matka nie pozwoli ci długo trzymać się z dala. Nie może się doczekać, żeby cię wydać za mąż i urządzić wielkie wesele w mieście. Mój skromny ślub w Szkocji nie mógł jej zadowolić. A skoro James wydaje się nieczuły na uroki małżeństwa, matka pokłada całą nadzieję w tobie, Saro. Założyłabym się o wielką sumę pieniędzy, że przyśle po ciebie, zanim lato się skończy. A na pewno zanim zacznie się sezon polowań.

Przegrałabyś zakład, pomyślała Sara. Gdyż, jeśli jest w ciąży, pod koniec lata prawda będzie oczywista. Wtedy będzie trzymana tak daleko od Londynu i miejskiego towarzystwa, jak to tylko możliwe.

Lecz nie chciała myśleć o tym teraz. Dzisiaj świeci słońce, a jej siostrzenica i siostrzeniec śmieją się z żabki, którą złapał dla nich ojciec. Na razie będzie się po prostu cieszyć Olivia i jej rodziną. Może później będzie potrafiła zwierzyć się siostrze.

Ciepły wietrzyk bawił się lokiem na jej skroni. Przyniósł także zapach pieczonego kurczęcia i żołądek Sary podszedł jej do gardła z obrzydzenia.

188

Zacisnęła usta i przełknęła ślinę. Może nie musi czekać, by nabrać pewności. Znów przełknęła ślinę, odwróciła twarz od wiatru i odetchnęła głęboko. Może już zna tę gorzką prawdę.

Modliła się tylko, by Olivia jej pomogła. Gdyż wiedziała, że nigdy nie poprosi o pomoc Marshalla MacDougala.

Adrian przyszedł do głównego budynku w chwili, gdy uczestnicy pikniku wracali znad rzeki. Na jego widok dzieci zaczęły krzyczeć, szczególnie Philip, który uwielbiał starszego kuzyna. Chłopak powitał z wielką radością dzieci i rzucił ostrożne spojrzenie na Sarę. Później Adrian zwrócił się do stryja. Początkowe miłe zaskoczenie w zachowaniu Nevil-le'a zastąpiła podejrzliwość. Jego pierwsze skierowane do Adriana słowa nie pozostawiały wątpliwości co do jego stanowiska.

- Co ty tak wcześniej robisz w Kelso? Według moich obliczeń, sesja szkolna kończy się dopiero za kilka tygodni.

Adrian ściągnął brwi i Sara zaczęła się obawiać nieprzyjemnej sceny na podjeździe, na oczach wszystkich. Jednak Adrian powiedział tylko:

- Właśnie o tym przyszedłem z tobą porozmawiać, stryju.

Twarz Neville'a pociemniała, lecz gdy Olivia ostrzegawczo położyła mu rękę na ramieniu, skinął głową.

- Bardzo dobrze. Wybaczcie nam - powiedział do pozostałych. - Adrian i ja będziemy w moim gabinecie.

Dzieci rozbiegły się do innych zajęć, pozostawiając Sarę i Olivie same na frontowym dziedzińcu.

•Och, jakież on podobny do Neville'a, prawda? - zauważyła Olivia, patrząc za oddalającymi się

mężczyznami. - Kiedy wrócił?

•Sądzę, że przyjechał ledwie dzień czy dwa przede mną- odpowiedziała Sara, po czym dodała: - Miałam okazję rozmawiać z jego matką.

•Ach, tak, Estelle - westchnęła Olivia, wzięła Sarę pod ramię i razem wolno poszły w stronę domu. - Nigdy nie wybaczyła bratu Neville'a, że nie ożenił się z nią, ani Neville'owi, że nie zrobił tego zamiast brata. Myśli, że zemści się na nas poprzez Adriana. Ale najbardziej rani swoje dziecko.

Sara milczała przez chwilę. Tak, to bardzo podobne do Estelle. Jednak nie mogła wyrzucić tej kobiety z myśli tak łatwo, jak robiła to przedtem.

•Musiało jej być trudno wychowywać dziecko bez męża.

•Jestem pewna, że było trudno i nadal jest. Lecz czy łatwiej jest dziecku dorastać bez ojca?

189

•My potrafiliśmy - odparła Sara. - Każde z nas straciło ojca - ty, ja i James. Mimo to wyrosliśmy na porządnym ludzi.

•Zgoda. Jednak nasza matka nas kochała, podobnie jak jej kolejni mężowie. Szczególnie twój ojciec był bardzo dobry dla mnie i Jamesa. A potem Justin dbał o ciebie.

•To prawda. Ale Adrian ma Neville'a.

•Tak i nigdy nie uchylał się od obowiązków wobec chłopca. Jednak Adrian nie przebywa codziennie w naszym domu. Estelle często nastawia go przeciwko nam.

Sara skrzywiła się.

•Czasami myślę, że sprawia jej to przyjemność. Olivia zachichotała.

•Rozumiem, że zdążyłyście się pokłócić?

Na szczęście pani Tillotson podeszła do Olivii, umożliwiając Sarze ucieczkę do pokoju porannego. Musiała zebrać myśli i przygotować odpowiedź. Olivia dowie się w końcu o krótkiej, lecz pamiętnej wizycie Marshalla MacDougala w Kelso. O jego bójce z panem Guinea, o postrzeleniu pana MacDougala, a także o dziwnych paru tygodniach. Powinna pierwsza opowiedzieć o tym Olivii.

Lecz nie o pochodzeniu Marshalla MacDougala ani o swoim stanie.

To także może jeszcze poczekać.

- Liwie - zaczęła, kiedy siostra weszła do pokoju. - Usiądź, a ja ci opowiem o tym, co się ostatnio działo w tych stronach.

W gabinecie podobną historię Adrian opowiadał stryjowi.

•A więc postrzełeś go! - Neville wytrzeszczył oczy. - Postrzełeś tego człowieka? Tego Amerykanina?

•Tak. Ale Sara uratowała go przed utonięciem, a... a rana nie była aż tak straszna...

•Czy szeryf o tym wie?

•Nie. To znaczy, tak. To znaczy, wie, że pan MacDougal został postrzelony. Ale nie wie, kto to zrobił. - Chłopiec wtulił głowę w ramiona. - Pan MacDougal postanowił mu nie mówić.

•Dlaczego? Dlaczego miałby ukrywać taką wiadomość i pozwolić ci uniknąć kary?

-Nie wiem. Myślę... myślę, że on mnie lubi.

190

- Lubi cię? - Ze zdziwienia Neville aż podniósł ręce do góry. - Próbujesz go zabić, a on cię lubi?

Adrian pokręcił głową. Trudno było powiedzieć prawdę, a zarazem ukryć jej część.

- Stałem przed nim jak mężczyzna i przyznałem się do winy, a on... poczuł dla mnie szacunek.

Neville potarł sobie skronie.

•Gdzie on teraz jest?

•Wyjechał - wyrwało się Adrianowi kłamstwo. — Dlaczego chcesz wiedzieć?

•Dlaczego? Dlatego, że jestem twoim opiekunem i moim obowiązkiem jest naprawić twój błąd.

•Ale... ale ja już to zrobiłem. Neville prychnął.

•Dokąd wyjechał? Adrian szybko się namyślił.

•Powiedział panu Haibrechtowi, że wraca do Ameryki. — Nie kłamał, gdyż Amerykanin właśnie to powiedział oberżyscie.

•Do Ameryki? To po co przebył całą tę drogę? Po to, żeby się pokręcić i po miesiącu wrócić do Ameryki?

•Skąd mam wiedzieć? - Adrian wzruszył ramionami. - Masz zamiar wysłać mnie z powrotem do tej szkoły, stryju? - dodał, rozpaczliwie pragnąc odwrócić uwagę Neville'a od postrzelenia pana MacDougala. Gotów był nawet rozmawiać o Eton.

Ku jego wielkiej uldze Neville przez długą chwilę kręcił głową, po czym zapytał:

- Zostałbyś, gdybym cię posłał?

Później tej nocy, w zaciszu głównej sypialni, Neville wyjawiał Olivii, o czym rozmawiał z Adrianem.

- Dam sobie głowę uciąć, że pewnego dnia ten chłopak trafi do więzienia i nie będę mógł mu wtedy pomóc.

Olivia usiadła przy toalecie. Wyjęła szpilki z fryzury, wzięła szczotkę i powoli zaczęła rozczesywać splątane włosy.

- Ten Marshall MacDougal wywarł chyba wielkie wrażenie w Kelso. Ogromnie żałuję, że go nie poznaliśmy. Wiesz, ilekroć Sara mówiła o nim, to albo schylała głowę, albo odwracała ode mnie oczy.

Ściągnęła brwi i szczotka znieruchomiała jej w ręce.

- Jak myślisz, co to znaczy?

Neville odrzucił na bok szlafrok i usiadł na łóżku.

191

•Co sugerujesz? Ze ona flirtowała z tym człowiekiem? Dobry Boże, myślisz, że to dlatego Adrian go

postrzelili? Ten łobóz bardzo mgliście mówił na ten temat.

•Być może. Ale powiedziałaś, że według Adriana ten człowiek go lubi? W tym chyba nie ma sensu.

-Nic, co ten chłopiec robi lub mówi, nie ma sensu — burknął Neville. — Wiesz, dzisiaj zgodził się wrócić do Eton. Ale nie wierzę, że dokończy tam naukę. Muszę mu znaleźć coś, co wzbudzi jego zainteresowanie i pobudzi umysł. -Jego oczy spoczęły na niej. Uśmiechnął się i poklepał łóżko obok siebie. - Chodź tutaj, Liwie. Możesz zapomnieć o szczotkowaniu włosów, bo zamierzam je potargać.

Uśmiechnęła się i podeszła do łóżka.

- Wiesz, kiedy cię poznałam, zachowywałam się tak, jak Sara teraz. Neville uniósł brew.

•Chcesz powiedzieć, że Sara zadurzyła się w tym MacDougalu, tak jak ty zadurzyłaś się we mnie?

•Zadurzyłam? - Uśmiech Olivii stał się zmysłowy. - O ile sobie przypominam, moja pierwszą reakcją na ciebie było oburzenie, a zaraz potem strach i wściekłość.

•Które szybko ustąpiły miejsca ciekawości, zauroczeniu i żądzy. -Objął ją w talii i pociągnął na siebie.

Choć wydała z siebie cichy pisk zdumienia, chętnie mu uległa.

- A co z miłością? Nie zapominasz o niej?

-Nie. Chyba nie.

-Zastanawiam się, w którym momencie jest Sara - rozwodziła się Olivia, gdy mąż już przewróciła ją na plecy. -Nie jest oburzona ani się go nie boi. Nie jest też na niego wściekła.

- Czy możemy na razie zapomnieć o Sarze? Poza tym tego MacDougala tutaj niema. A ja jestem- dodał, wcałowując te słowa w jej szyję.

Mimo że przebiegł ją ciepły dreszcz pożądania, Olivia nie mogła zapomnieć o młodszej siostrze.

•Możliwe, że jest zaciekawiona. Może nawet zauroczona.

•Wygląda na to, że ona pożąda tego mężczyzny. Ostatecznie, ile ma lat? Dwadzieścia? Powiedziałaś, że raz już próbowała uciec z mężczyzną. Mmm - dodał, przesuwając językiem po jej obojczyku. - Chcesz ze mną uciec, dziewczynko?

Olivia roześmiała się i odepchnęła go, lecz zaraz znów spoważniała.

•Dobry Boże, nie myślisz, że oni coś zrobili, prawda?

•Proszę, Olivio, czy możemy odłożyć do jutra rozmowę o twojej siostrze? - Przynął się do niej i przycisnął swą męskość do jej brzucha.

- Dobry Boże - powtórzyła Olivia, nadając tym słowom całkiem nowe znaczenie.

Potem, gdy leżeli razem w ciepłym łóżku, Olivia znów zaczęła rozmyślać nad dziwnym zachowaniem młodszej siostry. Sara opowiadała o nieudanej ucieczce z lordem Penleyem, wytłumaczyła jej i Neville'owi swoją obecność w Kelso, a także zamiar ucywilizowania buntowniczego Adriana. Wyrzuciła nawet bardzo dojrzałą opinię o Estelle Kendrick.

Lecz ilekroć pojawiał się w rozmowie nieobecny pan MacDougal, stawała się powściągliwa. Olivia miała wrażenie, że między nimi coś jest, że Sara ukrywa jakąś tajemnicę.

Czy to możliwe, że zakochała się w tym mężczyźnie?

Olivia przytuliła się plecami do Neville'a i uśmiechnęła w poduszkę, gdy otoczyło ją jego ramię. Nawet we śnie ją kochał. Jakież miała szczęście.

Wydawało się, że Sara nie miała tyle szczęścia, gdyż ten pan MacDougal, o którym tak niechętnie mówiła, najwidoczniej jej nie kochał. Inaczej nie wyjechałby do Ameryki.

Jako starsza siostra Olivia uznała, że musi pomóc uleczyć złamane serce Sary. Przyjmując, że było złamane.

Westchnęła i przeciągnęła się w ramionach Neville'a. We właściwym czasie wyciągnie z Sary prawdę. W przeszłości nie miały przed sobą sekretów. Olivia nie zamierzała dopuścić, by Sara zaczęła je mieć teraz.

26

M

Marsh przejechał przez Kelso bez zatrzymywania się. Dostrzegł piekarza i jego wiecznie czujną matkę. Zobaczył pastora i jego wścibską żonę i pana Halbrechta, zamiatającego frontowy ganek Pod Kogutem i łukiem. Skinął im głową, ale nie zamierzał z nimi rozmawiać.

Jednak gdy dotarł do Byrde Manor i dowiedział się, że Sara odjechała z siostrą i zamieszkała z nią w Woodford Court, omal nie zawrócił. Olivia Byrde Hawke wróciła. Jeśli chciał się zobaczyć z Sarą, musiały się spotkać ze swą przyrodnią siostrą, a nie był na to gotowy. Nie był pewien, czy kiedykolwiek będzie.

Lecz w końcu nie zawrócił. Wrócił do Kelso, przejechał przez rzekę i minął gromadkę domków, gdzie mieszkał Adrian. Chłopak był lojalny i wbrew pozorom odpowiedzialny. Marsh czuł do niego sympatię.

13 -Nieodparty i nieznośny

193

Na sznurze przeciągniętym między dwoma domkami powiewało pranie. Pies zaszczekał, lecz nie wstał ze swego miejsca. Ktoś go zawołał - prawdopodobnie Adrian. Lecz Marsh nie obejrzał się. Zmierzał do Woodford Court, by zobaczyć się z Sarą i dowiedzieć się prawdy.

Bał się zarówno tego, że Sara jest w ciąży, jak i spotkania z siostrą przyrodnią. Jednak Olivia Byrde Hawke była jego najbliższą żyjącą krewną.

Jechał przed siebie, a wiatr wiał mu w plecy. W głębi jabłoniowego sadu dostrzegł starą kamienną fasadę Woodford Court. Jakby wyczuwając wahanie Marsha, koń zwolnił. Marsh musiał poluzować wodze i piętami pokierować zwierzęciem.

Teraz nie chciał zawrócić, gdyż nie mógłby dalej trwać w tym stanie zawieszenia. Nie zniósłby dłużej tej niepewności.

Skręcił więc przy kamiennych słupkach bramy. Powoli przejechał przez strzelisty cień, rzucany przez kępę buków, potem przez zalany słońcem, przecinający długi podjazd trawnik. Dom był imponujący, sprawiał wrażenie bardziej fortecy niż rezydencji. Marsh poczuł się jak intruz, jak jakiś błędny rycerz, który przybył po damę swego serca.

Tym razem koń się zatrzymał.

Marsh patrzył na dom. Co on tutaj robi?

Serce zaczęło walić bolesnym rytmem sprzeciwu. Sara nie była damą jego serca. Była dość piękna, by wzbudzić żądzę każdego mężczyzny, a oprócz tego bystra, lojalna i zdecydowana. Gorąco kochała rodzinę, dla której i on nabrał podziwu. Wszystko to oznaczało, że nie zasługiwała na to, by ją zostawić samą, w ciąży.

Jego matka już to przeżyła, odrzucona przez całą swą rodzinę. Nie pozwoli, by Sarę spotkało to samo.

Znów popędził konia. Oparty o kamienne ogrodzenie stary człowiek zawołał coś przez ramię, gdy Marsh przejeżdżał obok. Z odległej stajni od razu wyskoczył chłopak stajenny i ruszył w stronę Marsha.

•Tylko go napój - powiedział Marsh chłopakowi. - Nie zostanę długo.

•Tak, panie. Dobrze, panie.

Gdy chłopiec spojrział z ukosa na konia, Marsh zapytał: -Czy coś jeszcze?

•O, nie, panie. To znaczy... zdaje mi się, że to zwierzę jest z naszej hodowli. Został sprzedany parę lat temu na aukcji koni w Berwick.

•Hodujecie tutaj konie?

-O, tak, panie. Najlepsze konie w całej południowej Szkocji. I jeszcze dalej - dodał, a na jego twarzy odbiła się duma. - Mój ojciec prowadzi tutaj stajnię zarodową.

194

A pewnego dnia syn bez wątpienia odziedziczy tę pracę, pomyślał Marsh, gdy chłopak odprowadził jego konia. Znów rodzinna zażyłość. Wszędzie, gdzie spojrział, widział rodziny. Z wyjątkiem niego wszyscy tutaj mieli matki i ojców, braci i siostry, ciotki i wujów. I ludzie ci byli szczęśliwi.

Co za ironia, że będąc samotny, chciał porzucić jedyną rodzinę, jaką miał.

Znów spojrział na dom, sparaliżowany tnąwą przygnębiającą myślą. Musi się dowiedzieć, czy Sara jest w ciąży. Jeśli ona jest przy nadziei, będzie musiał wyjechać. Tak przecież uzgodnili.

Lecz jedno mógł zrobić. Mógł później odszukać Adriana i uświadomić chłopcu, jak ważna jest jego wielopokoleniowa rodzina. Może Marsh nigdy nie będzie mógł się stać częścią klanu Byrde-Hawke-Palmer, lecz dopilnuje, by Adrian w nim pozostał.

Kiedy Sara dostrzegła jeźdźca, serce jej mocniej zabiło. Z niedowierzaniem patrzyła na niego z okna na drugim piętrze. Przecież już wyjechał do domu, do Ameryki. Niemożliwe, by nadal był w Szkocji, a szczególnie tutaj. Zwłaszcza tutaj.

Mimo to nie mogła pomylić tych szerokich ramion, ciemnordzawego koloru jego włosów i zdecydowanego chodu.

Marshall MacDougal przyszedł po nią. Była to pierwsza myśl, jaka opanowała jej umysł. Przyszedł po nią, ponieważ nie może żyć bez niej, tak jak ona nie może żyć bez niego. Czepiała się tej nadziei, gdy wychyliła głowę i patrzyła, jak zsiada z konia i przekazuje go jednemu z chłopców stajennych.

Dopiero gdy zniknął w starej stróżówce, jej niemądre pragnienia zderzyły się z okrutną rzeczywistością. Jeśli on tutaj jest, to zapewne dlatego, że postanowił zrezygnować z umowy, którą zawarli. Musiał uznać, że nazwisko ojca - i tytuł prawowitego dziedzica Byrde Manor - sadła niego ważniejsze niż pieniądze, które mu zaoferowała.

Zastygła w oknie. Oddychała szybko i ciężko, gdyż ogarnął ją strach. Po wszystkich jej wysiłkach, by temu zapobiec, on nie mógł jej teraz tego zrobić.

Uniosła spódnice i wypadła z pokoju. Biegła korytarzem, przez galerię portretów Hawke'ow, potem w dół kamiennych schodów.

Przez rząd wąskich okien dostrzegła w starym ogrodzie Olivie, w zasłaniającym jej twarz słomkowym kapeluszu. Krzątała się wśród swych roślin i ziół. Przez parterowy hol blisko podnóży schodów przechodziła pani Tillot-son, prawdopodobnie zmierzając na zewnątrz, by zaanonsować gościa.

Sara chwyciła ochmistrzynię za rękaw.

- Czy to pana MacDougala widziałam? - Próbowała zachować spokój, lecz obawiała się, że jej się to nie uda.

195

•Ależ tak. Tak się składa, że przyjechał panią odwiedzić. Pomyślałam, że jest pani w ogrodzie z lady Hawke i Catherine, więc...

•Nie ma potrzeby im przeszkadzać - przerwała jej Sara. Próbowała się uśmiechnąć, lecz wiedziała, że jej uśmiech wypadł blado. - Przyjmę go sama, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Pani Tillotson zgodnie kiwnęła głową, lecz na jej okrągłej twarzy pojawiła się ciekawość. Sara wiedziała, że będzie miała niewiele czasu.

-Bardzo dobrze, panno Saro. Zostawiłam go w bawialni.

Gdy dotarła do drzwi bawialni, nie mogła złapać oddechu. Jednak nie miała czasu, by się uspokoić. Weszła do pokoju i patrzyła, jak Marsh zwraca się do niej twarzą.

Było to o wiele trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Na sam jego widok zamarło jej serce. Uświadomiła sobie, że naprawdę go kocha. Musi go kochać, gdyż żadne inne uczucie nie wyzwoliłoby w niej takiej reakcji.

Z trudem odetchnęła. W jego obecności nawet oddychanie bolało.

Mimo bólu wzięła jeszcze jeden oddech i uniosła podbródek.

- Jest pan ostatnią osobą, jaką spodziewałam się tutaj zobaczyć - zaczęła. - Mam nadzieję, że nie chce się pan wycofać z naszego porozumienia.

Jego oczy były poważne i niespokojne, jednak nie mogła wyczytać w nich żadnego określonego uczucia. Zamknęła za sobą drzwi, lecz nie weszła głębiej do pokoju.

- A więc, co pana sprowadza?

Olivia podniosła wzrok na panią Tillotson.

•Chce pani powiedzieć, że on tutaj jest? Ten tajemniczy pan MacDougal?

•W tej chwili jest w bawialni. - Pani Tillotson skrzywiła się i nerwowo wytarła ręce w swój fartuch. - Zamknęła drzwi. Nie byłam pewna, czy to się pani spodoba.

Olivia z uniesionymi brwiami spojrzała w wąskie okna bawialni. -No, no. Normalnie może byłabym czujniejsza. Ale sądzę, że dam im trochę czasu, zanim do nich dołączę. Gdzie jest mój mąż? - dodała.

- W stajni zarodowej. Klacz z Maghrebu ma się oźrebić.

- To dobrze. A Philip?

-Śpi.

Olivia uśmiechnęła się do siebie i zerknęła na córkę, która plotła wianek z koniczyny.

196

- Proszę zostać tutaj z Catherine, dobrze? - poprosiła panią Tillotson. Uśmiechnęła się szerzej. - Chyba pójdę się umyć, a potem pospaceruję.

Właśnie weszła tylnym wejściem do domu, gdy frontowe drzwi się otwarły i wpadł Adrian. Gdy ją dostrzegł, postanowił nie tracić czasu na uprzejmości.

- Czy jest Sara? Czy jest pan MacDougal?

Olivia przyłożyła palec do ust.

•Tak, są oboje. - Wskazała drzwi do bawialni, po czym dała mu znak, by wszedł z nią po schodach. -A teraz -powiedziała, gdy dochodzili już do drugiego piętra - powiedz, co się tutaj działo pod moją nieobecność.

•Nic - odparł szybko.

•Doprawdy? Więc przybiegłeś tutaj po nic? Żadnego dzień dobry, ciociu Olivio, jakże miło cię widzieć, ciociu Olivio, jak się dzisiaj czujesz, ciociu Olivio?

Adrian miał na tyle przyzwoitości, by zrobić zakłopotaną minę.

- A więc? - Olivia splotła wyczekująco ramiona. - Wiesz, o co tutaj chodzi. Ostatecznie, postrzeliłeś tego człowieka, ona go uratowała, a on ci przebaczył.

Chłopiec się zaczerwienił.

•To... to skomplikowane - mruknął.

•Tak mi się zdaje. Dalej.

•Co jeszcze ci Sara powiedziała? - zapytał wymijająco.

•Niewiele oprócz tego, że ten tajemniczy pan MacDougal wrócił do Ameryki. Tylko że to nieprawda. Czy wiesz, co on tutaj robi?

•Chyba wiem. Ale nie mogę ci powiedzieć - zastrzegł się płaczącym tonem. - Musisz zapytać Sarę, nie mnie.

Przechyliła głowę.

•Niech będzie. Zapytam.

•Nie! - Chwycił ją za ramię, widząc, że rusza w dół schodów. - Nie. Nie wchodź tam jeszcze.

Utkwiła w nim wyczekujące spojrzenie.

- Tylko jeśli mi podasz jakiś powód. I możesz sobie darować tę gniewną minę, Adrianie Hawke'u. Ona jest moją jedyną siostrą i za bardzo ją kocham, żeby nie zwracać uwagi na to, co się tu dzieje.

Adrian mruknął coś pod nosem i Olivia wyłowiła tylko coś o kobietach i słowo "nieznośna". Miała ochotę się roześmiać.

•No dobrze - powiedział w końcu chłopiec. - On przyjechał tutaj dlatego, że się do niej przywiązał, a przynajmniej tak sędzę.

•A ona przywiązała się do niego - powiedziała Olivia, z naciskiem wymawiając słowo "przywiązała".

197

- Czy to wiadomo? Wy, kobiety, jesteście zbyt złożone, żeby mężczyźni wiedzieli, co myślicie.

Tym razem Olivia się uśmiechnęła. Czternaście lat, a już mówi jak mężczyzna.

•Pozwalam sobie być odmiennego zdania, Adrianie. Wiem dokładnie, co myślę; jeśli ponury nastrój mojej siostry jest jakąś wskazówką, to ona musi bardzo lubić tego Amerykanina. - Wzięła go pod ramię i

schodami w dół ruszyli w stronę ogrodu za domem. - I myślę też, że pochwalasz ten wybór. Mam rację?

•Być może- przyznał. W towarzystwie Olivii wracała mu odwaga. Może wszystko to wyjdzie na dobre, pomyślał. Jeśli Sarze naprawdę zależy na tym mężczyźnie - a był pewien, że panu MacDougalowi zależy na niej - to może wyjaśnił nieporozumienia między nimi i się pobiorą. Szczególnie, jeśli Sara nosi ich dziecko.

Lecz jeśli nie nosi?

Olivia ścisnęła mu ramię, przerywając mu tok myśli.

~ Wydaje mi się, że ostatnio bawisz się w swatkę. Nigdy bym nie pomyślała, iż postrzelenie mężczyzny może być najlepszym sposobem przekonania go do małżeństwa. Powiedz mi, czy sądzisz, że powinnam wypróbować ten sposób na twojej matce?

27

C o pana sprowadza? - powtórzyła Sara.

Marsh zastanawiał się nad odpowiedzią. Lecz przede wszystkim wpatrywał się w Sarę. Ubrana była zwyczajnie, a jednak muślinowa suknia w niebieskie paski i z okrągłym wycięciem podkreślała jej młodość i wi-talność. Jej włosy związane były kawałkiem wstążki i opadały na plecy. Tak jak wtedy, w jej alkierzu.

Poczuł przyływ krwi w łędźwiach. Boże, jakże chciał ją objąć. Pocałować.

Nie nosiła żadnej biżuterii, ozdób, tylko całkiem prosty strój. Mimo to w tej chwili wydała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Bardziej ponętna.

Oby była w błogosławionym stanie.

Była to szalona, lecz szczerza myśl. Jeśli jest w ciąży, to nie może mnie odesłać. Będziemy musieli się pobrać.

198

Odchrząknął, próbując zdusić tęsknotę za nią. Potrafił ją pieścić, dawać fizyczną przyjemność, lecz w zwykłej rozmowie nie potrafił wydobyć z siebie słów, które chciałby jej powiedzieć.

Gdyby tylko potrafił jej powiedzieć.

Zacisnął dłonie w pięści, ramiona trzymał sztywno.

•Przyszedłem tutaj - zaczął - bo jest między nami niedokończona sprawa.

•Dostanie pan pieniądze - odparła spokojnie. - Nie musiał pan tutaj przychodzić, żeby mi o tym przypominać.

•Nie po to przyszedłem!

•Więc po co? Żeby mnie denerwować? Żeby się wycofać z naszego porozumienia? - Podeszła do okna i wyjrzała ostrożnie, po czym odwróciła się twarzą do niego. - Chce pan, żeby Olivia się dowiedziała, kim pail jest, czyż nie? Choć się umówiliśmy, nadal chce się pan zemścić. A skoro nie może pan tego zrobić, zamierza pan skrzywdzić ją...

•Nie! Nie, Saro, wcale nie o to chodzi.

-Niech pan mówi cicho - syknęła. Podbiegła do drzwi, wyjrzała przez nie, po czym zamknęła je i odwróciła się szybko. - Czego pan chce? Niech mi pan powie i idzie sobie.

- Do diabła, Saro. Chcę wiedzieć, czy jesteś w ciąży.

Nie tak zamierzał to powiedzieć. Skrzywił się, gdy ona zbladła i cofnęła się o krok.

- To możliwe - ciągnął już spokojnie. - Ty także na pewno się nad tym zastanawiałaś.

Pokręciła głową.

-Nie? Nie, bo się nie zastanawiałaś, czy nie, bo nie jesteś... hm... w błogosławnym stanie?

Otworzyła usta, zamknęła je, po czym odwróciła wzrok.

-Nie. Nie jestem... w błogosławnym stanie.

Ogarnęło go rozczarowanie, nielogiczne, głębokie rozczarowanie.

- Jesteś pewna?

Przytaknęła, bo nie chciała, by ożenił się z nią tylko z poczucia obowiązku.

- Jestem pewna.

W istocie była pewna tylko tego, że Marshall MacDougal w niczym nie przypomina ojca. Marsh nie zostawiłby swego dziecka. To dlatego nie płynął jeszcze przez Ocean Atlantycki. Lojalność wobec matki, która była powodem jego przyjazdu do Anglii, objęłaby również dziecko, które spłodził.

Był takim dobrym i kochającym synem - i zapewne ojcem. Mógł postąpić wobec niej jak należy, lecz to nie znaczy, że ją kocha.

199

Z trudem wzięła oddech. Uświadomiła sobie, że on nie odwzajemnia jej miłości.

- Przyszedł pan na próżno, panie MacDougal. Pański zamiar jest godny uznania, ale... ale może pan wracać do Ameryki. Naprawdę.

Patrzyli na siebie przez długą chwilę. Sara bała się poruszyć, bała się nawet odetchnąć z lęku, że się załamie i zacznie błagać go, by został. Przeszronna bawialnią sprawiała wrażenie olbrzymiej studni, w której najcichszy dźwięk odbijał się echem.

Wreszcie skinieniem głowy Marsh wyzwoił ich z tego okropnego stanu zawieszenia. Oczy miał bez wyrazu, usta zaciśnięte w ponurą linię.

- No cóż, dobrze. - Wziął z krzesła swój kapelusz. Sara odsunęła się od drzwi. On zatrzymał się przy nich, z ręką na klamce.

-Żegnaj, Saro.

- Że... żegnaj - wyjąkała.

Kiedy Amerykanin wyszedł frontowymi drzwiami, Olivia czekała. Zajęła strategiczną pozycję na ławce, w połowie drogi między frontowym wejściem a ocienionym korytem z wodą, gdzie przywiązany był jego koń. Adrian chciał z nią zostać, lecz odesłała go do stajni. Chciała poznać pana MacDougała bez świadków.

Podniosła wzrok, gdy on ruszył zamaszystym krokiem w jej stronę. Z początku jej nie zauważył. Olivia zaczęła się zastanawiać, czy on zamierza ją zignorować, bo tak był pogrążony w myślach, że mógł ją przeoczyć. Jednak kiedy wstała z ławki, oderwał oczy od ścieżki. Marsowa mina zmieniła się w wyraz zaskoczenia.

Po czym wydało jej się, że jego opalona twarz blednie. Kiedy zatrzymał się nagle, wpatrując się w nią niemal ze strachem, ze zdumienia zmarszczyła czoło.

Co za dziwny człowiek. Przystojny, na swój surowy sposób. Wysoki, wysportowany i dobrze ubrany. Lecz dziwny.

Mimo wszystko była paniądomu i dobrze znała swąrolę. Uśmiechnęła się więc i wyciągnęła do niego rękę.

- Domyślam się, że pan jest panem MacDougalem. Jestem Olivia Hawke, siostra Sary i bardzo się cieszę, że w końcu pana poznałam.

Marsh patrzył na stojącą przed nim ładną kobietę. Wiedział, że może na nią wpaść. Próbował się do tego przygotować, mimo to żadne przygotowanie na świecie nie pomogłoby mu teraz. Była ładna i uśmiechnięta, tylko o jakiś rok młodsza od niego. Ze swym szczerym zachowaniem i wyciągniętą ręką była właśnie taką kobietą, jakie zwykle chętnie poznawał. Młodą matroną, z którą się łatwo rozmawia i tańczy.

- Pan jest panem MacDougalem? - zapytała, kiedy nie odpowiedział.

200

- Och. Tak. Tak Jestem Marshall MacDougal. - Marshall MacDougal Byrde. Lecz nie dodał swego prawdziwego nazwiska. Złożył obietnicę i dotrzyma słowa. Lecz chciał jej powiedzieć. Gdy ujmował rękę swej przyrodniej siostry i bardzo poprawnie pochylał się nad nią, chciał jej wszystko powiedzieć.

Lecz ją bardzo by to zraniło.

Stwierdził ze zdumieniem, że w pewnej chwili jego chęć zemsty zniknęła. Gdy patrzył teraz w ciekawe, niebieskie oczy swej siostry, tak bardzo podobne do oczu Sary, z trudem mógł uwierzyć, że rozważał zniszczenie którejś z nich.

Puścił jej rękę i stali tak, twarzą w twarz. Nie wiedział, co powiedzieć. Najpierw Sara niesłusznie go oskarżyła. Teraz ta kobieta - ta nieznajoma, która jest jego siostrą-paralizuje go uczuciami, których on nie rozumie.

•Cóż, panie MacDougal, jak powiedziałam, bardzo się cieszę z naszego spotkania. Wiele o panu słyszałam, odkąd wróciłam z Glasgow. - Urwała i jej oczy dokonały szybkiej oceny jego osoby. - Było mi przykro, że wyjechał pan, zanim mogliśmy się poznać. Ale teraz jestem uszczęśliwiona, widząc, że wcale pan nie wyjechał, lecz jest tutaj, w Woodford Court, z wizytą u mojej siostry. Ale gdzie jest Sara?

•Hm... Została w bawialni.

Pochyliła lekko głowę i zaczęła bawić się różą, którą trzymała. -Czy to znaczy, że nie poprosiła, by przyłączył się pan do nas na lunch? Marsh przestąpił z nogi na nogę.

•Nie sądzę, by w tej chwili życzyła sobie mojego towarzystwa.

•A to dlaczego?

Mógłby się obrazić za jej wścibskie pytanie. Mógłby ją zbyć i pójść sobie. Lecz wiedział, że jej pytania wynikają z miłości do Sary, więc zaczął gwałtownie szukać odpowiedzi, która by ją zadowoliła.

•Sary nie cieszy moje towarzystwo. - To było dość prawdziwe.

•Bardzo dziwne. Powiedziano mi, że uratowała pana w rzece. Och, zapomniałam podziękować, że nie wniósł pan oskarżenia przeciwko Adrianowi. Niewielu mężczyzn okazałoby taką szlachetność. Na wypadek, gdyby pan tego nie zauważył, powiem, że Adrian uwielbia pana.

-Nie powinien.

-Naprawdę? -Choć się uśmiechała, jej spojrzenie stało się ostrzejsze. -Wiemy, że Adrian pana uwielbia. Wiemy też, przynajmniej ja, że Sara z nieszczęśliwą miną snuje się tutaj z kąta w kąt tylko z pana powodu.

•Naprawdę?

•O, tak. Dlatego nie rozumiem, dlaczego pana odprawiła. A może to pan chciał wyjść?

201

- Nie. - Urwał, gdy Olivia szeroko się uśmiechnęła. Powoli odważnie uśmiech. - Czy to aż tak widać?

Zachichotała.

- Jest pan tutaj, prawda? Nie przychodzi mi na myśl inny powód niż ten, że przywiązaliście się do siebie.

Na nieszczęście, jej radosne założenie zmroziło duszę Marsha. Zaczynał się przy niej odprężyć, była miła, bystra i czuł do niej sympatię. Lecz nie mógł z nią rozmawiać o Sarze, jeśli miał zachować w tajemnicy swą prawdziwą tożsamość.

•Obawiam się, że się pani myli. Pani siostra nie czuje do mnie przywiązania.

•A ja jestem przekonana, że pan się myli.

Jakże chciał, żeby tak było. Ton jego głosu z żartobliwego zmienił się w pomny.

- Musi być pani bardzo pilno, by ją szybko wydać za mąż. Odprawiła mnie. Wszystko jest oczywiste.

Olivia skrzyżowała ramiona i posłała mu niecierpliwe spojrzenie.

•Panie MacDougal. Zdaję sobie sprawę, że dopiero się poznaliśmy. Niemniej czuję, że muszę szczerze z panem pomówić. Coś się tutaj dzieje, coś między panem i moją siostrą. To, że pan mówi "odprawiła mnie", tylko tego dowodzi, więc nie ma co zaprzeczać. - Przerwała, przyglądając mu się badawczo. - Może powinnam panu powiedzieć, że kiedyś zajmowałam się swataniem i zawsze byłam wyczulona na takie rzeczy. Dlatego chciałabym, żeby się pan dzisiaj przyłączył do nas na lunchu.

•Sarze nie spodoba się pani ingerencja.

-Jestem pewna, że jej to przejdzie. Ostatecznie jestem jej siostrą i interesy Sary leżami na sercu. Marsh westchnął.

- Wobec tego może powinienem pani powiedzieć, że pani siostra mną gardzi.

- Doprawdy? - Obrzuciła go badawczym spojrzeniem. - Dlaczego? Zbyt późno zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo. Postanowił nie

okazywać uczuć.

- To pytanie proszę skierować do Sary. Olivia potrząsnęła głową.

- Przyznaję, że mnie pan zadziwia, panie MacDougal. Adrian nie widzi poza panem świata. Mówi, że jest pan uczciwy, szlachetny i odważny, a ja nie mam powodu mu nie wierzyć, z wyjątkiem jednego. Mogłabym przysiąc, że pan się śmiertelnie boi Sary.

Te słowa brzmiały jak wyzwane. Lecz w oczach Olivii widział współczucie i nie mógł się obrazić. Jednak z tego samego powodu nie miał zamiaru przyznawać się do czegokolwiek.

-Nie użyłbym tak mocnego określenia - odparł. - Jednak przyznam się, że jej nie rozumiem. Z pewnością nie jesteśmy w dobrych stosunkach.

- Ach! Jeśli się pan śmiertelnie boi, to zapewne dlatego, że jępan kocha!
Jej słowa zaskoczyły Marsha. Tak bardzo, że nie mógł znaleźć żadnej

odpowiedzi. Był sparaliżowany. Ona natychmiast to wykorzystała. Wzięła go pod ramię i ruszyła ku domowi. W końcu przestał się opierać.

- Proszę za mną.

- To się nie uda.

- Uda się. Moja siostra zawsze była rodzinną wicherzycielką i elką. Ale ja zawsze byłam swatką.

Swatka. Czy tego chciał? Żeby ta nieznajoma, która jest jego siostrą, ożeniła go z kobietą, która widziała w nim zagrożenie dla swej rodziny — i dla siebie? Byłoby to dość rozsądne, o ile Sara jest w ciąży. W takich okolicznościach mógłby się o nią starać. Lecz ona nie jest w ciąży i nie chce go widzieć.

Na pewno na jego widok, pod ramię z Olivia Sara wpadnie we wściekłość.

W połowie drogi do domu nagle się zatrzymał.

- Przykro mi, lady Hawke, ale nie mogę tego zrobić.

- Oczywiście, że pan może. Proszę spojrzeć. Oto Neville.

Marsh miał wrażenie, że wsysa go trąba powietrzna. Patrzył, jak zamaszystym krokiem zmierza ku nim lord Hawke, mężczyzna, który zapewne wyzwiałby go, zanim pozwoliłby mu narazić reputację swej żony. A jeszcze Adrian deptał mu po piętach, a z domu wypadła wprost na nich mała dziewczynka.

Zesztywniał, gdy zaraz za dzieckiem dostrzegł Sarę. Sara poślizgnęła się i zatrzymała, gdy zobaczyła go z Olivia. Niemal widział, jak tężeje z oburzenia, pretensji i z rozczarowania.

Och, Saro, chciał powiedzieć. Czy nie możesz mi zaufać? Czy nie widzisz, że ostatnią rzeczą jakiej chcę, jest skrzywdzić ciebie lub twój ą rodzinę?

Na widok Marsha z Olivia Sarze zaparło dech. Co on jeszcze tutaj robi, i to z Olivia? Zdusiła jęk, lecz ten, jak bolesny supeł pozostał w jej piersi.

Przegrywała. Po wszystkim, co się wydarzyło, to, czego obawiała się najbardziej, w końcu się stało.

Najdziwniejsze było to, że nie mogła go winić ani nienawidzić. Przycisnęła rękę do brzucha. Powinna mu powiedzieć.

Musi mu powiedzieć. Ta myśl uderzyła ją z taką siłą że nie mogła uwierzyć, iż rozważała inne rozwiązanie.

Ukrywanie prawdy oznaczało wymyślanie kolejnych kłamstw, które kiedyś będą prześladować ich dziecko, tak jak oszustwo Camerona Byr-de'a prześladowało Marsha i Olivie.

Patrzyła, jak mała Catherine biegnie w ramiona ojca. Uśmiechnęła się na piski dziewczynki, gdy ojciec podrzucił ją wysoko i chwycił bezpiecznie w swe mocne i pewne objęcia. Ich radość spowodowała w jej

gardle kłujący ból. Wszystkie dzieci powinny znać ojców.

Co ma być, to będzie, powiedziała sobie, i ruszyła naprzód. Neville i Olivia stali blisko siebie, a mała Catherine mocno obejmowała ich za szyje. Marsh stał w pobliżu, tak samo Adrian.

Spojrzenie Sary zatrzymało się na chwilę na chłopcu. Odkąd Marsh przebaczył mu tę tragiczną strzelaninę, w postawie Adriana coś się zmieniło. Bardzo potrzebował ojca. Chłopiec miał włosy zaczesane do tyłu jak Marsh; jego halsztuk miał taki sam prosty węzeł.

Pokręciła głową. Adrian nie ukrywał podziwu dla tego człowieka. Wydawało się, że Olivia też go lubi, i Sara podejrzewała, że Neville także mógłby go polubić, gdyby z jego obecnością tutaj nie wiązało się tak wielkie zagrożenie. Jednak oni nic o tym zagrożeniu nie wiedzieli.

Za to Adrian wiedział.

Oderwała oczy od Marsha i znów spojrzała badawczo na chłopca. Adrian chciał, by Marsh tutaj został. Czyż nie widział, że to niemożliwe?

- Och, Saro. Patrz, kto tutaj jest! - zawołała Olivia, uśmiechając się szeroko. - Twój pan MacDougal. - Zignorowała niezadowolenie Sary z tego, że tak go nazwała. - Poprosiłam, by przyłączył się do nas na lunchu.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią, czekając na jej reakcję.

W końcu zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła: skapitulowała. Może tak będzie najlepiej. Może niepotrzebne były wszystkie te sekrety. Gdyby tylko miała czas przemyśleć to wszystko.

- Jak... jak to miło. Powinam sama pana zaprosić. - Zdołała powiedzieć.

-Rzeczywiście, powinnaś-skarciła ją Olivia, choć z uśmiechem jeszcze szerszym niż wcześniej. - Musiałaś wiedzieć, jak bardzo Neville i ja chcieliśmy go poznać.

Sara z niezadowoleniem spojrzała na siostrę. Gdy wszyscy ruszyli do domu, Adrian dostosował się do kroku Sary, podczas gdy Marsh siedł obok Olivii iNeville'a.

•Jak się czujesz? - zapytał cicho chłopiec.

•Znakomicie - odparła, ledwie go słuchając. Jej uwaga skupiona była na Marshu, którego musi jakimś sposobem odciągnąć na stronę i odbyć z nim rozmowę.

Przebiegł ją dreszcz podniecenia, lecz zwalczyła go.

204

Mimo to trudno było o tym nie myśleć. Przyznała, przynajmniej przed samą sobą, że go kocha. Bez wątplenia byłby tak dobrym ojcem, jakim był synem. A ona wiedziała, że był wspaniałym kochankiem.

Znów podniecenie wlało się gorącem do jej żył. Mogłaby być bardzo szczęśliwa, gdyby była zamężna z tym człowiekiem. Lecz ta myśl tylko ją przygnębiła. On przyszedł tutaj dziś z poczucia obowiązku. Gdyby przyznała, że jest w ciąży, natychmiast zaproponowałby jej małżeństwo. Teraz była tego pewna. Lecz nie chciała, by poślubił ją tylko z poczucia obowiązku.

Patrzyła, jak Neville zdejmuje rękę z talii Olivii i podnosi ją, by wyjąć 2 jej gęstych kasztanowych włosów zaplątany listek. Taki niewinny gest, a mimo to zawierał prawdę o miłości i małżeństwie. Chciała takiego związku ze swoim przyszłym mężem, związku opartego na miłości.

•Jesteś pewna? - dobiegł ją natarczywy głos Adriana. Rzuciła na niego okiem.

•Pewna czego?

•Że czujesz się znakomicie - powiedział z ciekawością. Wiedział!

Sara głośno wciągnęła powietrze. Adrian wiedział, co zaszło między nią a Marshem. Jakie to żenujące! Jednak to wiele wyjaśniało. Czy Adrian czuł, że ona i Marsh byli ze sobą blisko, kiedy strzelił? Prawdopodobnie.

Chłopiec zerknął na jej brzuch, a ona poczuła, jak rumieniec wypływa jej na policzki. Teraz chce wiedzieć, czy ona jest w ciąży.

Zdenerwowana i zmieszana, Sara zmarszczyła brwi.

- Wy dwaj jesteście w spisku, prawda? Cóż, dowiesz się, jak się czuję, kiedy wszyscy się dowiedzą. W tej chwili musisz tylko wiedzieć, że czuję się po prostu wspaniale.

Lecz nie czuła się wspaniale. Za każdym razem, kiedy patrzyła na Marsha lub słyszała, jak mówi, czuła ból w piersi. Tęsknotę, żal, strach. Wszystko te uczucia tortuowały ją. Unikanie sondujących spojrzeń Olivii tylko powiększało jej ból. Dlaczego Marsh nie może po prostu być mężczyzną, którego kocha - bez tych wszystkich zawiłości między nimi?

Usiedli w jadalni zastawionej zimnymi mięsami, ciepłym chlebem, świeżo upieczoną rybą, soczystymi jabłkami i śmietaną. Na pozór byli miłą grupą, która rozsiadła się przy szeroki stole.

Sara przygotowała się na godzinę czekania, unikania podtekstów i na próby podjęcia na osobności rozmowy z Marshem. Jednak cudowne zapachy chleba na drożdżach i jabłek zmieszały się w odstręczający sposób.

Jej żołądek się zbuntował. Gardło się zbuntowało. Całe jej ciało zareagowało tak szybko, że myślała, iż skompromituje się tutaj, przy stole w jadalni, na oczach wszystkich.

205

Skompromitowała się, zrywając się z krzesła, przewracając je i wypadając z pokoju z serwetką przytkniętą do ust.

Na tarasie, z dala od nęcących zapachów, wzięła jeden niepewny oddech, potem drugi, walcząc z gwałtownymi mdłościami.

Opierając się na drżących rękach, nachyliła się nad balustradą, powoli odzyskując panowanie nad sobą.

Na nieszczęście Olivia wyszła za nią zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie i twardo spojrzała na młodszą siostrę.

-No dobrze, Saro. Dość długo zostawiałam cię samą z twoimi sekretami. Czas, żebyś mi powiedziała o tym bardzo dziwnym zachowaniu. Albo ty mi powiesz, albo będę musiała zapytać o to pana MacDougala.

28

Pana MacDougala? - Sara zbladła i odwróciła oczy od spojrzenia siostry. Ostatnie, czego chciała, to by Olivia starła się z Marshem, zanim ona z nim porozmawia. - Może pomówimy o tym później? Ostatecznie, masz gościa.

— On jest twoim gościem, Saro. Nie moim. Przyszedł z wizytą do ciebie. Tyle że ty go odprawiłaś, podczas gdy obie wiemy, że od wielu dni usychasz za nim z tęsknoty. Bogu dzięki, że złapałam go, zanim odszedł. A teraz jeszcze tak niegrzecznie wybiegłaś z jadalni...

Olivia urwała.

-Wybiegłaś z jadalni - powtórzyła zamyślnym tonem. W jej oczach błysnęła ciekawość. - Jesteś okropnie blada. Czy straciłaś apetyt, czy też chodzi o coś innego? - dodała z narastającym zniecierpliwieniem w

głosie.

Tym razem Sara nie odwróciła oczu. Nie tak zamierzała o tym powiedzieć Olivii.

- Zanim zaczniesz snuć plany, Liwie, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

- Czy on cię zmusił? Odpowiedz - nie ustępowała Olivia.

-Olivio!

— Inaczej dlaczego miałabyś go odprawiać? Jeśli kochałaś go dość, by... by zbliżyć się z nim...

-Olivio!

— ...to byś go nie odprawiała. Ale to zrobiłaś, więc rozumiem, że po traktował cię okrutnie.

- Olivio! - Sara tupnęła nogą. - To wcale nie jest takie proste!

206

Nastąpiła krótka chwila ciszy, zanim wstrząśnięta Olivia jęknęła.

•O, mój Boże. Nie mów, że to był... to był ten drugi mężczyzna. Ten... ten Penley, z którym zamierzałaś uciec.

•Co? Rany boskie, nie! - niemal krzyknęła Sara. - Proszę, Liwie, nie możesz zostawić mnie w spokoju?

•Nie. Nie zostawię cię w spokoju. - Zdumienie złagodziło gniew na twarzy Olivii. - O co chodzi, Saro? Coś się dzieje, coś, co dotyczy Marshalla MacDougala i ciebie. Jestem twoją starszą siostrą i kocham cię. Jeśli nie możesz powiedzieć prawdy mnie, to komu?

Istotnie, nie było nikogo na świecie, z kim Sara chciałaby podzielić ten ciężar. Lecz jeszcze nie teraz. Uśmiechnęła się cierpko do siostry.

- Chyba masz rację. Ale... ale sądzę, że najpierw pan MacDougal musi ci coś powiedzieć. Najpierw z nim musisz pomówić.

Olivia skrzyżowała ramiona.

•Już próbowałam. Nic mi nie powiedział.

•Nie? - Sara uśmiechnęła się do siebie. Co by się działo, zamierzał dotrzymać danego jej słowa. Westchnęła. - Prawdę mówiąc, nie jestem zdziwiona. Ale sądzę, że teraz z tobą porozmawia. Jeśli ja go o to poproszę.

Marsh patrzył najedzenie, które sobie nałożył.

Powinien to być posiłek jak żaden inny, posiłek, przy którym należałoby się rozsiąść i rozkoszować nim, nie dla jedzenia, lecz dla ludzi. Ci mili ludzie wcale nie byli tacy, jakich się spodziewał.

Ale przecież nic podczas jego pobytu w Wielkiej Brytanii nie było takie, jak się spodziewał.

•Gdzie mama? - zapytała mała Catherine.

•Mama jest na dworze - obwieścił klęczący na krześle Philip. - Mama i ciocia Sara.

•Odwróć się, synu. Sara i mama zaraz wrócą- powiedział Neville. Zerknął znacząco na Marsha. - Zdaje się, że mają coś ważnego do omówienia. Ma pan jakieś podejrzenie, o co chodzi?

Istotniemiał. Sara wyglądała tak, jakby miała zwymiotować. On tak samo czuł się na statku. Jednak Sara nie mogła przypisać swego stanu chorobie morskiej. Pozostawał jeden oczywisty powód: Sara musi być w ciąży.

Marsh bez komentarza wstał od stołu. Kiedy Adrian także wstał, Neville go powstrzymał, za co Marsh był mu wdzięczny. Następne minuty mogły być najważniejsze w jego życiu. Wydawało się, że bardzo szybko przeszedł od braku jakiegokolwiek rodziny do posiadania dużej i wścibskiej.

207

Niemniej ci ludzie mogą stać się jego rodziną, jeśli go przyjmą—jeśli wszyscy go przyjmą.

Drżał z niecierpliwości i strachu. Opuszczając jadalnię wiedział, że nadeszła odpowiednia pora. Musiał uzyskać pozwolenie Saiy na powiedzenie Olivii prawdy. Później musi uzyskać zgodę Olivii na poślubienie Sary.

Przeczesał rękoma włosy i wyszedł na zalany słońcem taras drząc, jakby mu było zimno. Trząśnięcie się jednak ze strachu, jakiego nie znał przedtem. Strach przed odrzuceniem; strach przed samotnością; strach przed utratą tego najcenniejszego skarbu: miłości kobiety. I miłości rodziny.

Znalazł dwie siostry siedzące na ławce otoczonej krzewami róż. Niektóre kwiaty były otwarte na jaskrawe słońce, podczas gdy inne tylko częściowo rozwinięte. Jeszcze inne były ciasno zwiniętymi pąkami z obietnicą, że niedługo staną się najpiękniejsze na świecie.

Lecz dla niego najpiękniejszym kwiatem była Sara.

Przystanął, tylko po to, by na nią popatrzeć. Jej włosy z kasztanowymi pasemkami lśniły w słońcu. Gdy spojrzała na niego swymi pięknymi, bezbronnymi oczami, wydała mu się niewiarygodnie młoda, za młoda na pożądliwe myśli, jakie zawsze w nim budziła. Ale to tylko dlatego, że w wyrazie jej twarzy nie było żadnej sztuczności. Była taka piękna, że przyglądanie się jej niemal bolało.

Pomyślał, że chciałby ją poznać, kiedy jeszcze byli dziećmi, kiedy najpierw mogliby zostać przyjaciółmi.

Lecz me byli już dziećmi.

Kiedy ruszył przed siebie, Sara wstała.

- Marsh, to jest, panie MacDougal. Ja... ach...

-Mam z tobą do pomówienia —wpadł jej w słowo. Skinął głową Olivii, która nadal siedziała na ławce. - Proszę wybaczyć, lady Hawke, ale to nie może czekać.

- Nie, panie MacDougal- odparła Sara, delikatnie potrząsając głową. - Myślę, że to z Olivia powinien pan pomówić. Nie ze mną.

Marsh zawahał się. Nie oczekiwał od niej takiej odpowiedzi. Spojrzał na nią, niepewny, czy rozumie jej zamiary.

- Naprawdę chcesz, żebym porozmawiał z twoją siostrą?

Nie odrywała od niego swych pięknych oczu. Coś w nich błyszczało... Zamrugał i z trudem przełknął ślinę. Niemożliwe. Czy to była miłość?

Pochyliła głowę, po czym odwróciła się i odeszła. Patrzył za nią z nadzieją, a mimo to z obawą, że ma zbyt wiele nadziei. Czy ona go kocha? Czy chce, żeby powiedział Olivii, kim naprawdę jest?

Za jego plecami Olivia odchrząknęła. Powoli odwrócił się i spojrzał na siedzącą na ławce uroczą kobietę, czekającą na wyjaśnienia z jego strony. Nie była zgniewana, tylko zaciekawiona.

208

Prawdopodobnie myślała, że on zamierza prosić o rękę Sary. Prawdopodobnie zamierzała się zgodzić. Widział to wystarczająco wyraźnie. Jednak czy pięć minut później będzie sądzić to samo... Wziął głęboki oddech i założył ręce na plecach.

- Ja... hm... wiem, że domyśliła się pani mojego przywiązania do Sary. Splotła dłonie i uśmiechnęła się.

-Tak.

-I... hm... zapewne zastanawia się pani, co za trudność istnieje między nami.

•Zastanawiałam się.

•Cóż, tą trudnością jest... jest pani. -Ja?

-Nie. Źle to ująłem. Problem stanowią ja. I pani.

Olivia potrząsnęła głową, z wyrazem zdumienia na twarzy. Lecz wciąż się uśmiechała.

-Nie musi się pan obawiać rozmowy ze mną w tej kwestii, panie Mac-Dougal. Ja już poznałem prawdę. I choć nie mogę pochwalić pańskiego zachowania wobec Sary, to je rozumiem. Szczególnie jeśli teraz zamierza pan wyprostować pewne sprawy.

- To nie jest takie proste.

•Oczywiście, że jest. - Po czym jej uśmiech zgasł. - Chwileczkę. Nie jest pan... żonaty, prawda?

•Nie! — Marsh przeczesał włosy rękoma. Najpierw Sara się nad tym zastanawiała, teraz Olivia. Nie pójdzie mu tak łatwo. -Nie jestem żonaty. Jestem pani bratem - wypalił.

W obliczu tego wyznania Olivia siedziała nieruchoma, czekając, aż ucichną echa jego słów. Gdy wreszcie przemówiła, jej głos był znacznie cichszy.

- Moim bratem? - powtórzyła jak echo. - Obawiam się, że nie rozumiem, panie MacDougal.

Chciał dodać jej otuchy, usiadł obok niej na ławce i wziętyj splecione ręce w swoje.

- Urodziłem się jako Marshall MacDougal Byrde. Tak jak pani, jestem dzieckiem Camerona Byrde'a.

Teraz go rozumiała, gdyż na jej twarzy wyraźnie widać było wstrząs. Tęczówki jej oczu stały się ciemniejsze, jakby próbowała od razu ogarnąć wszystkie konsekwencje jego słów.

-Moim... bratem.

- Bratem przyrodnim. Moja matka była z MacDougalów.

-Rozumiem. Ale... ale pan i Sara... między panem i Sarą nie ma więzów krwi. - Mimo jego nieoczekiwanego oświadczenia, uchwyciła ten fakt. - W tym względzie nie ma przeszkody.

M -Nieodparty i nieznośny

209

-Nie. Ale jest jeszcze coś.

- Już dobrze - powiedziała, choć jej uśmiech drżał nieco, ujawniając inne uczucie, niż oczekiwał. Czy ona nie była tym wszystkim przerażona? — Proszę mi tylko dać chwilę, żebym ogarnęła to wszystko — ciągnęła, spoglądając na niego i badając jego twarz. - Mój brat. Mamy takie

samie włosy. - Uśmiechnęła się. - Dziwne, że tego nie zauważyłam. I taki sam kwadratowy podbródek.

Dotknęła jego podbródka i jej uśmiech stał się śmielszy.

- Jeszcze jeden brat. Ojej. Wiesz przecież, że Sara i ja jesteśmy siostrami przyrodnimi, a James jest naszym bratem przyrodnim. Ale kocha my się tak, jak może się kochać rodzeństwo. Już dobrze - powtórzyła, gdy nie odwzajemnił jej uśmiechu.- Wszystko będzie dobrze. Wiem, jakim człowiekiem był mój ojciec - nasz ojciec.

Marsh zbierał się w sobie. Po prostu powiedz jej. Powiedz jej resztę i miej to za sobą.

-Nie, Olivio. Nie wiesz, jaki on był. - Puścił jej rękę, napinając mięśnie. - Nikt nie znał całej prawdy o nim.

Zmarszczyła brwi i odezwała się:

- Wiem, że był czarujący i samolubny i że złamał mojej matce serce, i to niejednym razem - tak samo jak mnie. Bez wątplenia podobnie postępował z twoją matką i tobą. Powiedz mi, czy on cię w ogóle uznał?

Marsh zazgrzytał zębami.

•Rejs do Ameryki i sto funtów. Westchnęła.

•Przypuszczam, że dlatego tutaj wróciłeś. Żeby się na nim zemścić. Przytaknęła.

- Tylko że już nie żył. - Chwyliła jego dłonie i uściśniła je. — Musiałeś nienawidzić nas wszystkich, kiedy się dowiedziałeś.

Marsha ogarnęła chwilowa konsternacja.

- Tak - przyznał. -Z początku tak. Tylko... że teraz wszystko się zmieniło, odkąd poznałem Sarę.

Uśmiechnęła się szczerym uśmiechem, który zbił go z tropu. Bardziej troszczyła się o szczęście Sary niż o konsekwencje czynów ich ojca. Uśmiech ten jak jaskrawe światło rozjaśnił najciemniejsze zakamarki duszy Marsha. Marsh uświadomił sobie nieoczekiwaną, satysfakcjonującą prawdę.

Nie powie jej, że ich ojciec miał dwie żony. Nie może jej tego zrobić. Ta kobieta jest jego siostrą jego najbliższą żyjącą krewną. Kocha Sarę tak samo jak on, więc musi kochać ją w zamian. Nie sądził, by było to trudne zadanie. Lecz kochać oznaczało chronić ją- tak jak chroniłby matkę lub żonę. Jest jego siostrą i będzie jąchronił przed wszystkimi, nawet przed sobą.

Wstał z lekkim sercem.

210

•Chodź, Liwie. Mogę cię tak nazywać?

•Oczywiście, że możesz. Jesteś moim bratem, Marsh.

Wstała, przyjęła jego ramię i razem ruszyli w stronę domu. Tak łatwo było iść obok niej, dostosowywać swój dłuższy krok do jej drobnego. Lecz Olivia zatrzymała się przed tarasowymi drzwiami.

- Zaczekaj. Nie zamierzasz zapytać mnie, czy możesz poślubić Sarę? - Spojrzała na niego z wyczekująco uniesionymi brwiami.

Uśmiechnął się szeroko. Chyba nie mógł przestać się uśmiechać. Nauczył się szybko kochać siostrę.

- Zamierzam. Jeśli uparta czarownica się zgodzi.
Olivia roześmiała się.

- Och, jestem pewna, że znajdziesz sposób, żeby ją przekonać. - Poklepała go po ramieniu. - Jednak ostatnie, czego ci teraz potrzeba, to publiczność. Zaczekaj tutaj. Upewnij się, czy jest sama, zanim cię zawołam.

Sara ze wzburzeniem przemierzała główny hol. Krążyła od kominka i ławeczki pod oknem do starego kamiennego podium. Dziesiątki razy.

Wszystko będzie dobrze.

Potrząsnęła głową. Nigdy już nie będzie dobrze.

Ale prawda zawsze jest lepsza od kłamstwa.

A jakże! Dla tych, którym prawda przynosi korzyść.

Ale czyż nie ona skorzysta najwięcej?

Po jej nagłym odejściu z jadalni, Marsh musi podejrzewać, że ona jest w ciąży. A jeśli nie, to Olivia prawdopodobnie już mu powiedziała. Znała Marsha wystarczająco dobrze, by wierzyć, że bez względu na to, co zaszło między nim a Olivia, on postąpi ze swym dzieckiem honorowo.

Będzie nalegał na poślubienie jej. Uratowałby ją od towarzyskiej zguby, a zarazem ochroniłby ich dziecko. [uchroniłby jej rodzinę przed wstydem i rozczarowaniem z powodu jej lekkomyślności.

Objęła ramionami brzuch. Wiedziała, co musi mu powiedzieć, i wiedziała, jak on zareaguje. Powinna być szczęśliwa, a mimo to się bała.

Ponieważ go kochała. Ponieważ wiedziała, że on postąpi z nią jak należy, nawet jeśli jej nie kocha.

To wystarczyłoby złamać komuś serce.

Po czym on nadszedł. Usłyszała zdecydowane stukanie jego obcasów o twardą podłogę; huk drzwi spotykających się ze starą futryną, gdy Marsh zamknął drzwi za sobą.

211

Odwróciła się i stanęli naprzeciw siebie na dwóch krańcach wielkiego starego holu. Drobinę kurzu tańczyły w zabłąkanej smudze światła słonecznego. Był poważny.

•Jak się miewa Olivia? - Głos jej drżał. - Powiedziałeś jej, kim jesteś?

•Powiedziałem, że jestem synem Camerona Byrde'a i jej przyrodnim bratem.

Zacisnęła usta i przytaknęła. -I?

- I... wydaje się bardzo szczęśliwa, że ma brata. - Wydawał się nieco zdumiony tym wszystkim. Lecz Sara widziała również wrażliwość, którą starał się ukryć. Był przygotowany na odrzucenie, lecz Liwie - szlachetna na Liwie, zaakceptowała go.

Uśmiechnęła się, szczęśliwa z jego powodu.

- Więc masz teraz siostrę? Pomimo zmian w jej życiu, przyjmuje cię?

- Przyjmuje mnie. Ale...

-Ale?

-Ale nie będzie żadnych zmian w jej życiu.

Przez długą, znamionną chwilę nie spuszczała z siebie oczu.

- Ale powiedziałaś jej, że jesteś synem Camerona Byrde'a...
- Ale nie o jego poprzednim małżeństwie. Serce Sary zaczęło bić mocno.
- Dlaczego? Dlaczego nie powiedziałaś jej o tym?

Rozłożył szeroko ramiona, po czym pozwolił im opaść, cały czas potrząsając głową.

-Nie ma sensu mówić jej o tym teraz.

-Ale... ale...

-Nie chcę jej zranić, Saro. Nigdy jej nie skrzywdzę i nigdy nie skrzywdzę ciebie.

Szczere uczucie zawarte w tych kilku słowach wleciało wprost do serca Sary.

- Kocham cię. - Słowa te same wymknęły się z jej ust. Choć zostały wypowiedziane cicho, zdawały się odbijać po hoku tak głośnym echem, jakby je wykrzyczała.

"Kocham cię".

Wydawał się tak osłupiały, jakby wykrzyczała je na całe gardło.

- Naprawdę?

Sara ledwie mogła złapać oddech. Oczywiście. Jak mogłabym cię nie kochać? Lecz tylko skinęła głową.

Szedł do niej, powolnym, miarowym krokiem. Zdawało jej się, że trwa to wieczność.

212

- Kochasz mnie? Po wszystkim, co ci zrobiłem? - Znów skinęła głową. Uśmiechnął się. - Kochasz mnie. - Zachichotał. Po czym odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się głośno. - Ona mnie kocha! - krzyknął aż pod sklepienie.

Gdzieś za sobą Sara usłyszała chichot, który szybko został uciszony. Lecz jej uwaga skupiona była na Marshu. Zatrzymał się przed nią na odległość ramienia.

- Jeśli kochasz mnie tak mocno, jak ja ciebie, to nie ma przeszkód, byśmy się pobrali.
- Nie - wyszeptała przez nagle ściśnięte nadmiarem uczuć gardło. On też ją kocha?

Chwylił jej splecione dłonie w swoje i przyciągnął ją blisko. Jakby wiedział, że nie oświadczy, a raczej tych kilka słów, które je poprzedziły, wywarły na niej wrażenie, Marsh powtórzył je:

- Kocham cię, Saro. Choć tak bardzo walczyłem z tym, choć tak bardzo chciałem znienawidzić całątwojąrodzinę, to odkryłem, że nie mogę. Kocham cię.

Były to najcudowniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszała. Mimo to dręczyła ją wątpliwość.

- Czy... czy mówisz tak z powodu dziecka?
- Dziecko? -Znów się roześmiał i porwał ją w objęcia. -Nie. Chciałem się ożenić z tobą ze względu na dziecko - a przynajmniej tak sobie mówiłem. Ale kocham cię i z tego powodu chcę się z tobą ożenić.

Przytuliła twarz do jego piersi, świadoma miarowego bicia jego serca, wilgoci na swych policzkach. Na jej ustach pojawił się uśmiech.

- A nie z powodu Liwie? Bo chcesz należeć do jej uroczej rodziny?

Uniósł jej podbródek tak, że stanęli przy sobie twarzą w twarz, oko

w oko. Usta przy ustach.

- Ja już należę do jej rodziny. A teraz najbardziej chcę należeć do twojej. Stworzyć rodzinę najpierw z tobą, Saro. Potem ze wszystkimi małymi MacDougalami, jacy przyjdą na świat.

- Ale ty naprawdę jesteś Byrde'em - powiedziała, zerkając w jego uśmiechnięte oczy.

- Myślę, że o wiele bardziej będę chciał być MacDougałem. Czy zechcesz nazywać się MacDougal? - Zakończył to pytanie miękkim pocałunkiem.

Sara wspięła się na palce do tego pocałunku. Kochała go tak bardzo, że aż bolało.

- Tak - powiedziała bez tchu, kiedy w końcu oderwali się od siebie. - Chcę się nazywać MacDougal.

Epilog

Boston, Massachusetts, wrzesień 1828

Sara pomachała chusteczką w stronę wysokiego statku, gdy ten uwolnił się od cum i wpłynął dalej do bostońskiego portu. Przez załzawione oczy dostrzegła Olivie iNeville'a, Catherine i Philipa, machających rękami. Wydawali się tacy mali na odpływającym statku, że z trudem rozróżniała ich rysy. Mimo to nie odwracała wzroku.

Jakże chciała, by zostali!

Rozumiejąc ciche życzenie jej serca, Marsh otoczył ramieniem jej talię i przyciągnął ją do swego boku.

- Zobaczymy ich znowu. Może popłyniemy w przyszłym roku, kiedy Patrick będzie dość duży na podróżowanie.

Przytaknęła, mruganiem odpędzając łzy i mimo woli pociągając nosem.

- Tak bardzo będę za nimi tęsknić. Podał jej swą chusteczkę.

- Ja także.

Sara odwróciła się i podniosła wzrok na męża. Wciąż nie mogła się nadziwić, że są małżeństwem i mają wspaniałego, sześciomiesięcznego synka. Lecz najbardziej zdumiewająca w mężu była jego głęboka i stała miłość do jej siostry. Widząc ich razem, nikt nie pomyślałby, że nie spędzili wspólnie całego życia.

Oparła głowę na jego ramieniu, znajdując pocieszenie w jego niewzruszonej miłości do niej i całej jej rodziny.

- Myślałam, że zanim odpłyną, powiesz Olivii prawdę o pierwszym małżeństwie waszego ojca. Dlaczego nie powiedziałaś?

Pogłaskał ją po ramieniu.

-Niewiele brakowało. Ale potem pomyślałem, że nie chcę jej skrzywdzić. Jakie to teraz ma znaczenie? - Uśmiechnął się, patrząc jej w oczy. -Choć powinienem nienawidzić tego człowieka, to nie mogę. Cameron Byrde dał mi wszystko, czego mogłem pragnąć. Żonę, siostrę, dziecko. Mara teraz rodzinę. Niczego więcej mi nie trzeba.

Pochylił się, by ją pocałować. W pobliskich dokach usłyszeli cichy gwizd.

- Hej, hej! - złajał ich Adrian. - Czy tutaj, w Ameryce, dżentelmeni tak się zachowują? Po prostu

całują, kogo chcą, na oczach wszystkich?

Sara roześmiała się i odwróciła w ramionach męża, by spojrzeć na Adriana. Odkąd rok temu opuścili Szkocję, urósł o pół głowy. Widok tyczkowatego młodzieńca, trzymającego małego Patricka, ciągle zdumiewał i zachwycał Sarę.

- W Ameryce żonatym mężczyznom pozwala się na trochę swobody. Ale nie za wiele - poinformowała go. - Więc niech ci nie przychodzą do głowy kłopotliwe pomysły, Adrianie Hawke'u.

Wzruszył ramionami i roześmiał się. Jeszcze przez chwilę obserwowali odpływający statek, lecz nadeszła pora odjazdu. Bez hałaśliwej gromadki Liwie dom będzie wydawał się pusty. Lecz przynajmniej będą mieli Adriana.

- Czy wysłałeś przez Liwie list do matki?- zapytała chłopca, gdy pomagał jej wsiąść do powozu.

- Tak. I jeszcze jedwabny szalik dla niej i pudełko cygar dla Duffy'ego. Sara zachichotała, gdy Adrian podał jej dziecko.

- Nie mogę uwierzyć, że tych dwoje się pobrało. Ale bardzo się cieszę - dodała.

Adrian znów wzruszył ramionami, bardzo męskim ruchem, który, jak podejrzewała, zjedna mu o wiele za dużo kobiecych względów.

- Teraz on będzie trzymał ją w ryzach.

- Tak - powiedział Marsh. - Zdaje się, że wszystkie kobiety wymagają pewnej ręki, żeby je trzymać z dala od kłopotów.

Choć Sara tuliła śpiącego Patricka do piersi, nie przeszkodziło jej to posłać Marshowi powątpiewającego spojrzenia.

- To rzecz dyskusyjna. Zawsze byłeś bardziej nieznośny niż ja.

Roześmiał się.

- Z tego, co wiem od Olivit, ty byłeś urodzoną wicherzycielką. Z pewnością nie byłeś w łaskach u matki, kiedy się poznaliśmy.

- Tak, aleja przynajmniej nie szukałam kłopotów, tak jak ty. W moim przypadku wydawało się, że kłopoty zawsze same mnie odnajdują.

Marsh zerknął na swą piękną żonę.

Rzeczywiście szuka! kłopotów, kiedy ją spotkał. Szukał ojca i zemsty. Zamiast tego znalazł Sarę, pewną siebie, lojalną i krnąbrną. Serce Marsha wezbrało miłością. Mocniej objął żonę i ich śpiące dziecko.

Z jego Sarą w istocie było mnóstwo kłopotów. Lecz on wcale nie chciał, żeby było inaczej.